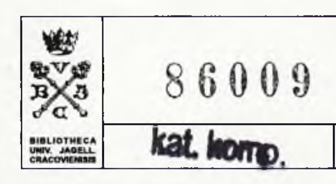

86009
kat. komp.
II
BIBLIOTHECA
UNIV. JAGELL.
CRACOVIENSIS
V
B
J
C


V
B
J
C

TERESA Z POTOCKICH WODZICKA

ZE ZWIERZEŃ DZIEWCZĘCYCH

PAMIĘTNIK

ZOFII Z MATUSZEWICZÓW KICKIEJ

1796—1822.

(Z 4 PORTRETAMI)

ODBITO W DRUKARNI „CZASU" W KRAKOWIE

1910


Bibl. Jag.



ZOFIA MATUSZEWICZÓWNA,
niosąca kwiaty do Świątyni Sybilli w Puławach.

Miniatura nieznanego artysty.

Własność P. Natalii z hr. Wesslów Dobrzańskiej w Krakowie.

TERESA Z POTOCKICH WODZICKA

ZE ZWIERZEŃ DZIEWCZĘCYCH

PAMIĘTNIK

ZOFII Z MATUSZEWICZÓW KICKIEJ

1796 — 1822.

(Z 3 ILLUSTRACYAMI)

ODBITO W DRUKARNI „CZASU" W KRAKOWIE
1910

ODBITKA Z „PRZEGLĄDU POLSKIEGO". — NAKŁADEM AUTORKI.

I.

Czyż takie rzeczy kwalifikują się do druku? — zauważył ktoś, słysząc o zamiarze utkania szkicu na podstawie dziennika i listów Zofii Matuszewiczówny. I zapewne miał słuszność, bo cóż w naszych czasach masowych walk społecznych i wynikłej z nich massywnie ciężkiej literatury, znaczą losy pojedynczej istoty, cierpienia pojedynczej duszy, choćby ta dusza mieszkała w ciele cudnego jak anioł dziewczęcia? Co więcej, autorka nie jest nawet historyczną postacią — stoi tylko jako łącznik między dwoma historycznymi ludźmi: Tadeuszem Matuszewiczem i jenerałem Ludwikiem Kickim. Powiewna, urocza a smutna, rysuje się delikatnie na barwnem tle Puław i Sieniawy, owych ognisk, z których wyszło lub przez które przeszło wszystko, co było znakomitem w Polsce w ostatnich latach XVIII i pierwszych XIX wieku. Wydaje się kwiatem, wyrosłym z mogiły. Przyszła istotnie na świat w r. 1796 po dokonaniu rozbiorów, w chwili, gdy ludzie szaleli z boleści lub porzucali świat, przywdziewając szaty duchowne, a inni, którym obowiązek dalej żyć kazał, obliczali szczątki narodowego dobytku, jaki po utracie politycznego istnienia zostawał. Obowiązek ten nigdzie nie był gorliwiej i wytrwalej wprowadzony w czyn, jak w domu ks. Adama Czartoryskiego, Jenerała Ziem Podolskich, czy to w pałacu Błękitnym w Warszawie, czy na wsi w Sieniawie lub w Puławach. Były to istotnie ogniska miłości ojczyzny, promieniejące szeroko. Tu smutny starzec dowiadywał się, że nie wszystko stracone, a młodzian uczył się co mu czynić przystoi. Młodzieży zaś tej było bardzo wiele, więcej daleko,

niż na zwykłych magnackich dworach. Było to piękną, dziś zapomnianą stroną owych gniazd możnowładczych, iż w nich nietylko własne, ale i cudze przygarniano pisklęta, dając im opiekę, naukę i wychowanie. Koło rodzinne rozszerzało się, a równocześnie rozszerzały się pojęcia i serca. Prawda, że z tego wytwarzały się klasy, że dawny pupil niechętnie przeciw swemu wychowawcy świadczył lub głosował i że go jak ojca ściskał za nogi, o czem ze zgrozą wspominano w XIX wieku, a cóż dopiero w XX-ym! Czyż jednak nie lepiej, nie zdrowiej i nie swobodniej było naszej młodzieży na takim dworze, niż dziś po kancelaryach często żydowskich lub w biurze pocztowem czy telefonicznem? Ale niema co gadać! Każdy krok „postępu“ wlecze za sobą ofiary — tylko, że w dzisiejszych czasach jest ich trochę za wiele.

Zofia Matuszewiczówna nie należała do grona zwykłych rezydentek domu Czartoryskich. Była z nimi spokrewnioną ze strony matki przez Przebendowskich. Ojciec zaś słynny poseł na Sejm Czteroletni, a następnie minister za rządów Królestwa Kongresowego, Tadeusz Matuszewicz, był jednym z gorących przyjaciół księcia Jenerała i jego żony. Było to nieco dziwnem, zważywszy, iż ojciec Tadeusza, pan stolnik, a w końcu kasztelan brzeski lit., autor ciekawych pamiętników, Marcin Matuszewicz, należał przez niemal cały czas swojej politycznej karyery do „partyi hetmańskiej“. Miał nawet długi, a ciężki proces w celu rewindykowania szlachectwa, którego brak zarzucano mu z poręki księcia kanclerza Czartoryskiego, prawdopodobnie aby jego działalność powstrzymać. Zarzuty zostały w końcu odparte, stosunek zaś osobisty Matuszewicza do członków „familii“ ulegał parokrotnie fluktuacyom: toż w przerwach walki politycznej Matuszewicz dedykował wstępującemu na tron Poniatowskiemu tłómaczenie jednej z ód Horacego, a w r. 1765 na cześć księcia kanclerza osobną odę napisał. Zdolny pisarz, skory do oracyi, szabli i kielicha, autor Pamiętników, tłómacz Horacyusza, Marcin, stanowi dziwny kontrast z postacią syna swego Tadeusza. Nadmiar życia, rozpryskujący się u ojca z rozrzutnością, niemal z marnotrawstwem, koncentruje się u syna w siłę

konsekwentnego i użytecznego działania: mniej iskier a więcej ognia, mniej poetycznej fantazyi a więcej estetyki, więcej wykwintności umysłu i obejścia. Inne czasy, inni ludzie. Na przełomie XVIII i XIX wieku nie było już miejsca na tak „szerokie“ natury, jak u kasztelana brzeskiego. Szkoda, że Pamiętnik jego zamyka się przed urodzeniem Tadeusza, pozbawiając nas szczegółów o dzieciństwie późniejszego ministra. Ten ożenił się w r. 1790 z panną Przebendowską, a żona jego, nieco od niego starsza, miała być wzorem doskonałości — jak to, nie ujmując czci pani Matuszewiczowej, mówią o wszystkich przedwcześnie zmarłych kobietach. Na nieszczęście żaden malarz postaci jej nie odtworzył. Jedyny jej portret, utkwiony w pamięci kochającego męża i przezeń po jej śmierci skreślony, zachował się w odpisie albumu córki. Oto, co Tadeusz Matuszewicz pisze o historyi swego małżeństwa [1]):

„Urodziła się w r. 1765. Była długo czekanem i jedynem rodziców swoich dziecięciem. Życzeniu ich powolna, zadała gwałt własnemu sercu, wchodząc w r. 1787 w pierwsze małżeńskie śluby. W związku tym los tak przykry znalazła, że własna męża jej matka, ulitowana jej cierpieniem, ośmieliła ją radą swoją do rozpoczęcia rozwodu i pomocą przyłożyła się do skutku. Dzień 7 listopada 1790 r. był z dni moich najświetniejszym i najszczęśliwszym. W dniu onym anioł cnoty i słodyczy stał się losu i życia mego wspólnikiem, spoił duszę swoją z moją, oddał mi serce i wziął moje nawzajem. W r. 1791 śmierć ojca pierwszy cios zdrowiu jej zadała. W r. 1795 dnia 13 kwietnia urodził się Adaś, a r. 1796 dnia 21 grudnia Zosia, 1799 r. 24 lipca urodził się Sewerynek — lecz od dnia tego zaczął się okazywać stan niebezpieczny jej zdrowia. Oporna choroba gwałtownie i widocznie siły jej niszczyła; cierpliwości tylko i słodyczy anielskiej nadwerężyć nie potrafiła. Ósma godzina z poranku 9 września jej życiu i szczęściu memu położyła koniec“.

---

[1]) Pismo to Matuszewicza jest wyjątkowo po polsku — zresztą prawie wszystkie wyciągi z albumu Zofii Matuszewiczówny trzeba było tłómaczyć z francuskiego.

W dalszym ciągu tego samego portretu Matuszewicz opisuje żonę jako dość niskiego ale kształtnego wzrostu blondynkę, o błękitnych oczach i okrągławej twarzy, łagodną, wesołą, odznaczającą się raczej jasnością umysłu, aniżeli dowcipem. „Wtedy nawet kiedyby gniewać się miała prawo, smucić się tylko umiała. Czas zdawał się bieg swój zwalniać dla niej, a raczej ona nie dawała mu ulatywać daremnie; powinności religii, nieustanna staranność o dzieci, rząd domowego gospodarstwa, regularne pisywania do osób, którym względy uszanowania lub przyjaźni należały od niej, ćwiczenie się w naukach, językach, talentach, roboty ręczne, które wśród zabawy i społeczności nosić z sobą była zwykła — wszystko to mieściło się snadnie w ciasnym dla innych dnia jednego zakresie, wszystko szło szykownie i nie spychało się nie zawadzając sobie i nic zaniedbanem, długo spóźnionem nie było. Gdziekolwiek przydłużej zabawić miała, naznaczała zaraz podział godzin i zatrudnień swoich; rzadko ją widziano tak zajętą, żeby się zabawie udzielić wzbraniała, owszem (co może jest najpewniejszym pracowitości dowodem) pospolicie zbywało jej czasu na zabawę, a ta była tak łatwą dla umiejącej się lada fraszką rozerwać; nudzenie się było niepodobnem dla nieumiejącej nigdy próżnować. Język francuski posiadała doskonale, niemiecki — ile go do potocznego użycia było potrzeba; włoskiego i angielskiego własną pracą i ćwiczeniem się nabyła tyle, iż czytała i tłómaczyła z łatwością. Kilka ksiąg wypisów jej ręki z dzieł przez nią czytanych i gdzieniegdzie przyłączone jej własne uwagi świadczą czystość jej gustu i trafność rozsądku. Liczne miniatury widzieć dają, iż talent ten, nad inne od niej upodobany, dalej posuwała niż zwykł bywać u tych, co z niego zabawy tylko szukają. W papierach i gracikach zupełny utrzymywała i zostawiła porządek; wydatki swoje zawsze do miary sposobów stosować gotowa, nie znała wymysłów kosztownych. Dom jej był domem pokoju. Strofowanie służących większą dla niej było przykrością, niż dla nich karą; bojaźni wiele nie wrażała; była przecież słuchaną, bo niekochaną być nie mogła. Serce jej nie znało wzburzeń gwałtownych — bez słod-

kich uczuć obyćby się nie mogło. Taką była córką, żoną, matką, przyjaciółką, iż dla osób temi związkami z sobą spojonych nie było ofiary, którejby nie była gotowa, nie była rada uczynić“.

„Czemuż powiedzieć tu nie mam ze sprawiedliwą chlubą, ze sprawiedliwszą jeszcze wdzięcznością myśleć mi się godzi, żem pierwsze w jej sercu posiadał miejsce; obok ze mną w temże sercu pomieszczone były Puławy, to cnoty, czułości, światła, przymiotów wszelkich siedlisko zamykało w sobie drogie składy i cele jej przywiązania i szacunku, jej najdawniejszej, najpoufalszej przyjaźni. Od dni dzieciństwa aż do dni ostatnich chwile tam spędzone między najmilsze liczyła. Tam nie inaczej jak córka i siostra widziana była; tam imię jej nie zaginie pewnie i w każdem wspomnieniu z czułością święcone być nie przestanie“.

Ostatni okres pisma Matuszewicza podaje nam klucz do zagadki, jaką przedstawiają stosunki jego z Puławami po wrogich zajściach jego ojca tak z Czartoryskimi, jak i z podskarbim lit. Flemingiem, ojcem księżny Izabelli. Zresztą było to już inne pokolenie i inni ludzie w bardzo odmiennych czasach. Zofia Matuszewiczówna przyszła tedy dnia 21 grudnia 1796 r. na świat w Sieniawie; tam również pogrążony w żałobie ojciec złożył ją po zgonie matki w objęcia Księżny. Było to snać wówczas rzeczą dość zwyczajną: podobnie po śmierci swej żony Karoliny z Wodzickich kasztelanic brzeski Jan Bystry oddał córeczkę swoją pani wojewodzinie ruskiej Józefie z Mniszchów Szczęsnowej Potockiej, a sam za granicę wyjechał. Związki pokrewieństwa szerzej i nieco inaczej były pojmowane, niż dzisiaj. Księżnej mógł ten przyrost troski wydawać się ciężkim; własne jej córki były już odchowane, starsza, Marya, już rozwiedziona z księciem Wirtemberskim, mąż przeważnie bawił w Wiedniu, ukochany syn Adam w Petersburgu, skąd miał niebawem jako poseł do Włoch wyruszyć. To jednak, co mogło być ciężarem, stało się wkrótce źródłem pociechy. Widzimy to z listu, pisanego do syna w marcu r. 1800. Księżna skarży się w nim, że „z powodu zdrowia i wieku“ mało

może pracować, bezczynność zaś była istną męczarnią dla jej ognistej natury. „Jedna rzecz — dodaje — rozrywa mnie teraz, to maleńka Zosia Matuszewiczówna. Prześliczne to dziecko, przytem zabawne i oryginalne. Jej myśli rozwijają się staraniem mojem. Zresztą pamięć jej biednej matki i wdzięczność samego Matuszewicza przywiązuje mnie do tego dziecka. Mówi do mnie często: „I ja pojadę do Włoch do twojego Adama!“...

Zosia liczyła wtedy lat cztery. Czas jej wychowania trafił na drugą porozbiorową epokę Puław, podniesionych niemal z ruiny po burzy wojennej, epokę, gdy mieszkańcy ich żyli bardziej umysłem i sercem, niż czynem. Stąd też różnica pomiędzy pierwotnem wykształceniem jej a córek księżny. P. Zofia Zamoyska żali się mocno w swoich zapiskach na zaniedbanie, w jakiem wyrosła — u Zosi przeciwnie, znać raczej przeciążenie nauką. Nie wiadomo czy dobra, ale ograniczona M-lle Rose, o której pisze, była tą samą p. Petit, która wychowała księżniczki; wraz z Zosią chowała się wielce przez nią kochana Kamilla Wierzchowska, panny Aniela Bisping i Lili (?), oraz starsze o parę lat Cecylia Beydal i Marya Dzierżanowska, zwana pół żartem „królewną“ dlatego, że ojciec jej, wędrując po dzikich krajach, panował był czas pewien nad jakąś wysepką. Znany jej romans, zakończony małżeństwem z ks. Konstantym Czartoryskim, wzbudził zrazu gniew tegoż rodziców i wielkie zajęcie puławskich panienek. Zosia umieszcza w swoim albumie jej pożegnalny bilecik z własnym charakterystycznym dopiskiem:

„Pauvre Marie! Całą jej winą było, że zanadto kochała“.

Album ten, oprawny w ciemno-zieloną skórę ze złocistym napisem „Sophie“, zawiera na pierwszej stronie bardzo czułe wyrazy księżny Jenerałowej, nakreślone w dzień imienin Matuszewicza, 28 października 1812 r. w Sieniawie. Zosia jednak musiała go już dawniej posiadać, sądząc z treści kart pokrytych bardzo wyblakłem i bardzo drobnem pismem. Rozpaczliwie złego atramentu musiano w Puławach i Sieniawie używać — toż mnogie rękopisy z XVII, a nawet XVI wieku, zachowały się lepiej.

Zrazu, przerzucając te strony ma się wrażenie, że się z nich nic nie dobędzie: wypisy literackie, parę rysunków, dużo zasuszonych kwiatów, niektóre opisy i dużo po francusku wyrażonych uczuć. Powoli jednak z tej wonnej a lekkiej gmatwaniny wyłania się moralna i fizyczna postać uroczego dziewczęcia. Dalej jeszcze dochodzi się do przekonania, że Zofia padła ofiarą swego wychowania — istnej antitezy dzisiejszych studyów kobiecych. O ile bowiem nowoczesny system, skierowany wyłącznie ku celom utylitarnym, zabija w kobiecie cechę poezyi, osłabia uczuciowość, w której miejsce wkraczają nerwy i namiętności — o tyle ówczesne wykształcenie potęgowało wyłącznie stronę uczuciową, romantyczną, pielęgnowało niekiedy do zbytku estetykę umysłu i serca. Wypisy w zielonym albumie wskazują na przerażającą ilość belletrystyki pochłoniętej przez wychowankę ks. Izabelli; główną tam rolę gra oczywiście literatura francuska, ale jest i sporo niemieckiej, nieco włoskiej i pewien zasób polskiej, bardzo żywotnej, bo złożonej ze świeżo powstałych utworów „pana“ Niemcewicza, Krupińskiego, ks. Izabelli, ks. Wirtemberskiej i innych. Wśród tej powodzi znaleść można dużo myśli głębszych, dużo uwag poważnych lub bystrych spostrzeżeń, których sam wybór lub podkreślenie świadczy o niezwykłem wyrobieniu u 15- i 16-letniej dziewczyny: dzisiejsza panienka, acz biegła w algebrze i fachowo-filozoficznym żargonie, nie zdołałaby zastanawiać się nad podobnemi zagadnieniami psychologii. Dziś jest za mało tego, czego naówczas było za wiele. W zapiskach własnych Zosi znać przeczulenie, przedelikacenie uczuć, ustawiczną analizę swego rzecby można „nastroju“, gdyby tego wyrażenia nie używano na określenie mniej lub więcej sztucznego naprężenia nerwów. Przy końcu dnia Zosia rzadko kiedy opisuje co robiła, kto przyjechał i t. p. — ale zawsze, w jakiem była usposobieniu. Toż samo dzieje się, gdy przy końcu roku reassumuje ubiegłe dwanaście miesięcy. Często ma się jej za złe, że nam nie więcej donosi z zewnętrznego świata. Co prawda zapominamy, że pisała dla siebie, a nie dla nas.

Towarzyszki jej dzieliły z pewnością jej literackie zajęcia; te jednak musiały inaczej wpływać na mniej subtelne lub silniejsze fizycznie natury. Skutkiem tego była duchowa samotność, na którą — zwłaszcza pod nieobecność Kamilli Wierzchowskiej — skarży się tak często Zosia. Księżnę kochała bardzo, tak, że każdy jej wyjazd był zmartwieniem; były to jednak zbyt odmienne natury: u starszej ognista wyobraźnia, gorączka ruchu, wybujałość egzaltacyi wylewająca się każdej chwili na zewnątrz i wywołująca podobną egzaltacyę w całem otoczeniu — u młodszej misterna delikatność myśli, głębokość uczucia, zasłaniająca się instynktowo przed wzrokiem ludzkim, krzepnąca wśród zgiełku hałaśliwych objawów radości lub entuzyazmu. W całym, niemal 500 stronnic zawierającym tomie, nie ma prawie śladu uczuć patryotycznych: prawdopodobnie w sercu ich nie brakło, ale ich wyraz zmroził demonstracyjny patryotyzm Puław, podobnie jak u wielu młodych objawy pobożności tłumi demonstracyjna religijność matek.

Prócz książek, jednem z głównych zajęć Zosi był rysunek, którego kilka wcale udatnych próbek zostawiła w albumie, kreśląc piórem obrazki Puław i Sieniawy, drobną figurkę, w której możnaby się dopatrzeć podobieństwa do Księżny, a oprócz tego na osobnych kartkach różne humoreski, o których jednak nie wiadomo czy z pod jej własnej pochodzą ręki. Jest mowa i o gospodarstwie, choć to polegało zapewne na nalewaniu herbaty, o robotach ręcznych nie ma również dokładnych szczegółów. Za to spacery powozem lub konno, rzadko piechotą, dużo zajmowały miejsca w rozkładzie dnia. Sama Księżna większość czasu spędzała na dworze, pracując w swych ukochanych ogrodach, przyczem — jak to często u naszych pań bywa, a nie zawsze jest dla drugich zabawnem — brała sobie do towarzystwa jedną z panienek. One również uczestniczyły w jej stosunkach z ludnością wsi okolicznych; być może, iż pierwszym początkiem ich była moda — wynikiem jednak stawały się niezliczone a osobiście wyświadczane dobrodziejstwa, zakładanie w Sieniawie szkółek wiejskich i kas zaliczkowych, które wielu

mieni być wynalazkiem dzisiejszej „pracy społecznej“. Samo zaś zetknięcie z biedą ludzką mogło tylko korzystnie działać na wyrobienie młodych dusz. Oto, co pisze Zofia Matuszewiczówna w swoim pierwszym datowanym zapisku:

„Sieniawa, 18 maja 1812 r. Pojechaliśmy na śniadanie na drugi brzeg Sanu, Księżna, ja, Kamilla, Aniela, Lila, M-lle Rose, ks. Adam, p. Krupiński i kilku mężczyzn. Przeprawiwszy się przez wodę, przeszliśmy pieszo łąkę okrytą kwiatami. Stół był zastawiony pod cieniem drzew kwitnącego sadu, wśród którego stała chata z gniazdem bocianiem na dachu. Zajadaliśmy smacznie i rozmawiali wesoło — bawiłam się wybornie. Ale wychodząc — co za odmienne wrażenie! — ujrzałam wiejską kobietę z dzieckiem u ręki; powiedziała mi, że jej dwoje dzieci umarło z głodu i że ta ostatnia dziewczynka wkrótce też podobnie zmarnieje. Z twarzy kobiety widniała rozpacz, a zbolała twarzyczka dziecka zdała się błagać o litość. Wtedy zrobiło mi się wstyd mego szczęścia i mojej zabawy; cała radość była zwarzoną. To wrażenie różnicy między stanem owych biedaków a mojem szczęściem, nie zatrze się nigdy“...

Kto wie, czy powyższe zajście nie odbiło się istotnie w późniejszych latach na usposobieniu Zosi? Na razie odzyskała szybko swobodę swoich lat pietnastu; dziwnem jest tylko, że podczas gdy inne dziewczęta cieszą się nią bezwiednie i niemal bezmyślnie, ona widziała się młodzintką, lekką, swobodną, czuła przejściowość tych chwil radosnych, patrzała na siebie samą i na swoje życie tak jakby przez lunetę z okienka:

„Dnia 31 maja 1812 r. Dziś ostatni dzień maja — przeżyłam go tak szczęśliwie! Maj wydaje mi się być w roku tem, czem rok pietnasty jest w ludzkiem życiu. Nic już później nie jest tak świeżem ani w życiu, ani w naturze. Rozsądek dojrzewa, kwiaty się rozwijają, ale już brak tej swobody, tej nadziei dni jasnych, już życie nie tak pachnie a urok marzeń o chwili obecnej i o chwilach przyszłych — zgaszony. Pory roku wracają i zapewne niejedną jeszcze obaczę wiosnę, równie piękną jak ta, którą przebyłam, ale czy i mnie te

wiosny taką samą zastaną, jaką jestem dzisiaj? Będę mędrszą — ale czyż utrata złudzeń jest szczęściem? Własne doświadczenie jeszcze mi na to odpowiedzi nie daje, ale serce jakoś szepce, że nie jest tak dobrze i wygodnie na świecie! Chciałabym was zatrzymać, moje pietnastoletnie majowe wrażenia — ale czy zdołam? W moim wieku na nic liczyć nie można — trzeba iść w życie uzbrojonym w wiosnę, trzeba jej zaczerpnąć dużo i wziąć zapas na drogę. Zdaje mi się, że zapas wzięłam, ale być może, iż mi się tylko zdaje“...

Dziwnie od tych wonnych a zarazem zbyt poważnych myśli odbija bilet tuż przed tą stroną wklejony, nakreślony pismem większem, kształtnem i śmiałem, pochodzący zapewne z dnia 15 maja, imienin Zosi. Dzień ten obchodzonym był zazwyczaj gwarnie w domu Czartoryskich nietyle z powodu p. Matuszewiczówny, co młodszej ich córki, Zofii Zamoyskiej. Tym razem jednak musiało być w grze uczczenie tylko młodszej Zosi:

Bilet zapraszający, który Papuga powinna rozesłać.

Stara i wierna sługa,
Panna Papuga,
Swojej Pani na wiązanie
Dając dziś wielkie śniadanie,
W dom swój na dziewiątą prosi
Panny Kamilli, Anieli i Zosi.
Pochlebia sobie, że i książęta,
Dla których czcią jest przejęta,
Zaszczycą ją swoją łaską
Wraz z Szczurkiem, Myszką i Maską.

Zapewne na takich śniadaniach w towarzystwie „Szczurka, Myszki i Maski“ bywało dużo śmiechu, a „Papuga“ nie jednej Zosi imieniny święciła. Jasne dni Sieniawy miały wszakże tego roku wcześnie się zakończyć. Księżna wyjechała do Warszawy, a z nią bardzo żałośnie wyjechała i Zosia, nienawidząca od dzieciństwa pobytów w mieście. Żyjąc w naszych czasach, byłaby jako pietnastoletnia panienka z war-

koczem i krótką sukienką zerkała ciekawie przez uchylone drzwi na zabawy starszych, wówczas pozwalano dziewczętom brać w nich otwarcie udział. A zabaw tych nigdy nie brakło w Warszawie. Księżna Izabella jednak umiała je często zużytkować dla poważniejszych celów. Ona to głównie była inicyatorką sławnych po wsze wieki „karrot“ warszawskich, była zdania, że nie ma sensu zabawa, z której nie korzystają ubodzy. I miała słuszność; były to bowiem czasy zbyt poważne na czcze rozrywki. Syn jej Adam złożył był właśnie ostatecznie dymisyę z piastowanych dotąd prawie poniewoli urzędów, przyczem pisał do cesarza Aleksandra[1]):

„Polska uroczyście proklamowaną została przez powszechną konfederacyę, na czele której stoi mój ojciec, a słowo „Polska“, wypowiedziane przez jego usta, jest dla mnie decydującem. Rozpoczęto już zastosowanie środków surowości, których dobroć W. C. Mości pewnie już nie powstrzyma i zestarzała nienawiść postawi przeciw sobie dwie narodowości, które mogły były poczytać się za siostrzane. Krwawa walka utrwali byt mojej ojczyzny albo ją zniszczy, okryje żałobą i nieszczęściami. Cała moja rodzina, przyjaciele i bliżsi mi, stoją w pogotowiu“.

Po wysłaniu dymisyi ks. Adam wyjechał do Karlsbadu, gdzie czekał długo zwlekanej odpowiedzi cesarza; książę Jenerał nosił tytuł marszałka konfederacyi, mającej za cel przywrócenie niepodległości ojczyzny — można się więc domyślać, o czem mówiono na „codziennych licznych herbatach“ księżny Izabelli.

O ile ogólny entuzyazm działał na Zosię — nie wiemy jeżeli zaś w ogóle działał, to deprymująco, jak widać z zapisku datowanego:

„Puławy, 18 sierpnia 1812 r. — po dwóch miesiącach nudnego i smutnego pobytu w Warszawie. Jesteśmy tu od tygodnia. Dobrze mi jest i lepiej niż w Warszawie, ale już nie tak bardzo dobrze. Już mi życie samo przez się nie wy-

---

[1]) *Pamiętniki Księcia Adama Czartoryskiego.* Tom II, str. 167 Ustęp z listu ks. Adama z dnia 4 lipca 1812 r.

starcza do szczęścia, jak starczyło w maju w Sieniawie. Ten kochany maj pozostanie mi zawsze w pamięci! Poprzednio nie umiałam tak się cieszyć, bo byłam zbyt dziecinną, a teraz już się nigdy tak swobodnie cieszyć nie będę, bo już jestem za mało dziecinną. Pamiętam pewien czwartek: wybiegłam na dziedziniec, gdzie wszyscy na mnie czekali. Każdy był wesół, ale nikt nie mógł takiej pełni szczęścia używać, jak ja, która wraz z swobodą dziecka posiadałam wszystkie dary młodości. P. Krupiński powiedział, że „rozweselam jak zorza“.

Koniec tegoż 1812 r. przynosi nam jeszcze zapisek czułego a smutnego pożegnania z końmi, które były dotąd „przyczyną i hasłem wszystkich uciech“ sieniawskiej młodzieży. Księżna sprzedała je dnia 9 grudnia dla „chwalebnych i szlachetnych celów“, zapewne patryotycznych. Był to czas gdy dla tych samych „szlachetnych celów“ babki nasze sprzedawały na wagę najpyszniejsze koronki; w Rydzynie została pamięć o nadzwyczajnej koronce, której rysunek wyobrażał całe polowanie na jelenie, a którą ks. Antoniowa Sułkowska poświęciła w ten sposób, nie bacząc, iż rzecz wartą była sto razy więcej od osiągniętej sumy [1]). Podobnie zapewne ks. Izabella zmarnowała swoje ulubione konie; w takich chwilach jednak nie zastanawiano się, każdy rzucał na ofiarę co tylko miał — najszczęśliwszy kto mógł rzucić siebie samego, jak to uczynił był zięć Księżny, Zamoyski, który postawiwszy pułk własnym sumptem, pełnił w nim służbę prostego żołnierza. Dziwnem jest, że Zosia nie pisze wyraźnie o celach Księżny — czyżby ją, w razie przypadkowego odkrycia albumu, krępowała obawa skompromitowania Sieniawy w oczach austryackiego rządu? Niestety i to być może, bo dzieje ucisku nie od dziś u nas się datują i tylko geograficzne pole repressyi od czasu do czasu się zmienia. W miejsce tego wy-

---

[1]) Podobnie w tak zw. »Skarbcu« w Chrząstowie koło Koniecpola znaleziono całą kupę puzderek od klejnotów, sprzedanych czy to w czasach Kościuszkowskich, czy za wojen napoleońskich.

jaśnienia mamy bilecik Księżny z morałami i życzeniami towarzyszący zegarowi podarowanemu wychowance w dzień jej urodzin, mamy pióra Kamilli Wierzchowskiej odę na cześć doniczki mirtu, która zdobiła stół jadalny przy każdej uroczystości, a więc i przy uczcie wigilijnej r. 1812. Mamy wreszcie „portret“ Zosi, nakreślony przez Maryę — zapewne Dzierżanowską:

Portret Zofii Matuszewiczówny (grudzień 1812 r.).

„Zosia ma szczęśliwy charakter, jaki Bóg czasem w Swej dobroci sposobi, stworzony ku radości tych, co są przez nią kochani, a zdolny zarazem jej własne szczęście zapewnić. Zda się, że wystarczy na nią spojrzeć, aby być o jej przyszłość spokojnym. Z jej twarzy taka patrzy cisza i pogoda, że niepodobna sobie wystawić, aby burze tego życia mogły kiedykolwiek zamącić ich świeżość. Może się mylę, ale mi się zdaje, że w duszy Zosi zawsze panować będzie taki sam ład, taka harmonia, jaką dziś w jej pokoju widzimy i jaka kiedyś będzie w jej domu. Wszystko tam będzie urządzone i uregulowane: żadnych kontrastów i żadnych sprzeczności. Jej zasady będą w zgodzie z jej uczuciami, a jej uczucia z jej losem. Zosia jest uczuciową, choć to mało objawia, rozsądną a nie chłodną, myślącą ponad swój wiek, dyskretną aż do największej skrupulatności, nietylko bowiem nie jest zdolną zdradzić tajemnicę, ale nawet dać poznać, że jakąkolwiek posiada. Nie umiem orzec, czy Zosia jest wesołą? Wszakże chętnie się śmieje, z żywością bierze udział w rozrywkach, gdy jej się nastręczają i znów bez żalu opuszcza zabawę dla poważniejszych zajęć, których jej czynny umysł odczuwa potrzebę. Umysłu zaś jej możnaby pozazdrościć tak dla własnej korzyści, jak i dla przyjemności drugich: jest prosty, łatwy i wykształcony. Zosia posiada jeszcze miłą zaletę: otwartość, z jaką przyznaje się do winy chętnie i rychło, a z nią szczerość duszy stającej zawsze, bez względu na narażenie się, po stronie sprawiedliwości i prawdy. Dyssymulacya jest dla niej wprost niemożliwą, gdyż twarz jej zdradza wszystkie jej wrażenia. Wyobraźnia jej jest świeża

i żywa, ale bez egzaltacyi. Nakoniec, jeżeli Zosia ma jaką wadę, jest nią słabość, towarzysząca zwykle wielkiej słodyczy, poddająca ją bezbronnie wpływowi ukochanych przez nią osób. Ale i ta wada może się tylko do jej szczęścia przyczynić, gdyż posiadając sąd jasny i zdrowy, nie odda łatwo ani swej przyjaźni, ani zaufania. To też jak młoda roślinka chwyta się podpory, tak Zosia odda kierunek swojej młodości tej, która była opiekunką jej lat dziecinnych".

„Jakże się stało, że skończyłam portret Zosi, nie czyniąc wzmianki o jej fizycznej postaci? Być może, iż jej strona zewnętrzna tak jest z moralną złączona, iż pisząc o jednej, zapomniałam o drugiej. Zapomniałam, że Zosia nie będzie zawsze miała 16 lat! Posiada ona piękne oczy, bardzo białe zęby, dużo świeżości i uroku, kibić nadzwyczaj zgrabną, choć niezbyt wysoką; w obejściu jej jest wiele wykwintności i wdzięku, a zarazem dużo prostoty pod osłoną skromności dziewiczej, słowem — jestem zawsze uderzoną harmonią tego, co w niej się widzi, z tem, co jest w rzeczywistości".

Zosia była bardzo zadowoloną z portretu — co się ludziom rzadko zdarza. Cieszyło ją zwłaszcza, że p. Dzierżanowska, która zapewne była wypróbowała jej wielką, zachwalaną w portrecie dyskrecyę, umiała odgadnąć uczuciową stronę jej duszy. Samo to zadowolenie świadczy jednak, jak mało wówczas samą siebie poznała; czytając zapiski z jej lat następnych, niepodobna nie uśmiechnąć się wobec twierdzenia o jej uleganiu cudzym wpływom, a zwłaszcza o niezdolności ukrycia swych wrażeń. Co prawda zmiany w usposobieniu młodych przychodzą szybko tak, że Zosia, jaką odrysowała panna Dzierżanowska, mogła być odmienną od tej, jaką wytworzyło życie i — snać niewesołe — okoliczności. Ogólne nieszczęścia musiały przecież mimo woli i wiedzy na usposobieniu każdego się odbić. Prócz tego Zosia przebyła długą chorobę i inne nieznane nam przykrości. Maj bowiem w r. 1813 nie był już dla niej świetlanym snem, jak poprzedniej wiosny. Na dniu 31 maja spotykamy smutne porównanie złotych chwil minionych z obecną. W r. 1811 licząc lat 14, była szczerze, zupełnie, ale bezwiednie szczęśliwą,

w r. 1812 mając lat 15, widziała swoje szczęście, odczuwała je i ważyła:

„Ale w tym roku... cóż mam powiedzieć? Maj moich lat 16 źle się wyda wobec poprzednich. Niebo było wciąż zachmurzone, przez duszę moją również przechodziły chmury. W czasie, który pomiędzy niemi upływał, serce moje było tak często zrażone *(froissé)*, tak często zmartwione i smutne, że już się mniej łatwo wesołości otwiera, a przeciwnie częste przykrości powszednie i boleść smutnych wypadków ogólnych łatwiejszy doń przystęp znajdują. Wprawdzie odczuwam to, co mi się przytrafi dobrego, ale gdy mam zmartwienie, odczuwam je stokroć silniej. Odtąd każdy dzień przyniesie mi jakieś nowe spostrzeżenie, a natomiast zniweczy jakieś złudzenie, każdy — jakąś nadzieję zastąpi wspomnieniem. Więcej jest urojeń, niż rzeczywistości. Wszystkie moje sny szczęścia koncentrują się dzisiaj w jednym wyrazie: spokój. Bodaj serce moje nie zaznało nigdy namiętności, któreby uwieść je mogły; bodaj życie moje upłynęło spokojnie wśród jednostajności i ciszy!“

Jakże silnem musiało być uderzenie wichru, który złoty pyłek swobody otrząsł z rozwijającego się kwiatu! Nie złamał go wprawdzie, ale zda się jakoby w nim „sprężynę szczęścia“ osłabił i to — na zawsze. Odtąd istotnie w zapiskach Zosi coraz rzadziej odzywa się nuta wesela.

„Sieniawa, 17 czerwca 1813 r. Nie pisuję już w mojej książce. Z każdym dniem trudniej mi przychodzi zdać sobie sprawę ze wszystkich moich uczuć i wszystkie myśli przelać na papier. Nie mogę wszakże przepuścić miłego dnia lub nawet miłej chwili, nie usiłując przedłużyć ich istnienia zapisaniem szczegółowo ich wspomnień. Odtąd z tem wszystkiem książce mojej się zwierzę. Dnia 7 tego miesiąca mieliśmy w Bażantarni podwieczorek, który nazwę d o b r y m[1]). Piękny wieczór, ładna miejscowość, muzyka przypominająca

---

[1]) Ten wyraz wyjątkowo po polsku. W ogóle Zosia mięsza zdania lub wyrazy polskie wtedy tylko, gdy chce na coś nacisk położyć.

mi Puławy i więcej serdeczności niż zwykle ze strony tych, co mnie otaczali. Takim był podwieczorek 7-go. Dnia 13 zaś wszystkie dziewczynki z pensyi przyszły na dziedziniec się bawić. Miały wszystkie wianki z bławatków i grały w *cerceau*, tworząc obraz tak ładny, że mnie rozweselił na cały dzień. Wczoraj dnia 16 była rocznica wyboru Księcia posłem w Warszawie. Byłam moralnie i fizycznie literalnie zdławiona otaczającym mnie tłumem gości, hałasem i zgiełkiem. Dziś o tej samej godzinie czytałam sama w wielkim klombie lipowym. Nie widziałam nic prócz zieleni, nie słyszałam nic prócz świergotu ptasząt. Może przez porównanie poranek ten wydał mi się tak cudnym".

Książę Jenerał, o którym tu mowa, bawił od r. 1812 niemal stale w Sieniawie; wtedy jednak właśnie wybierał się w drogę do swych ulubionych kąpiel, dziś zapomnianych, do Bardyowa, zabierając ze sobą najbliższą przyjaciółkę Zosi, Kamillę Wierzchowską. Żal z tego rozstania był nieograniczony:

„*Sieniawa, 25 czerwca 1813 r.* Kamilla pojechała. Jak mi bez niej smutno! Jakże mi jej brak! Kocham ją tak bardzo i dla tylu powodów. Gdybym przynajmniej miała nadzieję, że jej wody w Bardfeld (*sic*) pomogą, ale w tej chwili czuję się bez niej tak osamotnioną, iż mi się zdaje, że i jej bezemnie nie będzie dobrze".

„*Sieniawa, 30 czerwca 1813 r.* Jedliśmy kolacyę w Bażantarni i pragnę zaznaczyć miłe wrażenia powrotu. Jechałam na koźle koczyka, mogłam więc używać całej pełni pięknego wieczoru. Śliczny lasek, któryśmy przejeżdżali, był cały oświetlony mnóstwem latających świętojańskich robaczków. Blask ich rzucał łagodne światło na ciemne tło świerków, a w górze zdał się łączyć z niebem gęsto zasianem gwiazdami.... I patrząc na to niebo tak piękne, spokojne i jasne, pomyślałam, że śmierć nie miałaby dla mnie nic strasznego, że umierając byłoby mi jedynie, pomimo mojej młodości, żal tych, których kocham, smuciłabym się tylko zmartwieniem, jakieby im rozłączenie ze mną może sprawiło. Życie, ta długa droga, którą mam do przebycia, wzbudza

we mnie daleko więcej obawy, niż nadziei i pragnień. Im dalej tym gościńcem idę, tem mi się wydaje trudniejszym i tem częściej po drodze stykam się z nieszczęściem".

Zmiana otoczenia snać nie wpływała na bieg myśli dziewczęcia. W pierwszych dniach lipca ks. Izabella wzięła ją ze sobą do Łańcuta, w odwiedziny do ukochanej siostry swego męża, księżny Marszałkowej Lubomirskiej. Tu Zosia znalazła czas, aby robić wypisy ładnych myśli z powieści Kotzebue'go [1]), poczem przepisawszy jeszcze powiedzenie bohaterki, snać bardzo czemś wzruszonej: „Mieszam wszystkie jedwabie — róże haftuję zielonym *et les pensées je les brode en noir*", dodaje:

„Łańcut, 7 lipca 1813 r. Przed przepisaniem tych słów zastanowiłam się nie wiem ile razy, dlaczego mi się tak podobają. Nie mogłam znaleść przyczyny, ale — czyż jej potrzeba? Po co? Czyż ta książka nie jest dla mnie samej? Jestem dość wesoła, a przecież to, co piszę, co przepisuję, co mi się podoba, jest prawie zawsze smutnem".

I znów dalsze cytaty z Kotzebue'go, opatrzone komentarzami i datowane z 12 lipca jeszcze z Łańcuta, a wreszcie ułożone artystycznie i przylepione na karcie listki i kwiaty:

„Puławy, 17 lipca 1813 r. Te kwiatki są z Łańcuta. Włożyłam je do książki na pamiątkę ośmiu miłych dni, które tam spędziłam. Tak jest, były to mile i dobre dni, miały dla mnie urok, który, gdy się z nim spotykam, dziwną wonią napełnia mi życie. W Łańcucie doznałam przychylności od wszystkich. Dodało mi to odwagi, dodało ufności. Ani razu zaś nie doznałam owych długich chwil zniechęcenia, pod którem nieraz upadam, które tyle czarnego smutku wlewa mi w serce. Było mi dobrze wśród życzliwych ludzi. Było mi również dobrze, gdy wracałam do mojej izdebki... (ustęp wymazany). Bratki pochodzą z ogródka, liść geraniowy z du-

---

[1]) Istotnie ładnym jest następujący aforyzm: »Przyjaźń ze złymi — podobna do porannego zmroku, który z każdą chwilą zanika. Przyjaźń z dobrymi — jak zmrok wieczorny wzrasta z każdą chwilą, aż słońce życia zagaśnie«. (Kotzebue: *Leontine de Blondheim*).

żego ogrodu, trawka ze Szczygiełek (?), dokąd zrobiliśmy wodą śliczną przejażdżkę. Mój Boże, mój Boże! skądże w moim wieku to zniechęcenie, które mi ściera barwy z obecnego życia i czarny cień rzuca na przyszłość? W podobnych chwilach takie mnie chwyta pragnienie rozstania się z życiem, tak wielki strach przed przyszłością! A przecież życie zewsząd mi się uśmiecha, a przyszłość zapowiada się zewsząd szczęśliwą. Mam dobrego ojca, mam matkę zastępującą mi tę, którą mi Bóg zabrał, mam zdrowie, majątek i lat 16! Czegoż mogę więcej pragnąć i co to jest to c o ś, czego nie znam, a czego mi potrzeba, aby módz wszystkiem innem się cieszyć? Słusznie kochałam Łańcut za to, że w nim nie przeżyłam ani jednej z tych chwil, w których czuję się wprost nieszczęśliwą. Radabym się odmienić, pozbyć się tych napadów trwogi, gdzie sobie powiadam: Mam dopiero 16 lat — wieleż to jeszcze lat do przeżycia!“...

„*Puławy, 7 sierpnia 1813 r.* Jesteśmy prawie od miesiąca w Puławach, gdzie czas szybko upłynął. Przyjeżdżając tu w pierwszej chwili ścisnęło mi się serce: ścieżki zarośnięte, okiennice zawarte, wszędzie pustka i cisza. Pokoik mój przypominał mi długą bolesną chorobę. Księżna jednak zabrała mnie zaraz do ogrodu i sam jego widok wspaniały, wzbogacony dla mnie wspomnieniami z dzieciństwa, wystarczył, aby mnie podnieść na duchu. Na drugi dzień również i pokoik mój, przystrojony kwiatami, odzyskał swój poczciwy i wesoły wygląd, a rozkład mego dnia został uregulowany w następujący sposób. Śniadanie, potem wielki spacer pieszo lub powozem. Wracam około 10-ej i aż do obiadu zostaję s a m a u siebie, czytam, robię robotę, zapisuję w mojej książce lub piszę do Kamilli, bez której nie może mi tu być całkowicie dobrze. Po obiedzie gram na fortepianie i zajmuję się różnie aż do spaceru, który regularnie kończy się w Julinkach, gdzie jemy podwieczorek; stąd jeszcze przejażdżka, poczem wieczorem czytuję głośno coś zabawnego. Od dwóch tygodni atoli mamy tu dużo osób z powodu przechodu wojsk rosyjskich. Na podwórzu znów rojno i gwarno, co mi przypomina dawne ludne i szczęśliwe Puławy. Dużo się tu obecnie

muzykuje, a wtedy tak miło siąść przy oknie i pisać do Kamci! Wieczorami jeździmy do Parchatki, Celejowa, Czerdaku, co wszystko mnie bawi. Również siedząc w..." (wiersz wymazany).

„Puławy, 11 sierpnia 1813 r. (nalepiony suchy liść krwawnika). Ten listek pochodzi z grobu biednej pani Goltz, a ten drugi zerwany obok kamienia, pod którym leży „aniołek". Kładę je tu na pamiątkę miłego wieczoru. Pojechaliśmy do Błochowic łódką przez łachę, kędy tak dobrze marzyć pomiędzy zieloną kępą a pięknym ogrodem. Jedliśmy podwieczorek u proboszcza, poczem poszłam do kościoła i na cmentarz. Obeszłam go dokoła, odczytując wszystkie napisy, wyryte ręką przyjaźni, wdzięczności lub żalu i modląc się za dusze spoczywających tu ludzi. Najdłużej zatrzymałam się przy „aniołku" i przy pani Goltz, która mi zawsze tyle okazywała dobroci. Wróciliśmy bardzo późno, piechotą. Nigdy wieczór nie wydał mi się tak pięknym, bo też czułam się smutną a zarazem szczęśliwą i tak spokojną!"

„Sieniawa, 22 października 1813 r. Wrzesień w r. 1813 był dobrym, był miłym; pozostawił mi słodkie wspomnienia, wrażenie radosnego spokoju, które mile zabarwiło wszystkie moje uczucia. Czemuż tu nie miałam Kamilli? Wtedy to byłabym mogła powiedzieć: Tak mi było dobrze, że mi lepiej być nie mogło! Dnie 1, 2, 11, 13, 15, 16, 20, 22, 26 września i 5 października były dniami niekoniecznie szczęśliwszemi, ale gdzie się czułam szczęśliwszą, gdzie pogoda silniej działała, gdzie objawiana mi przychylność szła mi głębiej do serca, gdzie żywiej odczuwałam wszystkie przyjemności pobytu w Puławach. Dnia 14 października wróciłam do Sieniawy".

„Sieniawa, 28 października 1813 r. Dziś imieniny mego dobrego, mego ukochanego ojca; ten dzień mnie zasmucił, potęgując niepokój o niego, w niepewności gdzie jest, co się z nim dzieje, jak znosi te kłopoty i troski. Jakże to boleśnie od tylu miesięcy nic o nim nie wiedzieć! Dziś także urodziny ks. Konstantego. Dziś również rozmówiłam się szczerze aż do głębi serca z Kamillą. Rozstanie, które nam się

wydało tak przykrem, miało dobrą stronę, bo wlało w naszą przyjaźń bardzo dużo słodyczy i poznałyśmy jak wielce się kochamy. Było nam tego trzeba, bo ta zima, ta zła, ta smutna zima była nas rozdzieliła *(avait mis de la gêne entre nous)*. Wyłożyłam jej wszystko co czułam, opowiedziałam jak mnie bolało gdym spostrzegła, że Księżna mnie posądza o obojętność i chłód. To mi odjęło odwagę, wprawiło w zniechęcenie i apatyę. Przechodziłam wtedy bardzo bolesne chwile. Jedyna Kamcia byłaby mogła mnie pocieszyć, ale była sama zbyt cierpiąca i smutna; ja zaś nie umiałam okazać jej mojej przyjaźni, czego wynikiem było, iż czułam wobec niej nieśmiałość, zamiast ufności, której mi tyle było potrzeba. Moje uczucia przez to nigdy nie oziębły, gdyż sobie samej przypisywałam winę, gdy się mało czułam kochaną. Że jednak mnie nie rozumiała, nie umiałam jej wyrazić mojego cierpienia. Wielkiem wydarzeniem zdało się sercu memu, gdy się niekiedy przypadkiem myśli nasze spotkały. Ale po co do tych dawnych spraw powracać? Czemu nie powiedzieć raczej, że Kamcia od mego powrotu z Puław stokrotnie naprawiła winy, których ja sama byłam przyczyną. Jakże była dla mnie poczciwą moja droga, moja dobra Kamcia! Przyrzekłyśmy nic sobie wzajemnie odtąd nie ukrywać“.

„*Sieniawa, 1 listopada 1813 r.* Co za straszna perspektywa! Przez całe sześć miesięcy będzie tak, jak było wczoraj — wszystkie wieczory spędzę przy tym zielonym stoliku, gdzie zda się do końca świata zagnieździły się nudy w towarzystwie monotonii, braku swobody *(gêne)* i niezadowolenia. Gdyby przynajmniej nudy mieszkały tam same, bez tej nieznośnej kompanii, gdyby tylko na mnie działały, mogłabym się pocieszyć, ale widok tych znudzonych figur na tych twardych krzesłach!“...

„*Sieniawa, 22 grudnia 1813 r.* Wczoraj skończyłam lat 17, nie jestem już dzieckiem — samabym to czuła nawet nie wiedząc wiele mam lat. Wyszłam z tego jedynego wieku, którego uciechy i szczęścia życie po raz drugi dać już nie może“...

Następuje rekapitulacya całego roku: styczeń, luty, marzec, a zwłaszcza kwiecień ogromnie smutne, pełne zniechęcenia i nieufnego onieśmielenia, skłaniającego ją do zamknięcia się w sobie. W maju dzielne wysiłki, aby się otrząsnąć i módz używać na otaczających pięknościach: „Chciałam się podźwignąć — pisze — ale mi nikt nie dopomógł; udałam się do Boga i doznałam ukojenia“. Miesiąc czerwiec raczej dobry, niż zły: „Przy końcu wyjazd Kamci, który mi dowiódł, ile ją kochałam“. W lipcu, jak widzieliśmy, miła wizyta w Łańcucie, dnia 15 wyjazd do Puław, gdzie miano do 10 października pozostać. Tu 22 sierpnia przybycie ks. Adama: „Miesiąc wrzesień był najmilszym czasem, jaki w życiu pamiętam“. Dnia 17 października powrót do Sieniawy i przyjazd Kamilli:

„Miesiąc listopad pełen dni dla mnie jednostajnych i cichych, gdyby nie cierpienie, które u wszystkich otaczających mnie widziałam“.

Księstwo Jenerałowie Czartoryscy w przeciwieństwie do córki Zofii Zamoyskiej i syna Konstantego nie należeli do stronników napoleońskich. Ks. Izabella, wpadająca tak łatwo w entuzyazm, nie entuzyazmowała się tryumfami pogromcy — a jednak widać, iż grzmoty, zapowiadające jego upadek, zgasiły w sercu jej ukrytą nadzieję, że przecież z pośród tylu dziwów wyłoni się Polska lub przynajmniej coś dobrego dla Polski. Byłaby zapewne mogła powiedzieć, jak pewna dama francuska, zażarta legitymistka, a przecież zalewająca się łzami po tragicznej śmierci syna Napoleona III: *Vous savez si je les aime et pourtant, là, au fond du coeur j'esperais que ce serait lui qui sauverait la France!* („Wiecie czy ich kocham, a przecież tam, w głębi serca, miałam nadzieję, że on uratuje Francyę!“). Dziwna rzecz, iż powrót „wielkiej armii“ z nad Berezyny nie pozostawił śladu w dzienniku Zofii Matuszewiczówny; przecież i przez Puławy musiało się przewalić mnóstwo rannych, zmizerowanych, chorych bohaterów, ogromna moc polskiej i obcej biedy, co zazwyczaj silne robi wrażenie na duszach dziewczęcych. Spotykamy je dopiero teraz po bitwie pod Lipskiem i to jedynie jako refleks bo-

leści drugich. A potem znów, dzięki świeżo rozpoczętej kampanii, nadzieje, których sama nie odczuwa:

„Dnia 1 stycznia 1814 r. Zakończył się wreszcie ten smutny rok 1813; nowy rok wzbudza we wszystkich nadzieje. Ja jedna przewiduję w nim równie wiele przykrości, jak w poprzednim. Czemuż te czarne myśli w mojej młodej głowie? O Boże! jeżeli to przeczucia, niechże się nie spełnią!"

W tak smętnem usposobieniu przyszło Zosi wyjechać do Krakowa, gdzie pobyt, jak zawsze z Księżną w mieście, był bardzo ruchliwy, a przeto dla nielubiącej świata dziewczynki bardzo nieprzyjemny. To też pierwszy jej zapisek krakowski z 13 stycznia 1814 r. wyraża same żale i zniechęcenie, z których powodu nie umie sobie sama zdać sprawy. Drugi nieco weselszy:

„Kraków, 23 stycznia 1814 r. Wszyscy poszli na bal; zostałam sama. Miałam od trzech tygodni tyle przykrych chwil, iż chcę dobrze wykorzystać ten pierwszy przyjemny wieczór. Zostałam sama — co za smutna uciecha! Ale czasem przecież lepiej jest być samą w swoim pokoju, niż w świecie. Gdy wyjechali, zasiadłam na kanapce i jednym ciągiem przeczytałam powiastkę *Charles et Marie"...*

Owe męczarnie krakowskie były już na ukończeniu. Po dokonaniu pośpiesznych wypisów z czułego *Charles et Marie,* trzeba było książkę schować do kuferka i wsiąść do karety, zdążającej z powrotem do ukochanej Sieniawy. Księżna Izabella nie mogła jednak długo wytrzymać w spokoju. Zosia pisze już:

„Sieniawa, 6 lutego 1814 r. Księżna Wirtemberska wyjechała do Lwowa; Księżna, my trzy i p. Krupiński odprowadziliśmy ją do Oleszyc, gdzieśmy spędzili noc. Jakiż tam miły, jaki przedni mieliśmy wieczorek! P. Krupiński czytał nam opis swej podróży po Włoszech i opowiadał szczegóły. Przez ten czas budowałam fantastyczne projekta własnych podróży w przyszłości. Potem gadali o Człeku *(sic):* czem jest i czem będzie. Lubię podobne rozmowy, podające mi temat do myśli. Od kilku dni wróciłam do Sieniawy i tak jestem z tego rada, iż wszystko widzę w barwach różowych.

Mam wrażenie, że wszelkie moje złe przeczucia na ten rok już się urzeczywistniły w Krakowie i że odtąd zaznam tylko dobrego. Jakoś łatwiej się zadawalniam: same nasze baliki niedzielne wydają mi się rozkoszą, a projekt jazdy do Lwowa, zrazu tak przykry, obecnie mnie cieszy. O nie! nie ma szczęścia nad obecność tych, których się kocha, nad poczucie, że się jest otoczoną kochaniem i że się kocha tych, co nas otaczają, że się przebywa w miejscu przesyconem wspomnieniami dawnego pobytu“...

Snać barwy różowe niebawem zbladły, a istotny żal czy sentymentalizm wziął górę. Musiano to zauważyć w Sieniawie, bo oto widzimy zapisek z pod pióra Kamilli Wierzchowskiej:

„*Sieniawa, 9 marca 1814 r.* Moja Zosiu luba, nie bądź smutną — to mnie tak boli! Nie zapatruj się czarno na wszystko. Jabym ci chciała opromienić czas obecny i przyszłość, jabym ci je chciała zasłać różami! Patrz raczej na życie z uśmiechem. Moja Zulku, moja duszko, nie wiem, jak ci wyperswadować, abyś była wesołą, szczęśliwą. Już tyle o tem mówiono — ale rady w ogóle tak mało robią wrażenia; przemawiają do umysłu, ale nie do serca — więc po prostu proszę cię: nie bądź smutna, dla siebie samej i dla mnie, bo i mnie wtedy robi się smutno, tak bardzo smutno!“

Zosia rozczuliła się i obiecała poprawę, co nie przeszkadza, że w trzy dni potem pisała:

„*Dnia 12 marca 1814 r.* O mój Boże, czegoż mi brak! Ja nie wiem, ale Ty wiesz. Daj mi to, albo mi odejm moje ciężkie życie!“

W początku kwietnia snać księżna Izabella wyjechała do Puław, z tego bowiem właśnie czasu znajdujemy bilecik księcia Jenerała, charakterystyczny swą prostotą, serdecznością i makaronizmem:

„*Sieniawa, le 14 avril 1814.* Moja żonko kochana, *mes souhaits,* żebyś zdrowo i szybko stanęła *et mes regrets vous suivent,* ale z tym wszystkim *je vous conserve cependant rancune,* żeś mi szyki popsuła i nie pozwoliła, żebym ciebie do Tarnogrodu odprowadził. Dębińscy jutro jadą. Uściskay nay-

serdeczniey odemnie *la Chatelaine de Zulinki* (zda się ks. Wirtemberską), *plus on est avec elle et plus on trouve d'excellentes raisons pour la chérir; il n'est personne ici qui, n'en dise autant.* Donieś jey, że Postpiszla i Masłowskiego na miazgę zbiłem, *ce qui doit la consoler de sa déconfiture totale.* Ściskam cię żonko moja i kocham z duszy i z serca.

Voyci le buletin de mes projets.

Jeudi à Wiązownica.

Dimanche à Piskorzowice.

Mardi à Leżaysk u X. Pieniążka, któremu już się obiecałem od dawna. *Je compte à faire ces courses à cheval* w kamlotowym fraczku, bo też upały zaczynają dokuczać".

Tuż obok tej luźnej kartki, snać gdzieś rzuconej i przez Zosię schowanej, znajduje się wlepiona do książki kartka inna, zapisana ręką Księżny, świadcząca, że pomimo czarów wiosny, niejedna troska zaglądała pod dach Czartoryskich. Majątki ich były wielkie, ale w skutek wstrząśnień rozbiorów, wojen, spustoszeń i długoletniego stanu konfiskaty, dochody wpływały nieraz skąpo i nierównie, a wydatki nie łatwo było ścisnąć do pożądanych rozmiarów. Reforma bowiem taka, zredukowanie wielkiego dworu na mniejszy znaczy tyle, co pozbawienie powszedniego chleba dużo ludzi — często wprawdzie nieużytecznych, ale do tego chleba od dzieciństwa przywykłych i niemających nadziei znalezienia go łatwo po świecie. Księstwo Jenerałowie zmuszeni byli przecież w r. 1801 — 1802, wobec grożącej ruiny, poddać się takiemu uregulowaniu stosunków. Te zaś, choć wydają się bardzo szerokiemi, nam, przywykłym do matematycznej ścisłości, z jaką człowiek musi dziś żyć każdy dla siebie, stanowiły wonczas ciasne warunki życia wobec wymagań, jakie społeczeństwo, niebaczne na zmianę czasów, do magnackiego domu stawiało. Pieniędzy tam pono było często niewiele; za to obfitość ogromna w t. zw. naturaliach, trudnych do spieniężenia, a więc używanych bez skrupułu i często bez rachunku, jak to się jeszcze niekiedy dzieje w zapadłych kątach naszych południowych prowincyj. U Czartoryskich przy regula-

cyi roku 1801 — 1802 [1]) przyjęto na użytek dworski przeciętną ilość: 73 wołów (zapewne na stół książęcy) i 17.372 funtów wołowiny, 9 wieprzów i 2.395 funtów wieprzowiny, 860 cieląt, 359 baranów, 144 prosiąt, 2.921 funtów słoniny, 1.731 kapłonów, 713 kaczek, 6.030 kur, żyta korcy 275, owsa i jęczmienia 87, krup i kaszy bardzo niewiele. Na opał szły całe lasy; talerzy zaś w jednym roku kupiono za 4 900 złp., koszt światła wynosił 20 do 40.000 złp. i t. d.

Wydatki te, nie licząc pensyj, obejmowały utrzymanie gromadki uczniów, rezydentów i panien. O ile zaś nie stanowiły osobistego dobrobytu, świadczy wspomniana już kartka Księżnej z wiosny 1814 r., pisana całkowicie po polsku:

„Sieniawa, biedna Sieniawa! Zawsze w biedach naszych stajesz się naszem schronieniem. Jaką ci poświęcam wieczną pamięć i wdzięczność! Nie wesołe miejsce, piasku wiele, dom niewygodny, oficyny złe, pokoje zimne, meble połamane, kominy dymiące — prawda, przyznaję to wszystko. Ale ludzie dobrzy, sąsiedzi najczulsi, najlepsi, pokoik mój dobrze urządzony, życie spokojne, folwarczek pod oknami, koniki żwawe. Jak upłyną lata, nieraz wspominać będziemy tę Sieniawę, którą nieraz żądamy porzucić. Wspominać będziemy śniadania wesołe, kawę Zosi, masło moje, uśmiech Lily; będziemy wspominać godziny regularne, pisanie wieczne, czytania zabawne, obiadki małe, herbaty wieczorne, spacery w lecie, gry w zimie, bale wesołe, saneczki i kolaski. Nie czuje człowiek szczęścia spokojnego życia, aż póki upłynie; wtedy zdziwiony, że nie dość go cenił, najdrobniejsze szczegóły przypomina, a przejęty przypomnieniem tysiącznych okoliczności, woła jeden na drugiego: „A pamiętasz, jak nam wtedy dobrze było, jak my się wtedy śmiali i bawili!“ Ja wdzięczna Sieniawie, zawsze mile ją wspominam i te kilka słów jej poświęcam“.

Powyższa oda na cześć własnego domu byłaby trochę dziwną, gdyby nie fakt, że pomimo zgodności w pożyciu

---

[1]) Powyższe szczegóły, podobnie jak wiele innych w tem studyum zawartych, czerpane są z cennego dzieła *Puławy* hr. Ludwika Dębickiego.

Księstwa, nie często przebywali pospołu: Puławy były po zniszczeniu Powązek istotną siedzibą ks. Izabelli, siedzibą zaś księcia Jenerała była „biedna Sieniawa“, gdzie doń żona na długie odwiedziny zjeżdżała. Księżna Wirtemberska zazwyczaj razem z matką lub w jej pobliżu mieszkała; smutne to było życie, z dziwnym hartem znoszone. Małżeństwo jej na pozór świetne, przyniosło jej było same łzy i zgryzoty, o których jednak, równie jak o powodującem je brutalnem obejściu ks. Ludwika, przez dwa lata nie dowiedzieli się rodzice. Wzięli wtedy córkę napowrót do domu; ona wszakże nie pomyślała o zerwaniu swych związków aż do chwili, gdy mąż jej, w wojsku polskiem służący, jawną popełnił zdradę. Wtedy zdecydowała się na rozwód, pomimo, iż ten pozbawiał ją jedynego dziecka, syna, który wychowany przez ojca, miał później wraz z wojskiem alliantów strzelać do Puław, gdzie przebywały podówczas jego babka i matka.

Lato r. 1814 spędziły obie Księżne w Puławach. Zosia snać pozostała dłużej od nich w Sieniawie. Zapiski jej z końca pobytu tamże są przeważnie smutne; dwie w nich tylko słychać nuty wesela: raz po spowiedzi i Komunii św. i drugi raz po przyjeździe brata:

„*Sieniawa, 6 maja 1814 r.* Wczoraj brat mój sprawił mi wielką radość. Był taki dobry dla mnie, tak go kocham, tyle ma dla mnie uroku! Dziś rano przyszedł do mego okna, Kamcia też była u mnie, spędziliśmy razem bardzo milą godzinę. Gadaliśmy o naszych biedach majątkowych, robiliśmy plany na lato. Jakże jestem szczęśliwa, jak mi lekko na duszy! To chyba inna dusza, niż kiedy ostatni raz tu pisałam“.

„*Dnia 9 maja 1814 r.* Kiedyś chwaliłam się „inną duszą“ — nie trwała ona długo. Jestem znów smutna, płaczę i nie mam do niczego ochoty“.

„*Dnia 23 maja 1814 r.* Przedwczoraj opuściliśmy Sieniawę. Nieboraczka Sieniawa! Przy wyjeździe żal mi było tego sześciomiesięcznego pobytu, tak miłego choćby przez samą swą jednostajność i ciszę. W ciągu tej zimy miałam słodkie chwile, miałam całe dnie jasne i swobodne. Pamięć wszystkiego, co było smutnem, zatarła się w tej chwili; wi-

działam tylko dzień mego powrotu z Krakowa, przyjazd papy, moje przejażdżki konno, moje obiady u pani Goltz, nasze maleńkie herbatki, nasze partye bilardu, poranne Msze i tyle, tyle drobnostek, zostawiających miłe wspomnienia. Wczoraj przyjechaliśmy tutaj; znalazłam Puławy bardzo puste".

„Puławy, 2 czerwca 1814 r. Jestem zadowolona z siebie: pomiędzy swoją wyobraźnię a serce wprowadziłam rozsądek i przekonałam się, że właśnie wyobraźnia była powodem mego smutnego usposobienia w pierwszych dniach tutejszego pobytu (tu kilka wierszy wymazanych). Ciągłe zajęcie nie dozwala myśleć o sobie, a rodzaj życia nie dostarcza sposobności do niezadowolenia czy to z siebie, czy z drugich. Księżna jest tak dobrego humoru"...

Pytanie, czy dobry lub zły humor Księżny nie był barometrem smutnego lub weselszego usposobienia Zosi? Bądź co bądź miał on właśnie wtedy uledz gwałtownej zmianie. W pierwszych dniach czerwca bowiem wyszedł na jaw romans Maryi Dzierżanowskiej z ks. Konstantym i nastąpiła próba przerwania go spiesznem wydaleniem z domu „królewny". Jak bolesnym był ten wyrok dla biednej dziewczyny, świadczy pożegnanie ręką jej nakreślone w albumie Zosi:

„Puławy, 7 czerwca 1814 r. W chwili opuszczenia Puław, tych Puław tak kochanych, gdziem młodość przeżyła, gdzie zostawiam tyle drogich osób, dokąd zwracać mnie będzie zawsze wspomnienie, żal za szczęściem i nawet za żałością, serce moje zbyt jest zmięszane i wzruszone, zbyt przepełnione, abym mogła ci wyrazić, poczciwa moja Zosiu, co innego, jak życzenia szczęśliwej przyszłości. O niechaj los twój będzie słodkim, czystym i cichym, jak jest twoja dusza. Bądź szczęśliwą, bądź nią zawsze i wspomnij czasem o biednej Maryni".

Zamiast podpisu wlepiona stokrotka, a poniżej pismem nierównem, snać drżącą ręką kreślonem, wrażenia Zosi:

„Dnia 8 czerwca 1814 r. Pauvre Marie! Pauvre Marie l'abandonnée! Co za rozdzierające pożegnanie, jakże bolesną myśl, że już nigdy, nigdy nie zobaczę tej Maryni, tak jednostajnie dobrej i tak nieszczęśliwej, jakże mi jej żal!

Całą jej winą było, że zanadto kochała: jej czułe serce nie mierzyło swego kochania wedle rozsądku, ani wedle przyszłości, ani nawet wedle własnego szczęścia! Taka młoda posłaną jest na wygnanie *(on l'expatrie)*, na życie samotne w towarzystwie jedynie cierpienia, wspomnień i żalów. Nigdy! Wyraz ten daje mi po raz pierwszy pojęcie, czem może być strata tych, których kochamy; jest to wyraz tak ogromny, tak straszny! Biedna Marynia! Co jeszcze powiększa gorycz mego bólu, to myśl, że choć sześć miesięcy upłynie, nic się w jej losie nie zmieni, że tutaj wszystko będzie szło jak dawniej, każdy będzie wesół i nikt już nie wspomni o biednej Maryni. *Pauvre Marie l'abandonnée!*“

Snać w Puławach spostrzeżono wielkie wzruszenie Zosi, czy też w ogóle uważano, że lepiej na kilka dni pozbyć się jej z domu, gdzie humory nie mogły być świetne, dość, że Zosię posłano na krótki czas do ojca, co odwróciło w inną stronę cały bieg jej myśli:

„*Dnia 18 czerwca 1814 r.* Spędziłam dwa dni w Jasienicach z papą i z moim bratem. Wypatrywałam wszędzie wspomnień mojej biednej mamy i nie przestałam o niej myśleć“.

I zaraz obok widzimy kwiaty z grobu matki i odpis jej portretu, skreślony przez męża. W następnych dniach Zosia już nie wspomina o „opuszczonej“ Maryni, natomiast opowiada o podwieczorku u włostowickiego proboszcza w towarzystwie ks. Wirtemberskiej i chwali „najpiękniejszy wieczór roku, w którym poczuła szczęście“ i t. d. Jakże błogosławioną jest krótkość żalu w młodości!

Odtąd już w całym albumie nie spotkamy śladu miłosnej przygody, mającej się zakończyć jak w bajce szczęśliwem pożyciem małżeńskiem kochającej pary. Synek z pierwszego małżeństwa ks. Konstantego z Anielą Radziwiłłówną, Adam, pozostał przy dziadku; z drugiego związku liczne pozostało potomstwo. Na razie nic się nie zmieniło w zewnętrznem życiu Puław:

„*Dnia 3 lipca 1814 r.* Jakże kocham Puławy! Tacy tu dla mnie dobrzy, tak tu spokojnie i miło. Gdybym tylko mogła siebie trochę lepiej polubić! Ale i to może przyjdzie.

„*Dnia 4 lipca.* Księżna Wirtemberska, Cecylia, p. Krupiński, do niedawna p. Zamoyski, a od niedawna ks. Konstanty — oto nasze kółko. Wielkie spacery, dużo poziomek, dużo róż, roboty ręczne, książki, rysunek, klawikord, gospodarstwo — oto nasze dzienne zajęcia“.

„*Dnia 7 lipca 1814 r.* Gdybym chciała zaznaczyć tu wszystkie przyjemne chwile, zapiski te zamieniłyby się na dziennik. Jakże mi dobrze! Wczoraj byliśmy we Włostowicach na podwieczorku u Jasinkowej. *Un człeczek avec une schöne katarynka* wszedł na jej podwórko i jął wygrywać melodye proste a rzewne. Dziewczęta wiejskie zaczęły tańczyć, my z niemi i żaden bal tak mnie nie zabawił... Po tym miłym wieczorze nastąpił nie wesoły poranek. Kamcia wyjechała do Bardyowa, zostawiając mi pustkę i smutne wrażenie, że ja tu będę szczęśliwą, a ona tam będzie sama“.

„*Dnia 13 lipca 1814 r.* Zapomniałam tu zaznaczyć ładną zabawę, jaką ks. Wirtemberska urządziła dnia 12 w lasku Marynkowskim. Pierwszy obraz przedstawiał pięknego, ociemniałego starca, prowadzonego przez dziewczynkę, potem był rybak z sieciami i wózeczek pełen ryb; Zawiski z żoną i sześciorgiem ładnych dzieci przedstawiał wędrowną orkiestrę. Nakoniec prawdziwy pielgrzym Chwalibóg z Dobromila, który wracał z Częstochowy z córką Małgorzatą i który po krótkiej rozmowie oddał Księżnie proroctwo tyczące się Polski. Wszystko to było śliczne i ogromnie mi się podobało, ale nie mogłam całkowicie używać, bo nie było Kamci... Przedwczoraj miałam od niej poczciwy list, dający o Sieniawie dużo szczegółów, które mnie bardzo wzruszyły“.

„*Puławy, 1 sierpnia 1814 r.* P. Krupiński wyjechał wczoraj. Żal mi go — jego towarzystwo jest tak miłe i był tak dobrym dla mnie!“

„*Dnia 7 sierpnia.* Ludwinia wyjechała do Samoklęsk, do poczciwego Ciesielidy“.

Ciesielidą snać przezywano z czułości starego pułkownika Ciesielskiego, który dokonawszy wychowania obu młodszych Książąt, osiadł na swoim folwarku i gospodaro-

wał, przyjmując od czasu do czasu odwiedziny mieszkańców puławskiego dworu. Obecnie Księżna miała u siebie młodszego syna i obie córki (jakie tam burzliwe rozmowy były z ks. Konstantym, nie doszło do obcych uszu), niebawem miał po długiej niebytności przyjechać z Paryża ks. Adam, tak, iż prócz ojca zebranie rodzinne znalazło się w komplecie. Zaledwie jednak zaczęto się niem cieszyć, gdy 15 września nadeszła niespodziana wieść o rychłem przybyciu cesarza Aleksandra, który, zdążając do Petersburga, obrócił umyślnie drogę na Puławy i Brześć, w celu odwiedzenia Księżnej. Zapowiedź wielkiego gościa wprawiła w ruch wszystko, co żyło; ks. Izabella znalazła się w swoim żywiole, jak to znać z opisu zawartego w jej pamiętniku:

„Nie mało byłam zakłopotana tą wiadomością, bo Puławy po przejściu wojsk były w nieładzie, nieurządzone, zniszczone ciągłemi kwaterunkami, nie mieliśmy służby, prowizyi, pieniędzy. Wnet jednak przejęła mnie radość na myśl, że skoro Aleksander przybywa do Puław, dobre ma zamiary dla Polski. Wreszcie zaczęłam się śmiać, że Austryacy stawiali wszędzie bramy tryumfalne, zwłaszcza we Lwowie, a cesarz przejedzie tylko przez bramę i furtki puławskie. Po radzie familijnej rozdzieliliśmy między siebie zachody. Moja córka Zofia i Zosia Matuszewiczówna wzięły na siebie urządzenie stołów i tego, co na nich miało się pojawić; moja córka Marya urządzenie apartamentów, ja — ogrodów. Wnet zaczęli się zjeżdżać goście na przyjęcie cesarza: ks. Radziwiłłowa, pani Rozalia Rzewuska, ks. Antoni Radziwiłł, ks. Sułkowski, p. Kicki, p. Matuszewicz z synem, Linowski, Szaniawski, ks. Maciej Jabłonowski, p. Tarnowski i wiele innych osób, których za długo wyliczać“.

Zosia nie turbuje się zbytnio swoją częścią zadania:

„Spodziewany w tych dniach przyjazd cesarza Aleksandra — pisze pod datą 19 września — zgromadził dużo osób. Trzeba się stroić, trzeba jedną część dnia spędzać nic nie robiąc, a drugą nie robiąc prawie nic. Ale nie powinnam się skarżyć, bo choć mnie to zebranie nie cieszy, to mnie przy-

najmniej nie zasmuca, jak zwykle. Nie bawię się, ale się i nie nudzę".

„Dnia 20[1]) — ciągnie dalej Księżna — mój syn Konstanty, który był wyjechał na spotkanie cesarza do Brześcia, zapowiedział, że już jedzie. Na tę wieść napełniła się wielka aleja, oba dziedzińce, schody i przedsionek, tak, że trudno się było przecisnąć. O 2-ej kuryer i trzaskanie z bicza dali znak przybycia. Podniosły się okrzyki: „Niech żyje Cesarz!" Na dole schodów oczekiwaliśmy go zgromadzeni w całej rodzinie. Przybył w otwartym pojeździe z adjutantem ks. Wołkońskim; w drugim pojeździe lekarz Wyllis, w trzecim kamerdynerowie cesarscy".

„Wysiadłszy, przywitał nas z serdecznością pełną prostoty".

„Szczęśliwy jestem, że się znowu znajduję w Puławach — rzekł, całując mnie w rękę. — *Je me sens en famille*".

„Powitał serdecznie moje córki i rzucił się w objęcia mego syna Adama wobec wszystkich gości zgromadzonych. Ukłoniwszy się gościom, rzekł, że do nich powróci, aby się z nimi zapoznać, ale teraz pragnie mnie odprowadzić"...

Cesarz w dłuższej rozmowie z Księżną nie skąpił komplementów dla Puław i w ogóle dla Polaków, którzy „bronią tak świętej sprawy, że muszę ich podziwiać. Pragnę ich szczęśliwości, pracuję nad nią, ale potrzeba cierpliwości i zaufania do mnie"... Później nieco rzekł: „Polacy mają trzech nieprzyjaciół: Prusy, Austryę i Rosyan, a jednego przyjaciela — mnie. Gdybym chciał Galicyi, trzebaby się bić; Prusy zgadzają się na odbudowanie Polski pod warunkiem, abym im odstąpił Wielkopolskę, ale ja pragnę oddać prowincye polskie z około 12 milionami mieszkańców. Urządźcie sobie dobrą konstytucyę i starajcie się prędko silną armię postawić, a wtedy zobaczymy".

---

[1]) Pamiętnik Księżny różni się co do daty z dziennikiem Zosi, w którym stoi, że cesarz przyjechał 21-go w południe, a odjechał z 22-go na 23-ci o godzinie 2-ej w nocy«.

Po tej rozmowie wrócił cesarz do salonu, gdzie ks. Adam przedstawił mu zgromadzonych obywateli; następnie odwiedził ks. Wirtemberską, którą nazywał „ciotką“. Przed nią uskarżał się na brak przyjaciół, mówił o najpoufniejszych i najdrażliwszych swoich stosunkach rodzinnych. O 4-ej dano obiad; stół był wspaniale przybrany przez dwie Zofie: kwiaty i srebra, owoce, bronzy i grupy marmurowe. Obiad był wyśmienity i doskonałe wety; dwunastu kamerdynerów usługiwało. Wieczór spędził cesarz w apartamentach Księżny. Nie było kolacyi, tylko lody, ciasta i t. d.

Nazajutrz po śniadaniu Księżna powiodła cesarza do Gotyckiego Domku i Świątyni Sybilli, które już znał z poprzedniego pobytu, ale gdzie nagromadzone od tego czasu pamiątki oglądał. Przed obiadem odwiedził ks. Radziwiłłową, potem ks. Wirtemberską i ks. Konstantego, któremu nie miał za złe, że kiedyś przeciwko niemu wojował. Po obiedzie podczas wspólnej herbaty rozmawiał najuprzejmiej z Matuszewiczem, Linowskim, Krasińskim i Paszkowskim; w ogóle silił się na okazanie serdeczności nawet niekiedy w sposób nieco ckliwy, gdy ks. Izabellę nazywał *maman*, ks. Maryę *ma tante,* a ks. Adama s t a r u s z e k, co było przypomnieniem dawnych lat, kiedy nań nie licująca z młodością powaga to przezwisko ściągała. Do jednej tylko p. Rozalii Rzewuskiej cesarz się nie zbliżył, przez antypatyę do Austryi, do której mieniono ją być mocno przywiązaną. Tak minął wieczór, w czasie którego wszyscy na wzór Zosi „napatrzyli się go i nasłuchali do woli“. O 11-ej Aleksander pożegnał się, prosząc stanowczo, aby się nikt w nocy nie budził, gdy będzie wyjeżdżał. Skoro jednak około 2-ej zajechały powozy, a cesarz u progu pałacu nie zastał nikogo, przykro mu było, widząc, że go tak literalnie wzięto za słowo:

„Jakto! — zawołał — nikogo niema? Nawet ks. Adama i ks. Konstantego?“.

Była to jednak niespodzianka, jakie Księżna wymyślać lubiła. Nieco opodal czekało całe towarzystwo, a dalej strojne łódki, na których eskortowano cesarza na drugi brzeg. „Odprowadziliśmy go wszyscy w nocy — pisze Zosia — i prze-

byliśmy z nim rzekę, a to piórko było właśnie wtedy wzięte z jego kapelusza. Zachowam je na pamiątkę tych dwóch miłych dni".

Istotnie w osobnym papierze znajduje się w tem miejscu albumu białe kogucie pióro z cesarskiego pióropusza. Po odwiedzinach Aleksandra I chowano takie pamiątki: do niedawna w Rydzynie znajdowała się szyldkretowa lornetka, którą maleńka Ewa Sułkowska [1]) porwała mu, gdy ją wziął na ręce. Gdy dziecku chciano odebrać cacko, zaczęło płakać, więc cesarz kazał mu je zostawić, a po wyjeździe posłał dzieciom w upominku śliczny serwis dla lalek ze starej porcelany saskiej. Nie baczył, że ks. Antoni Sułkowski walczył długie lata pod Napoleonem!

Po wyjeździe cesarza goście kolejno opuszczali Puławy; Matuszewicz miał czas nieco spokojniej przyjrzeć się córce i — nie był zadowolony.

„*Dnia 24 września 1814 r.* Papa znalazł mnie smutną — teraz! gdy się czuję tak wesołą! Cóż byłby powiedział ten dobry, kochany ojciec, gdyby mnie był widział w Krakowie i w Sieniawie tej zimy!"

„*Puławy 27 września 1814 r.* Wszyscy się rozjechali. Jest znowu cicho i tak przyjemnie! Mamy jechać do Warszawy na czas pobytu cesarza, ale wpierw do Sieniawy. Na Sieniawę bez porównania więcej się cieszę".

Dnia 8 października Zosia pisze już z Sieniawy, żałując pobytu w Puławach. W ogóle znać, jakoby każda w jej życiu odwracająca się karta wzbudzała lęk wobec nieznanego jutra. Do końca roku zapiski są częste, wszystkie na jedną rzewną nastrojone nutę; zwolna jednak wykluwa się z nich myśl, tłómacząca jej odrazę do świata. Wypisy z dzieł francuskich i niemieckich obracają się coraz częściej około tematów religijnych. Nazajutrz po balu, na którym nie miała „ochoty ani tańczyć, ani się podobać", pisze:

---

[1]) Ewa Sułkowska, następnie Władysławowa hr. Potocka, a po owdowieniu założycielka w Warszawie i w Krakowie klasztoru Matek Miłosierdzia (Magdalenek).

„Dnia 26 grudnia 1814 r. Módz się przez godzinę wypłakać przed Bogiem, odświeża po nudach i zgiełku świata“.

Potem następuje zwykła rekapitulacya całego roku. Zima w Krakowie pełna niewytłómaczonego smutku, w marcu tydzień we Lwowie nudny *et décousu.* W kwietniu pogoda i uspokojenie: „Czułam się mniej smutną, mniej zniechęconą do życia; działo się we mnie coś, czego nie rozumiałam i nie mogłabym wypowiedzieć. Przy końcu maja przybyliśmy do Puław, gdzie mi się zrazu zdawało pusto — ale to nie trwało. Czerwiec, lipiec i sierpień upłynęły tak miło i spokojnie, że mi w pamięci zostawiły wrażenie łagodnej zieleni. Lubię o nich wspominać; zda mi się zaraz widzieć pogodne niebo, słyszeć dźwięki fletu p. Krupińskiego, dolatujące do mej izdebki pełnej kwiatów, odczuwam napowrót poruszenia szczęścia, jakiem się biedne moje serce naówczas cieszyło. Źródłem tego szczęścia było marzenie przyszłości, które się nigdy nie ziści, ale które mi jest drogiem choćby dlatego, że mnie wyrwało z mojej bolesnej apatyi. Nie mogłam się niem łudzić długo, ale chwilowo wierzyłam: nadzieja, przemógłszy rozsądek, malowała mi dalsze życie cudownemi barwy. Marzyłam, iż wstąpiwszy do Zakonu Sióstr Miłosierdzia, będę mogła duszę moją poświęcić modlitwie, a życie i majątek oddać nieszczęśliwym, że będę mogła wyrwać się z pośród próżności i przykrości światowych i myśl ta nietylko cieszyła mnie na przyszłość, ale nawet obecnej chwili dodawała wdzięku“.

Dlaczego Zosia uważała za mrzonkę myśl o powolaniu zakonnem? Czy od początku zwątpiła o swoich siłach, czy też o możliwości zdobycia przyzwolenia ojca i Księżny? Być może, iż wówczas wstąpienie do klasztoru zdawało się rzeczą mniej prostą i powszednią, niż teraz. Ówcześni rodzice byli jeszcze ludźmi wielce pogańskiego XVIII wieku i choć wielu zachowało lub odzyskało wiarę, przecież zanadto byli jeszcze owiani chłodem, aby módz wniknąć w jej głębie. Czy Zosia wyznała jawnie swoje zamiary, czy tylko dyskretnie próbowała *sonder le terrain,* nie wiadomo i chyba z jakich listów Księżny dowiedziećby się można. Dość, że koń-

cząc sprawozdanie z r. 1814, skarży się, że w Sieniawie, dokąd z radością przybyła, odnowiły się wszystkie jej smutki, dodając: „Wtedy też ujrzałam się zmuszoną wyrzec się owych zamiarów, których urzeczywistnienie byłoby pogodziło losy mego życia z mojem pragnieniem serdecznem. Od kilku dni — pisze zaraz potem — data imieninowa św. Adama gromadzi tu całe sąsiedztwo. Istotnie poczciwi ludzie — wesołość ich tak jest szczera, iż trudno jej nie podzielać. Dopiero po Nowym Roku wrócimy do zwykłego trybu. I ot wszystko, co odczułam w ciągu 18-go roku mego życia: złudzenie szczęścia i smutek rzeczywistości“.

Aż żal bierze, czytając następne zwierzenia biednej dziewczyny, a zarazem gniew na despotyzm wiążący ją poniewoli w sposobie życia, które dla niej było udręczeniem i gdzie ani drugim, ani sobie być pomocną nie mogła. Dziś powiedzianoby jej: „Spróbuj!“ albo „Poczekaj!“, ale w rozsądnej rodzinie nie stawianoby absolutnej tamy wrodzonej skłonności. Zapisek, położony pod datą 12 stycznia 1815 r., jest długim krzykiem boleści nad złamaniem nadziei życia. Dalej zaś nie lepiej:

„*Sieniawa, 23 stycznia 1815 r.* Za kilka dni jedziemy do Warszawy — nie wiem, czy mam się cieszyć, czy żałować. Ostatnie tygodnie były tak przykre, że rada będę temu wszystkiemu koniec położyć. Cieszy mnie też, że zobaczę kochanego ojca, ale — ten okropny wielki świat!... *Enfin*, czy tak, czy owak, zawsze źle, ale wolę jechać“.

„*Dnia 4 lutego 1815 r.* Wyjeżdżamy dopiero jutro. Aby dać miarę, jak mi tu niewygodnie na świecie, wystarczy powiedzieć, że się cieszę na jazdę do Warszawy“.

„*Warszawa, 13 lutego 1815 r.* Wiedziałam, że nie lubię wielkiego świata, ale się nie domyślałam, do jakiego stopnia. Wszyscy dokoła tacy strojni, ruchliwi, zajęci, ożywieni, rozmowni, każdy ma na oku jakiś cel, jakieś większe czy mniejsze powodzenie próżności. A ja się czuję tak obcą, niezgrabną, niemą; tak mi nieskończenie smutno! Jeszcze w ciągu dnia zawsze się czemś rozerwę, ale pod koniec strach mi

nadchodzącego wieczoru — i jeszcze sześć tygodni tego będzie. Boże, dodaj mi wesołości i odwagi!“

Ks. Izabella mówiąc raz o kokieteryi, wydała o swoich wychowankach sąd, jako: Zosia posiada jej za mało, Kamilla tyle co potrzeba, Aniela więcej niż się sama domyśla. Zosia zapamiętała to powiedzenie:

„*Warszawa, 25 lutego 1815 r.* Księżna ma słuszność, mówiąc, że mam za mało zalotności, bo gdybym jej miała więcej, podobałabym się, a gdybym się podobała, mogłabym się bawić, mogłabym się wyrwać z tego zniechęcenia, niezadowolenia z siebie samej, które mi każdą chwilę zatruwa. Odkąd tu jestem, mam wciąż wobec siebie wrażenie, że przebywam z jakąś wstrętną istotą. Aż w końcu sama się nad sobą lituję, patrząc na ten „popielaty salon“ Księżny, wesołością słynący, gdzie istotnie wszyscy są tak weseli, a mnie jedną nic tu nie bawi, ani nie zajmuje. Księżna mniema, że moja melancholia pochodzi z przyczyn fizycznych. Jeżeli tak, to na miłość boską niechajże mnie leczą, dopóki moje lata młodości, moje najpiękniejsze lata się nie zmarnują!“

„*Warszawa, 27 lutego 1815 r.* Nic tak nie usposabia do uprzejmości, jak zadowolona miłość własna — oto uwaga, nastręczona bardzo udaną komedyą salonową, odegraną tu dzisiaj“...

Biednej Zosi było bardzo właśnie tej uprzejmości potrzeba, potrzeba przytulenia do kochającego serca — tymczasem ludzie na cierpienie, którego nie rozumieją, mają tylko jedno lekarstwo: bat. Zosia (16 marca) żali się, że ją łają, że jej gorzko wyrzucają brak wesołości i animuszu do zabaw, błaga, aby ją wprzód wyleczono lub przynajmniej pożałowano trochę, nim ją potępią. Dwukrotne odwiedziny w szpitalu Dzieciątka Jezus rozbudziły na nowo zeszłoroczne pragnienia, pierwszy podmuch wiosny powiększył chęć rychłego powrotu do Puław; tymczasem zaś gdy tylko mogła, biegła do kościoła Reformatów, gdzie mogła się wypłakać bez ściągnięcia uwagi lub niezadowolenia. Dopiero gdy niebo rozchmurzyło się na dobre, a ziemia zaczęła zielenieć, gdy ów upragniony wyjazd z Warszawy zdał się już bliskim, jęła

i w niej młodość odzyskiwać swe prawa. Sama tę zmianę spostrzega z radością; zapisuje z ożywieniem wycieczkę do Powązek w pięknych powozach ze świetną uprzężą, z eskortą konnej młodzieży. Po raz pierwszy zauważyła, że się podoba dlatego samego, że się bawi. Zapewne z tego warszawskiego pobytu zostały na osobnej kartce nieznajomem pismem nakreślone wierszyki:

Mila Zosia jak wiosna, lecz cóż z tej piękności?
Lepiejby mieć mniej wdzięków, a więcej czułości.

Rozkwitającą radość zasępiło niespodziewane opóźnienie wyjazdu na wieś. Dnia 16 kwietnia ks. Wirtemberska zastała Zosię tonącą we łzach, wybadała ją z ogromną serdecznością: „Serce moje tak było wezbrane, że jej wyznałam, jak bardzo jestem cierpiącą. Wysłuchała mnie, zrozumiała i pożałowała... Pragnie koniecznie mi pomódz i pragnie to czynnie. Niech jej Bóg za jej dobroć odpłaci!“

Pierwszym dowodem tej czynnej sympatyi ks. Maryi jest iście macierzyński bilecik, tego samego zda się wieczora posłany i z wdzięcznością zachowany przez Zosię. Towarzyszył mu egzemplarz Pliniusza. „Ta bowiem książka wymienioną jest na czele tych, których żądałaś“ — pisze ks. Marya, a więc obok literatury współczesnej stali i starożytni pisarze. Co na to powiedzą dzisiejsze słuchaczki uniwersytetu, którym się zdaje, że wykształcenie u kobiet jest ich osobistym wynalazkiem!

Nareszcie 23 kwietnia nastąpił wyjazd z Warszawy, głośny i rojny, bo całe towarzystwo odprowadzało Księżnę część drogi. W Puławach Zosia odnalazła spokój i ciszę — samotno jej było jednak i tęskno za nieobecną Kamillą. Koniec wiosny upłynął swobodnie, zdrowie się polepszyło, a z niem i usposobienie. Bez żalów już pisze:

„*Dnia 18 czerwca* wyjechaliśmy do Sieniawy. Zatrzymaliśmy się kilka dni w Łańcucie, skąd Książę (Jenerał) wyjechał do Wiednia na dwa miesiące do siostry. Wycieczka ta była wesoła i zabawna. Dnia 1 lipca byliśmy tu (w Pu-

ławach) z powrotem, gdzie się z wielką przyjemnością znalazłam".

Snać Kamillę Wierzchowską przywiozły te panie z Sieniawy, ale z kolei jakoś niezdrową, smutną i znudzoną, tak, iż Zosia nie mogła się wydziwić, że gdy ona po przykrościach wiru światowego odzyskała zdrowie wśród regularnych zajęć życia wiejskiego, jej droga Kamcia przeciwnie spodziewa się polepszenia od rozrywek, licznych zebrań, wielkiego ruchu, słowem od wszystkiego, co Zosi zaszkodziło: „Dziwna różnica — bo przecież tak się bardzo kochamy!"

„Puławy, 28 lipca 1815 r. Po ośmiu latach wspólnego pożycia rozstałyśmy się z niemałym żalem z panną Różą *(Mlle. Rose).* Niegdyś w dzieciństwie ja jej nieraz sprawiałam przykrości, a ona za to mnie w późniejszych latach. Samo przyzwyczajenie wytwarza węzły łączności, zwłaszcza, gdy się doń przyczyniają wspomnienia dziecinnych lat. P. Róża pielęgnowała mnie zawsze bardzo starannie; nie wyrobiła we mnie żadnego złego nałogu, ale też i żadnej zalety. Gdy była ze mną w towarzystwie — drzemała, a czuwała przy mnie, gdym była chora, posiadała bowiem dużo dobroci a mało rozumu. Biedna panna Róża! delikatność jej uczuć zamieniła się z czasem w obraźliwość. I nie dziw — młoda i samotna rzuconą była na obczyznę, pomiędzy obcych ludzi, to też w charakterze jej wytworzyła się mieszanina mizantropii i dzieciństwa: jedno z tych dwojga brzmiało w każdem jej powiedzeniu, widniało w każdym uczynku. Winnam jej dużo wdzięczności i zachowam ją do końca życia".

Jak wyglądała owa poczciwa a widocznie nieznośna Mlle. Rose, widzimy z maleńkiego portreciku starej babinki w czepeczku zawiązanym pod brodą. My jednak bylibyśmy woleli, aby zamiast charakterystyki swojej guwernantki, Zosia podała tu więcej faktów o sobie. Zda się bowiem, że w lecie r. 1815 czyniono jej jakieś propozycye, nie wiadomo czy opuszczenia Księżny i zamieszkania gdzie indziej — w pamiętniku widzimy przeważnie tylko odbicie moralne wydarzeń jej życia:

„Puławy, 7 sierpnia 1815 r. Smutnem jest, gdy się dochodzi do chwili, w której się czuje bliską konieczność zmiany losu, gdy się na ślepo buduje swą przyszłość, gdy trzeba samej z nieświadomością skutku o swojem szczęściu lub nieszczęściu stanowić. Musiałam powziąć ważne dla siebie postanowienia, co mnie długo męczyło i kosztowało niezmiernie. Postąpiłam jednak według własnego uczucia obowiązku i to mnie uspokaja. Resztę zostawiam Opatrzności, opiece Tego, który nie opuszcza ufających Mu“.

Mało bardzo zapisków z tych miesięcy; snać w połowie września ks. Izabella ze swoim dworem opuściła Puławy, aby w Sieniawie powitać męża, powracającego po długim pobycie u siostry Księżnej Marszałkowej. Sam obdarzony od młodości naturą promienną, przyciągającą doń poniewoli serca i sympatye, książę Jenerał zachował na stare lata pogodę ducha i wesołość niemal dziecinną, zbliżającą go do młodzieży. U żony jego przeciwnie, humor był zmienny, jak bywa u natur bardzo wybujałych; tym razem zwłaszcza zastał ją w usposobieniu dość pieprznem:

„Sieniawa, 17 września 1815 r. Jesteśmy tu zaledwie od trzech dni — pisze Zosia — a już system przytyków rozpoczął się znowu na dobre. Okropnie mi to przykro, zwłaszcza, gdy są zwrócone do innych. Ale co mi tam, skoro nasz drogi, nasz najukochańszy Książę powrócił z Wiednia wesół i zdrów. Co za szczęście być znowu z nim!“

„Warszawa, 18 października 1815 r. Dopiero tydzień jak opuściłam spokojną Sieniawę i oto jestem tutaj, gdzie oczekują przybycia cesarza. Ta zmiana cichej atmosfery wiejskiej na zgiełk światowy wcale mi nie dogadza. Nie zapomnę nigdy ostatnich czterech tygodni, tego „czasu Lili i Anielki“; tyle w nich było chwil przyjemnych, tyle śmiechu! Nasze śniadanka, sonaty na cztery ręce, nasze partye bilardu — uciechy niby drobne, ale które się ceni, gdy się poprzednio miało zmartwienia. Obawiam się tutejszego pobytu pod wieloma względami“.

„Warszawa, 3 listopada 1815 r. Jest mi tu bez porównania lepiej, niż było przeszłej zimy; niekiedy nawet się

bawię, a jednak nie mogę się wyzbyć uczucia jakiegoś wewnętrznego niesmaku. Czuję się nie w swojej atmosferze, nie na swojem miejscu, tracę otuchę tak co do swojej osoby, jak i do swojej przyszłości. Zda mi się, że będę skazana na życie w wielkim świecie, do którego nie mogę się dostroić. Jednem słowem jest mi smutno, ale że już tego nie mogę zrzucić na karb zdrowia, które jest lepszem, przeto usiłuję stroić się w wesołość"...

„Warszawa, 11 listopada 1815 r. Tonę po uszy w „marnościach tego świata" i jak dotąd, dość mi z tem wesoło, wątpię jednak, by mnie to bawiło do końca. Zamierzam zanotować różne szczegóły z pobytu cesarza; miło mi będzie potem je odnaleść. Bylebym zdołała odrzucić *spleen*, który mnie znów parę razy próbował ogarnąć".

„Cesarz przyjechał 12 listopada — wyjechał 4 grudnia". (Widocznie daty wpisane później).

(Bez daty). „Co za życie prowadzimy od przyjazdu cesarza! Bale i przyjęcia następują po sobie bez przerwy. To wszystko mnie bawi, ale mnie niezmiernie męczy i dałabym dużo, aby już powrócić do spokoju Sieniawy. Bawię się — bo się podobam — radabym przecież otrząsnąć się z tych przelotnych hołdów, niezdolnych zadowolnić prawdziwej miłości własnej, a zacierających świeżość kobiety *(qui fanent une femme).* Nie podobają mi się, gdy je widzę ku innej zwrócone, a sama niemi czasem trzpiotowato się bawię, choć w głębi duszy wolałabym szczerze, aby na mnie nie zwracano uwagi. Mam tak mało zmysłu salonowego, że nie umiem uchwycić miary w uprzejmości: wciąż mi się zdaje, że jestem albo za mało albo zanadto grzeczną, to też, pomimo, że się bawię, radabym porzucić ten świat, zawsze albo przykry albo niebezpieczny".

„Warszawa, 25 listopada 1815 r. Znajduję się w zupełnie nowem dla siebie położeniu, a stąd w stanie niepewności i niepokoju niepodobnym do opisania: propozycye małżeństwa, od których serce mi się ściska. A przecież kiedyś będzie trzeba na tem skończyć, odmienić stan, przyzwyczajenia, przywiązania, rozstać się z tymi, z którymi się

szczęśliwie młodość spędziło i wejść w rodzinę inną a obcą. Odczuwam wprawdzie żywo wartość zostawionej mi swobody w postanowieniu, a jednak pragnęłabym, aby mi zabroniono albo nakazano, byle nie mieć swojej woli. Jakże słodko jest złożyć odpowiedzialność za swój los w ręce ukochanych osób, a jak ciężko i trudno samej o nim stanowić!“

„*Warszawa, 27 listopada 1815 r.* Widzę teraz, jak łatwo być rozsądną, gdy chodzi o drugich, jak łatwo mówić, że niebyłoby się wybredną w wyborze męża, że uczciwość i zalety serca powinny wystarczyć! Zaczyna się śpiewać na inną nutę, skoro się samej przychodzi do rzeczy. Wtedy się mniema, że przecież potrzeba, aby ów ktoś miał miłą powierzchowność, pragnęłoby się czuć nie już miłość, ale choćby trochę pociągu. A pomyśleć, że raz powiedziawszy *tak,* trzebaby już na prawdę poślubić i to na całe życie! Daremnie rozumuję: tym razem powiem — *nie*“.

„*Dnia 30 listopada.* Nowe oświadczyny i nowa odmowa“.

„*Warszawa, 19 grudnia 1815 r.* O, wiem to dobrze, że tak religia, jak i ludzkość nietylko nakazują miłość, ale też i wyzucie się ze wszystkiego, co jest zbytkownem, co nie jest koniecznie potrzebnem. Jakżebym się czuła szczęśliwą, gdybym wolna od więzów światowych, mogła nosić habit wełniany, mieć za mieszkanie jedną celkę i jedną służącę za całą obsługę! Jakżeby mi podobne życie zaspokajało potrzeby serca, a nawet wyobraźni! W zamian za te drobne wyrzeczenia posiadłabym jedyne prawdziwe szczęście na ziemi. Pięknie jest umieć znosić przygodne ubóstwo, ale czemże to jest wobec dobrowolnego ubóstwa, obranego dla dobra ludzkości!“

„Pierwszy raz w życiu mam spędzić dzień urodzin daleko od dwóch drogich miejscowości: Puław i Sieniawy. To zła wróżba, zwłaszcza po tych przykrych przejściach z powodu ofert matrymonialnych. Udało mi się dwa razy, ale czy się uda raz trzeci i czwarty i — czy powinno się udać? Skoro wiem, że tamte sercu memu odpowiednie zamiary nigdy się nie ziszczą, trzeba będzie wyjść za mąż, trzeba so-

bie stworzyć związki, które przywiążą do życia, choć go nie ozdobią, trzeba czemś zapełnić tę długą, długą przyszłość. Wierzę, iż z uczciwym człowiekiem, z pewnym majątkiem, w ładnej siedzibie wiejskiej, a zwłaszcza w otoczeniu dzieci, stan małżeński jest najpomyślniejszym ze wszystkich i że miłość nie jest koniecznie potrzebną, ale wiem też, iż trzeba czasu, aby się zżyć z myślą o nowych obowiązkach i nowym trybie życia. Dlatego trudno jest porzucić wszystkich i wszystko, co się kocha, dla człowieka prawie nieznajomego, wobec którego serce milczy i tylko rozum odczuwa chłodny szacunek".

Zapisek na 22 grudnia 1815 r. przynosi zwykły całoroczny obrachunek sumienia, a raczej rekapitulacyę wrażeń, a obok nich czuły bilecik starego księcia Jenerała, posłany z Sieniawy:

Dnia 19 grudnia 1815 r.

„*Ma chère Sophie,* pojutrze rocznica urodzin twoich; przyszłaś na świat, żeby go uprzyjemnić: *c'est un bouquet de fleurs qui vient en s'épanouissant tous les ans briller de nouvelles couleurs et répandre de nouveaux parfums.* Najczulsze życzenia ci niosę sercem co cię kochać i cenić umie. Ściskam cię *ma chère nièce et suis enchanté d'en avoir le droit à ce titre. A. Czartoryski*".

Pismo księcia Jenerała, niegdyś bardzo piękne, zrobiło się z wiekiem nieco nieporządnem; ów liścik jednak, łączący rycerską galanteryę z ojcowską dobrocią, musiał być istnym balsamem dla Zosi wśród jej kłopotów i forsownych zabaw warszawskich. Tego roku pretekstem tych ostatnich było otwarcie Sejmu i cesarz: sam bal w sali teatralnej zgromadził 300 dam w bogatych kostyumach. Snać na cześć Najjaśniejszego Pana naderwano kawałek Adwentu, przeplatając bale przedstawieniami salonowemi. Gdy zaś cesarz wyjechał, bawiono się dalej. Grano Szekspira po polsku, przyczem występowały ks. Wirtemberska i p. Zofia Zamoyska; grano też komedye francuskie: *Défiance et malice, L'amour et la religion* i t. p.; w teatrze brano loże na 12 przedstawień u Durand'a, jak świadczy zachowany przez Zosię bilet z 7 grudnia, zdo-

bny w girlandkę błękitną. Z paniami Czartoryskiemi współzawodniczyła ks. Ewa z Kickich Sułkowska. „Gra z Platerem Adamem, pełnym rozumu, ale tak niepięknym, że nie mogę sobie wystawić, jak się wyda u stóp Księżnej“ — pisał wówczas szambelan Żaboklicki do księcia Jenerała. „To będzie grane 16-go u pani Kickiej; rozdawnictwem biletów trudni się panna Teresa: po 150 naraz, ale płacą wspaniale. Ubodzy będą bogatszymi od bogatych... U Księżnej Imci herbaty codzień bardzo liczne“. Przypuścić należy, iż pannie Teresie Kickiej do rozsprzedaży biletów kogoś wytrawnego przydano; była to bowiem słynna z piękności i roztargnień owa *Panna Guzdralska*, o której tysiączne anegdoty dały pohop do zabawnej pod tym tytułem powieści.

Pomimo powyżej opisanych zabaw Księżna Czartoryska wraz ze swoją świtą wyruszyła 25 stycznia 1816 r. z Warszawy, ale musiała znów jechać „rzemiennym dyszlem“, bo dopiero 4 lutego przybyła do Sieniawy, do męża. Zaczęła się wiosna, tym razem jednak nie przyniosła Zofii zwykłego rozweselenia. Dnia 6 kwietnia żali się na samotność ducha, na brak sympatyi: „Jeśli próbuję nieco się wynurzyć, mówić o miłości Bożej, która się stała osią moich myśli i całej mojej istoty, znajdują mnie dziwaczną, egzaltowaną, a przecież jedyne moje błyski prawdziwego szczęścia to chwile, w których dusza moja, oderwana od świata, wznosi się ku niebu“... Dowodem powyższego twierdzenia są wypisy z dzieł X. Bourdaloue, oraz 10 czy 12 stron, pozostałych z większej ilości, zapełnionych samemi modlitwami. Pobyt w Sieniawie wtedy miał się ku końcowi:

„*Puławy*, *5 maja 1816 r.* Od 19 kwietnia jesteśmy tu, gdzie się cieszę ładnem, wygodnem mieszkaniem, nie mniej jak jednostajnością życia. Od kilku miesięcy wieleż to doznałam drobnych zmartwień! Wieleż to rzeczy uraziło mnie, obraziło lub zabolało, wiele przykrości, na które się nie skarżę, których ciężar sama jedna na sercu noszę! Kiedyż będę mogła zwierzyć się komu i zaufać“...

I znowu brak szczegółów. Po za zmartwieniami Zosi atoli zaczynało być gwarno w Puławach; cały dwór z księ-

żną Izabellą na czele gotował się na przyjęcie gościa, rzadszego niemal od cara Aleksandra. Lecz snać w tych przygotowaniach widniało więcej napięcia nerwów i hałasu, niż prawdziwej radości, skoro w Zosi, tak szczerze przywiązanej do starego opiekuna, budził się raczej rodzaj niesmaku:

„Puławy, 13 maja 1816 r. Po pięcioletnim pobycie w Sieniawie Książę (Jenerał) ma po raz pierwszy przybyć do Puław. Nic mnie nie zasmuca, jak te dnie, w których radość ma być z rozkazu, oficyalnie, na porządku dziennym. Lubię odczuwać szczęście i skarbić sobie jego wrażenia, ale nie cierpię, gdy się zeń stroi demonstracye, gdy się wszyscy agitują, a ci, co mniej odemnie czują, sto razy więcej gadają“...

„Dnia 15 maja 1816 r. Nienawidzę dnia moich imienin, a dziś bardziej, niż kiedykolwiek. Co za fatalny czas i jakie mnóstwo gości!“

„Dnia 28 maja. Przeszłego roku jeszcze lubiłam jazdę konną — dziś jest dla mnie raczej zmęczeniem. Tak powoli tracę wszystkie zamiłowania młodości, aż czasem dziwię się, widząc twarz moją jeszcze tak świeżą. Nie wiem, czego mi brak — wszak jestem niby szczęśliwą!... Nie, nigdy już nie będę mogła łudzić się nadzieją wymarzonej przyszłości w klasztorze Sióstr Miłosierdzia. Ale mój Boże, mój Ojcze, pociecho moja — Ty wiesz, co czynisz!“

„Dnia 2 czerwca. Poszłam zaczerpnąć sił w zawsze gotowem dla nas i otwartem źródle wszelkiego dobra. Po dobrej spowiedzi czuję się znów wewnętrznie pogodną“.

Prócz spowiedzi przyczyniło się do tej pogody ponowne zbliżenie do poczciwej księżny Wirtemberskiej. Dnia 19 czerwca Zosia notuje z radością, że po raz pierwszy od sześciu miesięcy doznała zrozumienia i sympatyi; równocześnie przepisuje długą a dośćbladą allegoryę kompozycyi Księżnej Maryi p. t. *Une journée de l'Amour en Carnaval*[1]) *ou Défense d'une âme*, z dopiskiem jako *motto: Elles sont deux.* W jednej

---

[1]) *Dzionek bożka Miłości w karnawale*, czyli *Obrona pewnej duszy*. Jako *motto: Jest ich dwie.*

z tych dwóch dusz upatruje podobiznę autorki, czy jednak ma słuszność, osądzić trudno. Znaliśmy ludzi, pamiętających księżnę Wirtemberską w Paryżu, w Hotel Lambert; wtedy jednak była już staruszką, a starość, zwłaszcza u kobiet, zwykła istotę ludzką owijać zasłoną, pod którą trudno się prawdziwej ich osobistości dopatrzeć. W r. 1816 była w wieku rozkwitu rozumu, choć może już przekwitu urody; dla Zosi mogła mieć niemal macierzyńskie uczucie:

„*Dnia 21 czerwca 1816 r.* Dziś odbył się obiad w Parchatce, na którym byłam. Jechałam z ks. Wirtemberską. Czas był cudny, dość świeży. Podczas drogi rozmawiałam z nią z rzadkiem u mnie wylaniem — ona tak umie wzbudzać ufność i tak ją przyjmować! Urządzałyśmy dla mojej przyszłości plany, bardzo dla mnie miłe. Bóg jednak chciał inaczej. W czasie obiadu wyszły na jaw zamiary innych i wywróciły wszystko — o mało się nie rozpłakałam. Po obiedzie wszyscy udali się spacerem do pięknego Celejowa; ja z Księżną (Izabellą) powróciłam smutno tą samą drogą, jaką tak wesoło przebyłam przed chwilą. Smutno mi było, ale i słodko, bo wszelkie moje sprawy w ręce Pana Boga złożyłam“.

Zosia powinna była się cieszyć, owym bowiem wyjawionym przy stole zamiarem była zapowiedź bardzo dla niej zbawiennej a rychłej podróży z Księżną do Warmbrunn [1]). Opis jej, choć często zawadza o znane bardzo miejscowości, ciekawym jest wszakże tak z powodu odmiennych przed stu laty warunków podróży, jak i małą ilością komfortu wymaganą wówczas przez „wielkie damy“ — co prawda możeby mniej wielkie damy więcej takowego żądały:

„*Dnia 30 czerwca 1816 r.* wyjechaliśmy z Puław, które opuszczałam z mniejszym żalem, niż w poprzednich latach;

---

[1]) Hr. Dębicki w swojem dziele *Puławy* wyraża życzenie, aby ktoś wydał relacye z tej podróży przez Księżnę spisaną. Miło jest choć w części uczynić zadość jego pragnieniu, czerpiąc atoli z dziennika Zofii Matuszewiczówny, która tylko pewne ustępy zapożycza od Księżny.

w miejsce bowiem ciszy, która dla mnie stanowiła zwykły ich urok, było tego roku mnóstwo gości i hałasu; ja zaś (jak już pisałam) doznałam osobiście pełno drobnych przykrości, których tu nie zaznaczyłam, ani opowiadałam nikomu, ale tem silniej odczułam. Pierwszy dzień podróży był bardzo przyjemny. Księżna Wirtemberska, Cecylia i ks. Adam odprowadzili nas do Radomia, gdzieśmy nocowali. Mam wrażenie, że stąd dopiero datuje się nasz wyjazd. Cecylię spotkam jeszcze w Niemczech przed jej podróżą włoską; wtedy ujrzę ją może po raz ostatni, bo podróż jej ma trwać dwa lata, a któż jest pewien choćby jednego dnia? Cecylia posiada dla mnie urok ogromny, umie wzbudzać ufność i uspokajać; nie biorę żadnego postanowienia bez jej porady i nie jestem kontenta z mego postępowania bez jej pochwały. Ona to pocieszała mnie w zmartwieniach, wykazywała mi wady, które tychże były przyczyną, ona zachęcała mnie do pracy nad sobą. Jedno mi tylko wadzi, to jest, że wśród tylu innych przyjaźni nie może mnie kochać tak, jak ją kocham. Gdyby nie to, miałabym w niej drugą Kamcię, której serce pozostało mi wierne, mimo tylu uchybień z mej strony".

Tu snać Cecylia Beydal schwyciła Zosię na gorącym uczynku i dopisała: „I ja też potrafię cię zrozumieć i ukochać, moja Zosiu droga".

„*Dnia 1 lipca 1816 r.* Droga bez przygód. Przejechaliśmy przez ładną wieś, nazwaną Kącik — jeżeli kiedy będę miała własną wioskę, nadam jej tę nazwę. Nocleg w Białaczewie".

„*Dnia 2 lipca.* Nic ciekawego. Kraj smutny i zły nocleg w Mazurkach".

„*Dnia 3 lipca.* Po całodziennej jeździe przez wielkopolskie piaski, dotarliśmy do Naranic, wioski opuszczonej i nędznej, gdzie wszakże doznałam wrażenia, którego nigdy nie zapomnę. Wieczorem siedząc na dworze przy cudnym blasku księżyca, ujrzeliśmy przechodzącego człowieka, którego twarz uderzyła nas dziwnym wyrazem boleści. Zapytawszy o niego, dowiedzieliśmy się o jego nieszczęściach i jego wielkich cnotach. Jest to francuski ksiądz, emigrant,

obecnie proboszcz miejscowy; od dwudziestu lat oddalony od swego kraju, zdradzony lub opuszczony przez wszystkich, na których liczyć miał prawo, pozbawiony nietylko przyjemności, ale potrzeb życia. Cierpienia duszy wyniszczyły mu ciało. Jest chory, jest ubogi, a jeszcze tem, co ma, dzieli się z uboższymi od siebie. Podziwiam go, ale go nie żałuję, bo jego rezygnacya, jego pogoda ducha wyższą jest od wszelkiej uciechy, od wszelkiej światowej rozkoszy. Jakże w sprawach ludzkich działanie Opatrzności jawnem jest dla tych, co patrzeć umieją! Potrzeba było, żeby ten ksiądz przypadkowo poszedł tą drogą w czasie naszej bytności, aby mógł z jednej strony doznać od nas pociechy, a z drugiej dać nam najwznioślejszy przykład poddania" [1]).

„*Dnia 4 lipca.* Wjechaliśmy w granice Niemiec i zaraz u wstępu znaleźliśmy wioski pełne sadów, połączone między sobą aleami drzew, domki malownicze, piękne stroje, życzliwość na wszystkich twarzach i ogólny wygląd dobrobytu. Niemcy mają dla mnie tyle uroku, że ten kraj czyni mi wrażenie rodzaju ojczyzny".

Dziś nie wierzy się własnym oczom, czytając podobne wyznanie z pod pióra Polki, a jednak to, co nam opowiadali starzy ludzie o dawnych stosunkach Polaków z narodem niemieckim, a nawet pruskim, dorównywa prawie entuzyazmowi Zosi. Aż strach pomyśleć, że tę przepaść nienawiści, jaka dziś istnieje, wytworzyły — nie tyle rozbiory, pomimo szatańskiej działalności Fryderyka II — co ostatnie sześćdziesiąt lat olbrzymiego rozrostu krzyżackiej potęgi. Powodzenie jest lepszym jeszcze od nieszczęścia kamieniem probierczym szlachetności ludzi lub narodów: Prusacy nie wytrzymali próby. Początki ich tryumfu były zarazem początkiem prześladowań wobec tego co wśród ich świetności grało rolę bolesnego *skeleton in the cupboard*, drażniącego aż do wściekłości otumanione, ale nie zagasłe sumienie. Czyż nie lepiej im było być lubianymi, jak wprzódy? Charakterystycznem też — wobec dzisiejszego przebudzenia wszelkich narodowości,

---

[1]) Ustęp powyższy Zosia wypisała z dziennika Księżnej.

że Zosia ani przy wjeździe do Prus, ani w czasie pobytu na szląskiej ziemi nie zdaje sobie sprawy, że ci sympatyczni ludzie, których stroje i uprzejmość wychwala, to tylko po części Niemcy, a reszta — bracia. Przecież z samego *Pielgrzyma z Dobromila* księżny Izabelli mogła się była pouczyć o przeszłości tych krajów, o prawdziwej nazwie choć niektórych miejscowości, pisanych przez nią regularnie z niemiecka. Ale słuchajmy, co mówi dalej pod datą 4 lipca:

„Przenocowaliśmy w Oels (Oleśnicy), gdzie w ciągu jednego wieczora napatrzyliśmy się szeregu scen zabawnych lub rzewnych, godnych opisu Augusta Lafontaine. Jakiś mieszczanin namówił nas zaraz do zwiedzenia *der Merkwürdigkeiten von Oels,* zaczem poprowadził nas do publicznego ogrodu, skąd widać Wrocław, następnie do starego, gotyckiego zamku książąt na Oels, gdzie most zwodzony, wieżyczki i strzelnice przypomniały mi *die Ritterromane.* Wracając do oberży, zastaliśmy poczciwą staruszkę, która jęła nam opowiadać o swojem gospodarstwie, o swoich dzieciach, swojej złej i dobrej doli z prostotą dziecinną, nie przypuszczającą możliwości obrażenia przez zbytek poufałości. Taką prostotę spotyka się tu na każdym kroku“.

„Dnia 5 lipca 1816 r. Przyjechaliśmy do Wrocławia. Jest to bardzo ładne miasto, licznie zamieszkałe, pełne starych, gotyckich kościołów, bardzo pięknych. Jechaliśmy aleami topol włoskich wzdłuż ładnych wiosek. Kraj dotąd nie piękny, ale wszędzie znać staranne utrzymanie, wykończenie i czystość, a ubiory coraz to strojniejsze. Wieczorem byliśmy w teatrze, grano bardzo dobrze sztukę, opartą na wydarzeniu prawdziwem o psie odkrywającym mordercę swego pana“.

„Dnia 6 lipca. Dziś rano po raz pierwszy widziałam drukarnię u Korna, który nas zaprosił na obiad do siebie w Ossnitz. *Madame Korn est très bien;* on sam posuwa optymizm do najwyższego stopnia, rzecby można do śmieszności, gdyby przezeń nie przeglądał ten wewnętrzny dobrobyt, to zupełne zadowolenie ze swego stanu, jakie się tak często spotyka u Niemców. Wieczorem byliśmy znów w teatrze“.

„Dnia 7 lipca. Opuściliśmy Wrocław. Po drodze widzieliśmy śliczną wiejską zabawę. Wieśniacy wszyscy w odzieniach odświętnych zgromadzeni byli na świeżo skoszonej łące, otoczonej pięknemi dębami. Była muzyka, jadło, napoje i wybuchy szczerego śmiechu. Pocztylionowie nasi zatrzymali konie i dowiedzieliśmy się, że to jest coroczna uroczystość, zwana „świętem koguta". W ten dzień, poświęcony na odpoczynek i uciechę, zbierają się mieszkańcy kilku wsi okolicznych, składając się na koszta zabawy, której punkt kulminacyjny stanowi kogut, uwiązany na szczycie wbitego w ziemię pala. Koguta trzeba było trafić kijem z zawiązanemi oczami; za każdym chybionym ciosem podnosiły się nowe krzyki i śmiechy. Ci poczciwi ludzie otoczyli nas, zapraszając do udziału w zabawie. Wszystko to odbywało się wśród cudnego kraju, w przecudną wieczorną pogodę i czyniło wrażenie zarazem wesołe i rzewne".

„Dnia 8 lipca. Przejechaliśmy Schweidnitz (Świdnicę), gdzieśmy spędzili noc. Kraj coraz to piękniejszy. Łańcuch gór zwanych Riesengebirge stopniowo się roztacza; tło stanowią szczyty okryte śniegiem, bliższe góry obrosłe drzewami szpilkowemi, tu i ówdzie uwieńczone ruinami zamków gotyckich, a u ich podnóża żyzne doliny, zasiane malowniczemi domami nad brzegami uroczych strumyków. Obiad jedliśmy w Landeshutt, skąd, chcąc się dostać do Schmiedebergu, należało przebyć bardzo wysoką górę Blauberg. Przybyliśmy tedy bardzo późno do Warmbrunnu, celu naszej podróży, niezbyt zadowoleni z naszego pomieszkania: pokoje małe i bardzo niskie, w zakątku miasta, kędy zapewne noga ludzka nigdy nie przechodzi. Poszliśmy spać w bardzo złych humorach".

Cały opis tego dnia, równie jak i następnego, przepisany jest przez Zosię z dziennika Księżny, co zresztą poznać można po większej jędrności stylu i braku sentymentalnych określeń. Później i styl Zosi mężnieje tak, że nie łatwo rozeznać autorstwa, co zresztą jest dość obojętne:

„Dnia 9 lipca. Budząc się nazajutrz zrana — pisze Księżna — każdy z nas czynił smutne uwagi nad naszem niewesołem

mieszkaniem. Pomimo to każdy się rozgościł i twarze jakoś się wypogodziły. Zastawiłam jedno okno, umieściłam na podłodze dwa sienniki pokryte ładnym kocem, co mi utworzyło dobre posłanie; naprzeciwko stanęła kanapa, stolik i trzy krzesła, przy oknie stół do pisania, na którym rozłożyłam moje pióra, scyzoryki, pieczątki, papiery i t. d. W drugiem oknie, przystrojonem w kwiaty, postawiłam krzesło i mały stoliczek: to miał być mój *Lese-Cabinett.* Za tym stolikiem była ciężka komoda o trzech szufladach, do których schowałam kilka sukien, trzy brzydkie szlafroki, trzy czy cztery stare czepki i dwa kapelusze. Na komodzie spoczęła klatka z papugą i lusterko pomiędzy oknami. Przestrzeń, zawierająca wszystkie te sprzęty, liczyła wzdłuż 7 a wszerz 5 moich kroków; co do wysokości Khittel [1]) dotykał prawie głową powały. Pokój Zosi o jeden krok większy od mojego; umieściła w nim duży klawikord, stół z rysunkami, papierami i biblioteczką; łóżko jej bardzo skromne, na stopę wysokie nad podłogą. Dalej pokój Lili i pani Nevill; izdebka dla panien służących, pokój dla Khittla i Banczakiewicza; jako jadalnia — wązki i zimny korytarz. Uznaliśmy zgodnie, że dom paskudny, ponury, źle obrany, ale po kilku dniach przywykliśmy do niego, spaliśmy wyśmienicie, jadali bardzo dobrze. Spacery prześliczne i lud taki poczciwy".

„Dnia 12 lipca. (Zosia). Przyzwyczajenie zatarło już niewygody, na jakie skarżyliśmy się zaraz po przyjeździe. Izdebki nasze podobne są do celek klasztornych, co mi sprawia wzruszenie. Godziny poranne mijają przyjemnie, kościół jest bardzo piękny, klawikord możliwy, typy wyborne do odrysowania. Używam na tem wraz z Lilą, która na wszystko sieje urok swojej niezmiennej słodyczy i wesołości. Wieczorami chodzimy często na wielką Promenadę: jest to potrójna alea, złożona z rzędu topól włoskich po lewej ręce, a drzew mieszanych, bardzo cienistych, po prawej, z drogą powozową

---

[1]) Khittel, o którym często mowa w dzienniku, był lekarzem przybocznym, miał sam umrzeć w Puławach w końcu 1817 r., ku wielkiemu żalowi Zosi.

w pośrodku i chodnikami po obu stronach. Jest też ładny salon do zebrań, a po za tem wszystkiem widok pięknych gór o różnorodnych wierzchołkach: Kynast z ruinami starego zamku, Schneekoppe ginąca w chmurach, inne szczyty pokryte lasem lub śniegiem. Wielka rozmaitość krajobrazu, natura majestatyczna z romantyczno-malowniczemi efektami. Podziwiam ją, bawię się widokiem różnych nieznanych twarzy, a przecież to smutno czuć się obcą wśród tłumu, nie spotkać na żadnej twarzy znaku przychylności, ani uśmiechu przyjaźni".

„*Dnia 14 lipca.* Wieleż to rzeczy mnie zachwyca, ale co chwila powraca myśl: jakby się to podobało Kamci! Martwi mnie, że zamiast przyjechać tu z nami, pozostała w Puławach, smutna i niespokojna. Lubię to bogactwo kwiatów, a zwłaszcza róż, otaczających tu najuboższą chatę, lubię muzykę wszelkiego rodzaju, dochodzącą z każdego kąta, te ładne a tak różnorodne stroje ludzi miejscowych, ich skinienie głowy, wyrażające więcej życzliwości od najudatniejszego frazesu, śliczne strumienie, bujne trawniki, ogromne góry! Raz jeszcze — czemu Kamcia tego nie widzi?"

„*Dnia 16 lipca. Ah si la vie est un songe, quel bonheur de le vivre ici!* („Jeżeli życie jest snem, co za szczęście prześnić je tutaj"). Oto zdanie, które znalazłam w księdze, gdzie się zapisują goście wędrujący na Kynast, a które jest najlepszym wyrazem mojego wrażenia po odbytej tamże wycieczce. Wyruszyliśmy wczoraj w cudną pogodę Księżna, ja, p. Nevill, Lila, *le Khittliche* i p. Banczakiewicz powozami aż do Hermsdorf, ładnej wioski ze strumykiem i drzewami, położonej na stoku góry. Stąd poniesiono nas (t. j. panie) *en chaises* ścieżką wijącą się wśród wielkich skał i przepysznych drzew, których korzenie wrastają w szczeliny głazów pokrytych mchem. Każdy zakręt odsłaniał nam nowe cuda natury. Same ruiny Kynastu, do których się dostaje po całodziennym pochodzie, dziwnie poważne a romantyczne, budzą cały szereg rzewnych myśli i wrażeń. Ten zamek, niegdyś rezydencya najmożniejszych panów z całej okolicy, jest dziś siedzibą starca przezywanego „komendantem", a obda-

rzonego obliczem dodającem dużo wdzięku jego opowiadaniom, dalej ładnej dziewczyny i chłopczyka czatującego w jednej ze strzelnic i dającego znać ojcu o przybyciu gości biciem w bęben dziecinny. Ten „komendant“, to prosty wieśniak, powtarzający od szeregu lat zawsze te same historye, a przecież czyniący to zawsze z pewną przyjemnością i dumą, podkreślający ważniejsze momenty zmianą tonu albo uśmiechem“.

Tu następuje szczegółowy opis ruin, po nim długie uwagi nad znikomością rzeczy ludzkich, a za niemi, pod datami najbliższych dni, dalsze zachwyty nad szląskim ludem: „Każdy człowiek spotkany z rana mówi „dzień dobry“, każdy Boga pochwali, a gdy się kogo o usługę poprosi, to się zdaje, że mu się wyświadcza łaskę... Nad każdym domem jest tu napis z Pisma św.“... Księżna wieczorem dnia 20 przyjęła zaproszenie *der Frau Mahler von Margdorf* w wiosce „pełnej dębów, strumyków i róż“, następnie odbyto spacery na Stangenberg, gdzie „książę Reuss kazał wyciąć drogi wśród pięknych drzew i wykuć ławki w skałach“, potem do Schmiedebergu i do Buchwaldu. Ta ostatnia miejscowość była do niedawna własnością hr. Rede, który cały majątek poświęcił na upiększenie dworu, na wybudowanie „na całkiem angielską modę“ domu dla ogrodnika, gdzie w pokoju, przeznaczonym na picie herbaty, ściany były obwieszone 12 obrazami, przedstawiającemi kwiaty właściwe 12-tu miesiącom roku. Ostatniem dziełem hrabiego była t. zw. *Abtei,* mały budynek gotycki z kapłicą, w której niebawem spoczęła jego trumna, osłonięta białym całunem i co dnia świeżym pękiem kwiatów przystrojona przez zbolałą wdowę. Ta również w każdą rocznicę jego śmierci ubierała całkowicie 24 ubogich dzieci... Największą atoli uciechą małej warmbrunskiej kolonii był niespodziewany przyjazd księżny Wirtemberskiej. Zosia pisze pod datą:

„*Dnia 29 lipca.* Chciałabym różowym atramentem zaznaczyć trzy minione dni 26, 27 i 28, a podwójnie czarnym nasz powrót ze Schmiedebergu, dokąd odprowadziliśmy księżnę Wirtemberską, która wstąpiła tu dla odwiedzenia Księ-

żnej w drodze do Karlsbadu, skąd już wybiera się na swą wielką podróż. Tem większą była nasza radość, żeśmy się jej wcale nie spodziewali. Księżna Wirtemberska była dla mnie tak serdeczną, jak gdyby zgadywała, jak bardzo ją kocham, czego jednak wyrazić jej nie umiem. Cesia zdrowa, ale bardzo zasmucona rozstaniem z nami. Odwieźliśmy je do Schmiedebergu i do Buchwaldu, gdzie mi księżna Wirtemberska dała kwiatek, a Cesia bratek i listek, które tu umieszczam".

„*Dnia 31 lipca.* Dziś zrobiliśmy dużo znajomości. Między innymi hrabia i hrabina Maltzan, oboje przystojni, od kilku miesięcy pobrani i tak widocznie szczęśliwi, że aż zazdrość bierze. Tutaj często się widuje szczęśliwe stadła: ludzie nie tają się z wagi, jaką przykładają do związków rodzinnych i w tem, jak i w innych rzeczach znać, że powieści niemieckie są mniej dziełem wyobraźni, niż wiernem odbiciem rzeczywistości".

Po paru dniach deszczu, pierwszych od wyjazdu z Puław, rozpoczęły się znowu wycieczki do Schonsdorfu, który się mniej od Buchwaldu Zosi podobał, pomimo „pustelni" i „grobu pustelnika" wśród skał, do Annakapelle i Knebelbergu, a wreszcie do kaskad pod przewodnictwem Petra Fiedlera, który już w r. 1811 oprowadzał był księżnę Wirtemberską i księcia Adama. Dnia 7-go znów była piękna wycieczka do Schneegrube, skąd cudowny roztoczył się widok na Szląsk, Saksonię i Czechy. Tu znowu kaskady i konieczność dla pań odbycia części drogi pieszo, a stąd nowe wrażenia; potem od źródeł Elby początek odwrotu w bardzo komicznym orszaku: „My jedna za drugą na naszych małych noszach, potem nasi służący i ci panowie zabłoceni „jak pudle", a w aryergardzie p. Banaczkiewicz przez czterech ludzi niesiony!" Wycieczka ta była może najpiękniejszą, ale zarazem i smutną — miała być albowiem ostatnią. Zosia po wyrażeniu swego żalu, dodaje: *Adieu, adieu mein lieber Fiedler!*

„*Dnia 8 sierpnia.* Spędziliśmy smutny ranek na pakowaniu. Po obiedzie zwiedziliśmy w Hernsdorf bibliotekę i zbiory

historyi naturalnej hr. Schaffgotscha; wieczorem poszliśmy jeszcze na bal, aby się ze wszystkimi pożegnać“.

„*Dnia 9 sierpnia.* Dzień naszego wyjazdu. Dziś raniutko byłam jeszcze raz w tym pięknym, w tym kochanym kościele tutejszym, do którego nikt mi chodzić nie bronił, gdzie dobrą odbyłam spowiedź, gdzie co rano czerpałam spokój i zadowolenie, na których tle wszystko przez resztę dnia mnie cieszyło. Zjedliśmy śniadanie przed domem i tu przyszli z nami się pożegnać wszyscy nasi najpierwsi znajomi: ślepa dziewczyna, staruszek, który nam przynosił wiśnie i kwiaty, biedna matka Gottlieba, mały Feliks, żona ciemnego, który zawsze siedział obok mnie w kościele i kobieta, która mnie zapytała o moje imię, aby módz je umieścić w swoich modlitwach. Biedacy ci szczerze nas żałowali. Jadąc, miałam przez całą drogę oczy wlepione w łańcuch gór całkowicie z chmur odsłonięty, w najwyższą z nich, Koppe, którą najwięcej lubię, bo ją zewsząd widać. Około południa przejechaliśmy przez kochany Schmiedeberg, dokąd jeździliśmy kilka razy z równą zawsze przyjemnością. Tam też po raz ostatni widziałam księżnę Wirtemberską i Cesię. P. P. Cezary i Kleist oczekiwali nas tam ze śniadaniem, poczem wyjechaliśmy na wielką górę, z której szczytu pożegnaliśmy piękną dolinę, gdzieśmy cały miesiąc spędzili. Droga była ładna; bardzo późno już przybyliśmy do Altwasser“.

„*Altwasser, 12 sierpnia 1816 r.* Jesteśmy tu od tygodnia, mieszkanie mamy lepsze niż w Warmbrunie; posiadamy obszerny salon w miejsce korytarzyka, kędyśmy jadali, a przed oknami miasto samotnej uliczki, mamy publiczną promenadę. Kraj w swoim rodzaju ładny; towarzystwo przyjęło nas bardzo uprzejmie — a pomimo to nie jest mi tu dobrze i nie spodziewam się przebyć ani jednego całkowicie miłego dnia. Nie ma tu katolickiego kościoła, nie mogę bywać codziennie na Mszy św., co dla mnie stanowi brak, którego nic zastąpić nie zdoła. Czuję próżnię w sercu, gdy jego pierwszych poruszeń nie mogę Bogu poświęcić; ta godzina poranna, którą zrazu mniemałam, że Mu z samego obowiązku oddaję, stała się jedyną moją chwilą istotnego szczęścia“.



KS. ADAM CZARTORYSKI.

Rysunek własnoręczny Zofii Matuszewiczówny.

Własność Henryka hr. Potockiego w Chrząstowie.



„Dnia 13 sierpnia. Byliśmy dziś u pani Pückler w Tannehaus; poznałam tam młodziutką kobietę bardzo chorą na piersi, tak, że ma pono ledwie rok do przeżycia. Jej osłabienie, jej ładna twarzyczka z wyrazem słodkiej rezygnacyi przypomniały mi *Leontine von Blondheim* (powieść Kotzebuego) — pani Milińska jednak więcej wzbudza żalu, bo ma męża, którego kocha i troje ślicznych dzieci".

„Dnia 14 sierpnia. Po raz pierwszy w życiu byłam dziś w kopalniach węgla; nowość ta zajęła mnie nieskończenie. Było nas sporo osób, szliśmy każdy ze świecą w ręku, potem płynęliśmy pół mili łódkami w oświetlonem podziemiu z muzyką na przodzie. Przy końcu w rodzaju saloniku wykutego w węglu zastaliśmy hrabinę Kosspoth z jej dwoma dziećmi przebranemi za górników. Pod baldachimem z zieleni stał przystrojony kwiatami stół z herbatą i owocami. Ponad nim w głębi sklepienia widniał transparent z jednym tylko wyrazem: *Glück auf.* Jest to słowo, które górnicy zamieniają przy każdem spotkaniu, życząc sobie wzajemnie szczęśliwego powrotu na ziemię. Przebyliśmy całą godzinę bardzo wesoło, choć o 120 sążni pod ziemią. Przyglądaliśmy się też pracy górników; jest ich 1500 tych nieszczęśliwych, przepędzających tam połowę życia. Pomimo całej przyjemności owej wycieczki, przyznaję, że rada byłam, gdy ujrzałam słońce".

„Dnia 15 sierpnia. Dzień imienin księżnej Wirtemberskiej; dla uczczenia go towarzystwo tutejsze dało dla Księżny podwieczorek w Fürstenstein [1]). Jest to stary zamek o milę stąd w czarującem położeniu i pomimo, że nie lubię Altwasseru, muszę przyznać, że w okolicach Warmbrunnu nie widziałam nic tak pięknego... Cudne spacery nad potokiem pod cieniem skał, śliczne kąciki i mostki, miłe kąpiele. Wieczór był przepyszny, towarzystwo wesołe i w ogóle wycieczka nad wyraz udana; mnie jednak było tęskno za tem, czego brak co dnia odczuwam — o czemu nie masz tu kościoła!"

---

[1]) Fürstenstein, słynny zamek księcia Pless, zbyt jest znany, aby tu opis jego powtarzać.

„*Dnia 22 sierpnia.* Odebraliśmy dziś wiadomość, że cesarz ma przybyć do Warszawy około czasu naszego powrotu. Z przerażeniem myślę, że się znów ujrzę w tym wielkim świecie, którego nienawidzę bardziej jeszcze, gdy się w nim bawię, niż gdy się nudzę. Oto uwaga, jaką mi nasunęły tutaj pewne powodzenia światowe, w których istotnie prawdziwym jest tylko żal, jaki zostawiają, gdy się niemi dało omamić przez chwilę“...

Zosia dalej jeszcze ciągnie swoje wywody, świadczące, iż w niej miejsce przeczulonej nieśmiałości zajęły teraz niemniej przeczulone skrupuły. Szkoda, że jej księżna Wirtemberska nie zabrała do Włoch — byłaby przez dwa lata podróży równie szczęśliwa, jak przez miesiąc w Warmbrunn i byłaby prawdopodobnie uniknęła oczekujących ją zmartwień.

„*Dnia 25 sierpnia.* Mieliśmy dzisiaj listy od Kamci. Tak często jej powtarzałam, że jej szczęście jest dla szczęścia mego potrzebnem, iż ten wyraz, choć prawdziwy, stał się już banalnym. Dziś poczułam do głębi jego znaczenie, dowiadując się, wiele miała przykrości od mego wyjazdu, wielu rzeczy jej brakło i jak smutno spędziła lato. Myśl o tem zatruła mi nawet pamięć wszystkich moich radości“.

„*Dnia 27 sierpnia.* Wyjeżdżamy pojutrze. Żałuję Altwasseru tylko dlatego, że się znajduje w Niemczech *(sic).* Miałam tu silną fluksyę i dużo zabawy: fluksya zaś nie jest milą, a zabawa jest nią tylko chwilowo“.

„*Dnia 29 czerwca.* Wyjechaliśmy z Altwasser. Przykro mi było opuścić ukochane góry. Tracąc je z oczu, miałam wrażenie, że już nie jestem w Niemczech, a te również tak bardzo lubię“.

„*Dnia 30 sierpnia.* Przybyliśmy bardzo rano do Wrocławia, gdzie jak najprzyjemniej spędziliśmy dnie 31-go, 1-go i 2-go września. Zwiedziliśmy wszystkie kościoły — są istotnie wspaniałe. Gdybym była wolna, zostałabym tu dla samej katedry i kościoła św. Krzyża. Chodziliśmy dwa razy oglądać obrazy prof. Bacha — niektóre z nich są piękne. Wyszliśmy na szczyt Elisabeththurm, bardzo wysoki z bardzo

obszernym widokiem... Byliśmy w rafineryi cukru, w ratuszu, w bibliotece; słowem, oglądaliśmy wszystko, co było do widzenia. Wyjeżdżam z wielkim żalem. Poprzednio czytałam i słyszałam wiele o Niemczech, podziwiałam w nich wiele rzeczy, które odnalazłam w rzeczywistości — to też uważam tę podróż jako spełnione marzenie".

„*Dnia 3 września*. Opuściliśmy Wrocław; cały dzień jeszcze jechaliśmy w kraju niemieckim. Żal mi go; wyrzucałam sobie, że się nie cieszę z powrotu do Polski. W dniach 4-go, 5-go i 6-go przebyliśmy najsmutniejszy kraj, jaki sobie można wystawić: byłoby zbyt przykro porównywać go z pięknym Szląskiem, któryśmy opuścili, a zarazem odkryć w sobie jedną wadę więcej — miłość ojczyzny tak słabą, że o niej mówić nie warto. Wzdłuż całej drogi widniały same piaski, miejscami liche świerczki, zrzadka nędzne wioszczyny, albo też jakie miasteczko pełne brudu i Żydów, wszędzie nieporządek i nędza".

„*Puławy, 7 września 1816 r.* Przybyliśmy tu bardzo późno; zastaliśmy tylko księcia Adama. Odnalazłam się tu z radością, jaką czuję zawsze, przyjeżdżając do Puław i do Sieniawy".

II.

Żyjąc nieco dłużej, można zauważyć, iż często przed wielkiemi burzami, wstrząsającemi życiem człowieka, nastaje mniej lub więcej długi przeciąg czasu, pełnego spokoju i promieni słońca — zda się, jakoby Opatrzność pozwalała mu nabrać sił potrzebnych do walki. Takim promiennym czasem dla Zofii Matuszewiczówny były dnie podróży i pobytu w Warmbrunn. Nigdy zda się jeszcze nie była tak wesołą, nigdy się tak zupełnie nie otrząsnęła z obłoków sztucznej melancholii, któremi ówczesna moda otaczała wykształcone „damy“. Panny uczyły się wzdychać nawet wtedy, gdy nie było nad czem, albumy służyły za łzawnice wśród wymarzonych smutków i boleści. Gdy zaś prawdziwe przychodziło zmartwienie, brakło już nowych słów dla zaznaczenia różnicy między urojonym a rzeczywistym bólem. Ten zaś miał wkrótce uderzyć w niewinne serduszko Zosi. Tu jednak niepodobna bez komentarza, zaczerpniętego z ust bardzo wiarogodnych, słuchać dalszego ciągu zbyt skąpych w fakta zwierzeń dziewczyny. Należy przedewszystkiem zdać sobie sprawę, czem dla rodziców, rodzeństwa i domowników był ks. Adam Czartoryski, piękny, znakomity umysłem, cierpiący za ojczyznę i pracujący dla niej, długo potężny u boku monarchy, a potem potężny w sercach narodu. Młodzież, chowana w Puławach i Sieniawie, wyrastała w atmosferze uwielbienia, niemal kultu dla „Księcia Wojewody“. Tak samo wyrosła i Zosia, tembardziej podniecona w tem uczuciu, im ją pokrewieństwo, oraz osobliwa miłość starszych Księstwa bardziej do nich zbliżały. Księżna Jenerałowa, niezadowolna jak widzieliśmy z małżeństwa młodszego

syna, pragnęła ogromnie ożenić według swego serca ks. Adama; lata jednak mijały, młodość już przeszła, a nadarmo — na drodze do ołtarza stały przeszkody, których usunięcia sam Książę nie pragnął. Matka tymczasem nie traciła nadziei; co więcej, powzięła myśl, że niezwykły wdzięk Zosi, jej słodycz, jej zdolności, jej młodość zdołają serce syna przyciągnąć i zdobyć. Czy ks. Adam dla przypodobania się matce jął Zosi większe niż innym okazywać względy, czy też księżna Izabella — jak wszyscy rodzice — zdradziła się obejściem lub tonem, a panienka, jak wszystkie panienki, część prawdy odgadła i wyobraźnią dopełniła reszty — tego nie dowiemy się chyba nigdy, ale domyślać się wolno. Bądź co bądź, z chwilą powrotu z Warmbrunn Zosię ogarnął lęk przy zetknięciu z rzeczywistością, mającą smutno lub radośnie o losie jej stanowić:

„*Puławy, 15 września 1816 r.* Odkąd tu jestem, tysiące smutnych przeczuć, aż nadto niektóremi okolicznościami popartych, dręczy mi wyobraźnię i serce. To mnie gniewa na samą siebie, bo czemuż się niepokoić o przyszłość? Czyż mnie Bóg opuści, jeśli mu zaufam? A zresztą, czemu w ogóle pragnąć szczęścia i myśleć o niem? „Wszystko, co się kończy, jest krótkiem“ — pisze św. Augustyn — myślmy raczej o szczęściu, które się nigdy nie skończy, a o którem zapominamy, dbając tylko o to, co przemija. „Rzućmy się w objęcia Boga, On nie usunie umyślnie ramion, abyśmy upadli“ — mówi jeszcze św. Augustyn. Trzeba duszę uspokoić modlitwą i pocieszającem czytaniem rzeczy, odrywających nas od spraw ziemskich, wlewających w nas siłę do znoszenia życia w oczekiwaniu i nadziei dóbr wiecznych. Toż tem pragnieniem i jakoby wymaganiem szczęścia osobistego tracimy czas, który moglibyśmy użyć na uszczęśliwienie drugich. Nie! nie chcę się niepokoić, nie dam się opanować ogarniającym mnie przeczuciom. Dam płynąć życiu, a będę więcej, niż dotąd, myśleć o śmierci“.

W tem miejscu widnieje wtrącony między wiersze przypisek z dnia 25 stycznia 1817 r.: *Sieniawa.* „Boże! jakże te przeczucia strasznie się sprawdziły!“

Poczem znów dziennik wraca do normalnego porządku dat i myśli:

„Puławy, 18 września 1816 r. Jedna uporczywa myśl, gdy raz zacznie prześladować, staje się istną męczarnią; niepodobna się z niej otrząsnąć, wtrąca się do wszystkich zajęć, wyobraźnia pracuje wciąż nad jednym przedmiotem, wywołując w nim naprzód różne okoliczności bolesne, mogące ranić serce śmiertelnie tak, iż sama ich obawa zatruwa myśl o przyszłości. Równocześnie ukazuje w tymże samym przedmiocie tysiące wymarzonych punktów świetlanych, tysiące jasnych snów, z któremi rozstanie boli tak, jakoby były nie snem, lecz rzeczywistością“.

W tem usposobieniu Zosia przepisuje w albumie dość nieudolne tłómaczenie polskie z wiersza Anakreonta o małym Erosie, który żaląc się przed matką na pszczółkę, co go w rączkę ukłuła, musi wysłuchać uwagi, iż gorzej od żądła pszczoły boli jego strzała utkwiona w sercu człowieka. Eros wszakże, marzenia i przeczucia musiały niebawem iść na bok pod natłokiem nowych wydarzeń:

„Puławy, 22 września 1816 r. Pani Zamoyska ze wszystkiemi dziećmi, Książę [1]) i świta cesarska przybywają tu pojutrze, a mniej więcej za tydzień będziemy w Warszawie. Nie mogę wyrazić, do jakiego stopnia to wszystko mnie trwoży, ani sobie zdać sprawy — dlaczego? Spędziliśmy tu 25 dni cichych, samotnych, swobodnych, takich dni, jakie lubię, a teraz liczę z żalem odlatujące godziny, które nas dzielą od wręcz odmiennych warunków“.

„Dnia 23 września. Dziś po raz pierwszy w życiu widziałam umarłego i pogrzeb. Odniosłam stąd wrażenie silne, ale nie przykre — zbyt często myślę o śmierci, jako o chwili dla niektórych słodkiej, dla wielu strasznej, a którą będę usiłowała przygotować sobie słodką. Jakże drobnemi wydają się troski i uciechy tego świata, widziane z brzegu mogiły, gdy w nią rzucamy garść ziemi na świeżą trumnę człowieka,

---

[1]) U Zosi »Książę« bez dodatków oznacza zawsze Księcia Jenerała.

który nas wyprzedził i już stanął u mety, do jakiej my jeszcze dążymy!“

W tem usposobieniu Zosia przepisała w albumie długi ustęp z *Werther's Leiden*. Wkrótce jednak trzeba było porzucić filozoficzne marzenia i rzucić się w wir przygotowań do drogi, do przeglądania i sposobienia strojów, wstążek i piór. Cesarz Aleksander bowiem wraz z cesarzową-matką przybywał znów do Warszawy, gdzie go zawsze przyjmowano balami. Strój przepisany na nie dla panien nakazywał suknię krótką; na wieczory bez tańców i na przyjęcia dzienne miała służyć „suknia długa, ale bez ogona“.

„*Warszawa, 8 października 1816 r.* Przyjechaliśmy przedwczoraj. Cesarz tu jest od czterech dni. Wczoraj byliśmy na balu u jenerała Zajączka. Bal odbył się świetnie, z wielkim przepychem i bardzo wesoło. Naprzeciwko zaś — dogorywał p. Krasiński, liczący dopiero 32 lat — miał ledwie siłę podyktować testament... Wszyscy o tem mówili, ale zapewne mało kto się zastanowił. Florentyna wychowana razem z nami, najweselsza z nas i najświeższa, w ciągu tego lata umarła — dowiedziałam się o tem dzisiaj. Mój Boże! kto wie? może i ja mam mało czasu przed sobą? Gdybym przynajmniej umiała go wykorzystać — ale gdzietam! Wczoraj myślałam o tem wszystkiem na balu, a równocześnie próżność we mnie robiła swoje: pochlebiało mi bardzo, że cesarz tylko ze mną jedną walcował!“

Czy Zosia była już wtedy damą honorową, czy też później dostąpiła tego zaszczytu, nie wspomina wcale. Starsza od niej o jakie trzy czy cztery lat, Joanna Grudzińska, późniejsza księżna Łowicka, posiadała już „cyfrę“, z którą występowała przy większych uroczystościach; była wtedy równocześnie z Zosią w Warszawie, gdzie się pomiędzy panienkami zawiązała znajomość, mająca z czasem w przyjaźń się zamienić. Zosia jednak nie czyni o niej wzmianki w zapiskach, zajęta nie tyle powodzeniem światowem, co wydarzeniem, mającem wywrzeć wpływ na resztę jej życia. Wyszczególnienie przez Aleksandra, otoczonego aureolą majestatu i wdzięku, mogło zaiste pochlebić młodej dziewczy-

nie; pytanie tylko, czy cesarz czynił to dla niej samej lub też zauważywszy osobliwsze dla Zosi względy ks. Adama i domyślając się zamiarów Księżny, pragnął poprostu zrobić przyjemność Czartoryskim? Trudniej jeszcze wytłómaczyć tu postępowania ks. Adama: niepodobna przypuścić odwrotnie, aby nagły sukces Zosi zawrócił chwilowo głowę 46-letniego znakomitego człowieka — raczej chce się wierzyć, że pragnął ucieszyć matkę, bez zastanowienia o przyszłości lub też w nadziei, że słodycz i potulność Zosi dozwoli jej znieść w spokoju to, czegoby nie zniosła kobieta o naturze gorętszej. Dość, że pewnego wieczoru oświadczył jej swą miłość... Zosi, wychowanej jak mówiliśmy w „wierze Boga i uwielbieniu dla ks. Adama“, musiało się zdawać, że słońce zeszło z nieba i u jej stóp złożyło promienie. Równocześnie jednak uczuła instynktem, że wszystko nie jest w porządku, że widując ją co dnia w łonie własnej rodziny, należało Księciu obrać inną drogę, niż oświadczyny na balu cesarskim. Co odpowiedziała, nie wiemy, ale to pewna, że wróciła do domu w stanie oszołomienia, w którem nie wszystko było radością. Nie mówiąc nic nikomu, rzuciła tylko te kilka zdań na papier:

„Nigdy, nigdy wieczór 18-go października nie wymaże się z mojej pamięci, choć dotąd nie wiem, czy za kilka dni wyda mi się najsłodszą czy najbardziej gorzką chwilą mego życia. Jedno tylko mnie uspokaja, to jest, że mi się nic stać nie może, jeno z woli Bożej, a Bóg nie zsyła cierpienia nad siły. On jest w tej chwili jedyną moją ucieczką, w Jego ręce oddaję serce i szczęście moje, w Jego miłosierdziu ufność pokładam. A zresztą — czyż to możliwe, aby mnie zwodzono? O nie, nie, tego nie przypuszczam, a jeżeli tak jest, to przebaczam, ale jakżebym strasznie cierpiała! O mój Boże! mój Ojcze! niech się stanie wola Twoja, tylko mnie prowadź i dodaj mi siły! Wszystko, coby mogło być nadzieją, zamienia się dla mnie w obawę. Wszystko widzę czarno“.

Cały ten ustęp drżącą nakreślony ręką — pismo coraz to gorsze. Nazajutrz widocznie oczekiwała w milczeniu z bi-

jącem sercem i czekała daremnie, osłaniając swą tajemnicę pod banalnością powszedniej rozmowy:

„Dnia 19 października 1816 r. Wieleż się to gada rzeczy niepotrzebnych, wieleż się marnych pytań powtarza, gdy chodzi o ukrycie zakłopotania lub męczącej troski, a zarazem o uniknięcie uwagi: „Cóż ci to jest dzisiaj?“

Na razie Zosia koiła niepokój przepisywaniem medytacyi na tle Ewangelii o opiece Opatrzności. Ks. Wirtemberskiej snać nie było, z ks. Izabellą mówić pierwsza nie mogła, ani z nikim innym, skoro pisze:

„Dnia 23 października. Wieleż to rzeczy przewaliło się w mojem sercu od owego wieczora! Chwilami wierzę w szczęście, to znów przewiduję same zmartwienia, ale w każdej chwili słodko jest złożyć wszystko w ręce Boże“.

„Dnia 24 października. Nic tak nie cięży, jak konieczność udawania wesołości od rana do nocy, gdy komu nie wesoło na duszy“.

„Dnia 27 października. Jakież to są we mnie dziwne kontrasta! Wczoraj tańczyłam do upadłego, dziś potrzebuję całej siły woli, by się wstrzymać od łez. Gdybym wszakże miała oddzielić i zważyć moje różne uczucia — przeważałby smutek. Jeśli to była igraszka – to była okrutną! Taki właśnie miałam w duszy spokój i cieszyłam się nim tak bardzo, bo tego dobra najmniej w życiu użyłam. Spokoju mi najwięcej żal. Nie wiem dokładnie, co sobie mam do wyrzucenia, ale wiem, że ze wszystkiego najwięcej mnie trapi wątpliwość, czy postąpiłam, jak byłam powinna. Boże mój, jeśli przez niedoświadczenie w czemkolwiek uchybiłam, przebacz mi tak, jak ja z głębi serca przebaczam“.

„Warszawa, 28 października. Za dwa dni wyjeżdżamy do Puław; aby mi to było przyjemnem — nie powiem, ale sądzę, że będzie to wrażenie podobne temu, jakie się ma w chwili, gdy się idzie spać po dniu, w którym było trochę uciechy, dużo przykrości i ogromnie wiele zmęczenia. Jakie będzie przebudzenie? Wiem, jakie będą sny“...

„Dnia 30 października opuściliśmy Warszawę. Pierwsze chwile były nad wyraz bolesne, ale czuję już, że wrócę do

równowagi, bo uczyniłam krok, który mi zupełnie uspokoił sumienie, a to mi doda siły. Lubię bardzo Warszawę, bo ze wszystkich miejsc tam najwięcej cierpiałam“.

Ostatnie zdanie brzmi jakoby oddźwięk współczesnej literatury raczej, niż serdecznego uczucia. W ogóle w całej tej nieszczęsnej sprawie znać, że serce Zosi daleko mniej wchodziło w grę, niż sama myślała, a w każdym razie mniej, niż drażliwość sumienia, zakłopotanie, marzenie o dalszem życiu w Sieniawie i Puławach w charakterze nie już wychowanicy, ale córki i przyszłej pani domu, przy boku człowieka, którego jej od dzieciństwa ukazywano jako niemal nadprzyrodzoną istotę. Z takiem samem uczuciem młode i piękne dziewczęta poślubiały nieraz wielkich wodzów, świecących siwizną... Na czem polegał ów „krok“, uciszający jej niepokój sumienia, nie wiadomo — prawdopodobnie wymogła na ks. Adamie, że całą rzecz rodzicom wyjawi. Jedno jest pewnem, że nigdy o niej nie mówiła z Księżną, a wcześnie poczuła, że nie wszyscy w rodzinie byliby radzi temu związkowi. Na pocieszenie przepisała w albumie *Sehnsucht* Schillera w tłómaczeniu Franciszka Morawskiego.

„Puławy, 7 listopada 1816 r. Usiłuję się rozerwać, napełniając zajęciem każdy kącik dnia. Udaje mi się nieźle, ale oczywiście nie zawsze, bo chwilami znajduję się sama ze sobą i wraz zaczynam się trapić alternatywą sprzecznych uczuć i myśli. Walczę z tem — oddalam zarówno przeczucia wesołe i smutne. Radabym odnaleść dawny spokój, którego dotąd nie umiałam ocenić. Przestałam mieć nadzieję w chwili, gdy zaczęłam pragnąć“.

„Puławy, 18 listopada 1816 r. Dziś miesiąc od dnia, w którym jedna chwila zamąciła mi duszę. Boli mnie, że nie mogę i nie powinnam analizować mych uczuć. Moja przyszłość jest tak niepewną, że nawet przewidzieć nie mogę, jakim mój dzień jutrzejszy być może. Powtarzam sobie wciąż, że co Bóg da będzie dla mnie najlepszem, że jedyną moją troską powinna być obawa uchybienia obowiązkowi, ale jakżeż często dręcząca mnie wyobraźnia nad rozsądkiem prze-

maga! Dziś odebrałam dobry, tak dobry, tak dobry list! (Dodane później: Dziś także przyjechał")...

Przyjechał! Ale ten przyjazd nie mógł być hasłem szczęścia i spokoju. Zofia tuliła się coraz bardziej do Boga; zamiast zapisków, spotykamy w jej książce piękną niewymienionego autora poezyę niemiecką p. t. *Vater Unser* i długi ustęp z *Evangile médité* o prawdziwej miłości Bożej. Stosunek jednak do niej ks. Adama przestał już widocznie być sekretem; bliżsi dyskutowali go, a dalsi, domyślając się, dyskutowali także na ślepo, co razem wzięte, tworzyło wokoło biednej dziewczyny atmosferę nieznośną:

„Puławy, 22 listopada 1816 r. Jedną z dobrych stron pobożności, odnoszącej wszystko do Boga, jest zobojętnienie na obmowy, na plotki, na to ustawiczne u ludzi bezczynnych wyszukiwanie tajnych pobudek w każdym kroku bliźniego, tłómaczenie każdego słówka, każdego spojrzenia i budowanie na ich podstawie całych historyj, które następnie bywają miasto prawdy puszczane w obieg. Do tego szczytu pobożności jeszcze nie doszłam. Płotki mnie dręczą, niesłuszna obmowa zniechęca i rani, a niezasłużona pochwała brzydzi i zawstydza. Dlatego głównie nie lubię tego rodzaju towarzystwa, tych zebrań ludzi obojętnych, wśród których trzeba wciąż na siebie uważać, chcąc uniknąć cudzej uwagi".

„Dnia 26 listopada. Smutek niektórych osób wywiera na mnie wpływ magnetyczny — wobec niego już nie mogę się śmiać"...

Kto był taki smutny? Czy ks. Izabella? Czy poczciwy lekarz domowy Khittel, mający wkrótce w Sieniawie życie zakończyć, wzbudzał w czyjem sercu niepokój i żal? Być może, iż jego stan przyśpieszył wyjazd ks. Izabelli z całym dworem do ukochanej przez Zosię Sieniawy. Dnia 30 listopada zaznacza datę przyjazdu; z dnia 8 grudnia jest tylko data, a dalej dopiero zapisana na ten dzień śmierć Khittla na osobnej kartce, schowanej na pamiątkę, bo zawierała pismo zmarłego, który był jednym z najmilszych towarzyszy pobytu w Warmbrunn.

„Sieniawa, 18 grudnia 1816 r. Dziś dwa miesiące! Toteż otwieram tę książkę, do której nie zaglądałam tak długo. Byłabym przecież miała nie jedno do zaznaczenia. Odkąd czarujący obraz szczęścia ukazał się memu sercu, nie miałam ani jednej chwili spokojnej, a tyle przykrych... Gdy mi cokolwiek zda się wróżyć urzeczywistnienie drogich nadziei, wyrzucam sobie, że się do nich zbyt przywiązuję; gdy zaś smutek i zwątpienie zaleją mi duszę, wyrzucam sobie brak cierpliwości i wiary w miłosierdzie Boże, martwię się, że mi jeszcze tak daleko do pobożności prawdziwej, osładzającej najcięższe boleści".

„Sieniawa, 21 grudnia 1816 r. Od kilku lat przywykłam w dzień moich urodzin zaznaczać tu ważniejsze wrażenia ubiegłego roku. Nie uczynię tego dzisiaj: nie mogę i nie chcę mówić o tem, co mnie najmocniej zajęło, o tem, co, w jakikolwiek sposób Opatrzność los mój obróci, będzie w życiu mojem stanowilo epokę".

„Sieniawa, 1 stycznia 1817 r. Jakże smutno rok ten zaczynam! Nic mi się nie uśmiecha w przyszłości, a tyle, tyle przewiduję zmartwienia! Serce mam pełne goryczy, zrażone, krwawe, widzę jaśniej co dnia, że mi trzeba wyrzec się złudzenia, które mimo mej woli do niego się wkradło. Ogarnia mnie ogólna nieufność, niesmak przy każdem zajęciu, przez większość dnia muszę udawać wesołość, a dźwięk własnego śmiechu mnie razi".

(Bez daty). „Przez te dnie mieliśmy tu zebranie, bawiliśmy się w różne gry, tańczyliśmy, urządzaliśmy wycieczki, dużo było śmiechu i wrzawy. Miałam co nazywają „powodzenie", *des succès*, i przekonałam się, iż nic tak nie rani, jak galanterya tam gdzieby się pragnęło uczucia, nic nie mrozi, jak komplementy z ust, z których się słyszało coś słodszego, że w ogóle nic się bardziej nie różni, jak chęć podobania się a pragnienie miłości".

Z powyższego ustępu znać, że chwila zupełnego rozczarowania już była bliską — takiej jednak, jaką zaznała, nie mogła się spodziewać. Pani Zamoyska była związkowi z nią przeciwna i słusznie: Zosia miała zbyt czułą, zbyt du-

mną, a może nie dość silną duszę, by znieść spokojnie podział serca męża i powoli, cierpliwie, kosztem całych lat poświęcenia przyciągać go do siebie. To zaś — według bardzo wiarogodnego źródła — było przyszłością, stawioną jej przed oczy i odrzuconą ze wstrętem. Cios był stanowczy i sprawa dla niej rzeczywiście skończona; wlokła się wszakże jeszcze pozornie czas jakiś — być może, iż Księżna nie chciała się pozbyć pokładanych w ożenieniu syna nadziei.

„*Sieniawa, 9 stycznia 1817 r.* (Pierwszy wiersz po polsku). O mój Boże, jakże mi serce od tylu boleści nie pękło, jakże tyle ich w jednem sercu się zmieści! Nie chcę się tu nad ich szczegółami rozwodzić — i tak nie mogłabym wyrazić wszystkiego, przez co przechodziłam. A tymczasem trzeba mi od rana do nocy wszystko to w sobie tłumić i utraciwszy wiarę w szczęście, udawać wesołość. W przyszłości czeka mnie jeszcze jedna boleść, a potem — wszystko mi jedno co się ze mną stanie“.

„*Sieniawa, 16 stycznia 1817 r.* Dławi mnie ten bezustanny przymus. Niechże choć tu wypowiem, jak cierpię! A jednak liczę na to, że rezygnacya stopniowo mój ból uciszy, bo czyż ufność w Bogu nie może zastąpić zaufania do ludzi, a nadzieja wiecznej szczęśliwości ukoić żalu za straconem szczęściem znikomego żywota? Czyż kto przed Bogiem ma serce czyste, winien się jeszcze oglądać za uznaniem i miłością swych bliźnich? A gdyby obraz wszystkiego, co może życie upiększyć, nie był się jakoby w świetle błyskawicy przedstawił mym oczom, jakaż byłaby zasługa w poświęceniu Bogu całych sił mego serca i duszy?“

„*Sieniawa, 20 stycznia 1817 r.* Od kilku dni mamy przecudną pogodę — a jednak to łagodne, wiosenne powietrze, to jasne słońce, ten powiew nadziei, jaki przynoszą pierwsze ciepłe dni po śniegach i mrozie, to wszystko tchnie we mnie smutek, którego chyba znieść już nie zdołam. O tej porze, jak to bywa za młodu, odczuwałam co roku pewną słodką melancholię — dziś to prawdziwy ból, przesycający duszę goryczą“.

Zapiski z 2-go i 8-go lutego wyrażają już pewne ukojenie umysłu; w każdym razie konieczna przed ludźmi powłoka obojętności staje się mniej sztuczną i mniej do noszenia bolesną wśród ciągłych zabaw, zastępujących tej zimy zwykłą ciszę życia w Sieniawie. Ma się rozumieć, że Zosi trudno się do tego przyznać nawet przed sobą:

„Sieniawa, 14 lutego 1817 r. Wczoraj jako w Tłusty Czwartek była tu ogólna maskarada. I ja też się przebrałam, ale sama szczerość otaczającej mnie wesołości wykazała mi, o ile moja własna była udaną i pustą. Usiadłam samotnie w kąciku i jęłam na nowo zgłębiać rany mego serca, czego zazwyczaj unikam. Mojem każdodziennem zadaniem od samego rana jest dotrzeć do wieczora, nie dopuszczając myśli o moich biedach. Często mi się to udaje samą siłą przyzwyczajenia, ale lada drobiazg wystarczy, by zbudzić uśpione wspomnienia“.

„Tłusty Wtorek. Powtórzyliśmy maskaradę czwartkową. Biedna mała Klempińska bawiła się z całą żywością swego wieku; przebrana była za pielgrzyma. W chwili, gdy miała iść tańczyć, zajęła się od świecy jej przyprawiona broda. Cała jej twarz jest oparzona i gdyby nie natychmiastowa pomoc, byłaby straconą. Mój Boże, jakże to od uciechy blisko do cierpienia, a od życia do śmierci!“

„Sieniawa, 20 lutego 1817 r. Byłam na herbacie u pani Nevill. Lila grała mi melodye i tańce pamiętne z Warmbrunn i Altwasser, co mnie smutnie wzruszyło. Były to ostatnie moje dni radosne. Za powrotem do Puław ogarnął mnie odrazu jakiś lęk, jakieś przykre przeczucie, które trwało przez całe trzy tygodnie mego pobytu. W Warszawie po raz pierwszy ujrzałam się w położeniu, w którem udawanie było obowiązkiem; tu po raz pierwszy też poznałam, jak różną jest boleść prawdziwa od smutków wyrosłych z wyobraźni młodzieńczej. A tu w Sieniawie? Czyż mogłabym wyliczyć — upokorzenia, rozczarowanie, zawód, wszystko, co serce uraża i wszystko, co boli *(tout ce qui blesse et tout ce qui froisse le coeur)?* Wszak sama nadzieja, budząca się jedynie na to, by się rozwiać — czyż i ona nie była boleścią? Teraz jednak zda mi

się, że spokój wraca mi powoli do serca, a z nim dość zimnej krwi, aby módz być bez wysiłku rozsądną".

„*Dnia 22 lutego.* Dawniej mniemałam, że nie mam złudzeń; dziś widzę, wiele mi ich zostawało temu trzy miesiące".

Wszystko jednak u Zosi nie było złudzeniem, a przedewszystkiem serdeczne przywiązanie przybranych rodziców, oblekające się u starego Księcia Jenerała ślicznym odcieniem galanteryi rycerskiej. Jednym z jej licznych objawów jest kartka, jaką Zosia dnia 2 lutego w swoim pokoju zastała:

VERS D'UN CAMPAGNARD GALICIEN ADRESSÉS A Mlle. S. M.[1]).

Je cherchais une rose en vain et dépité
J'accusois du Printems le vol précipité.
De son haleine caressante
Amour en fit naître une au jardin de Paphos.
Sous cette fleur éblouissante
Mon oeil enchanté lut ces mots:
»Pour la plus belle elle est éclose —
Le plus tendre doit la cueillir«.
C'était m'abandonner la rose
En m'ordonnant de vous l'offrir.

(Jako podpis zwykły monogram Księcia).

---

[1]) WIERSZ GALICYJSKIEGO WIEŚNIAKA DO PANNY Z. M.

Szukałem Róży — próżno! I skarżyłem wiosnę,
Że ją zbyt szybko skrzydła unoszą zazdrosne,
Aż w Paphos, pod gajów cieniem
Amor pieszczotliwem tchnieniem
Zrodził kwiat i w promienne przyozdobił wdzięki.
Że zaś ja u stóp Róży napis wyczytałem:
»Dla najpiękniejszej z najczulszego ręki« —
Więc kwiat wziąłem jak własny — i tobie go dałem.

Na odwrotnej stronie kartki widnieje dopisek Zosi z dnia 24 lutego 1817 r.:

„Dziś znalazłam u siebie doniczkę z kwitnącym krzakiem różanym, a obok niej te wiersze. Wszystko, co pochodzi od Księcia, od tego dobrego, kochanego Księcia, stanowi drogą dla mnie pamiątkę“.

Alluzya do szybko ulatującej wiosny w wierszyku Księcia Jenerała zadziwia trochę obok daty 22 lutego; była to albo *licentia poetica*, albo też wynik panującej owej zimy w Sieniawie atmosfery teatralnej, wśród której musiano zatracać chwilami poczucie rzeczywistości. Zosia na tem miejscu właśnie wypisuje tytuły odegranych sztuk: *La Curieuse* pani de Genlis, *Le bon Fils* Floriana, *Der Mann nach der Uhr* po niemiecku, *Jan Kochanowski* Niemcewicza, a później *Aktor mimowoli*. „Wszystko bardzo ładne i bardzo zabawne“. Dodać należy, że Zofiia rysowała portreciki „artystów“ amatorskich w ich ucharakteryzowaniu i strojach. Co do klimatu ten był snać zawsze łagodniejszym w Sieniawie, niż w Puławach, zwłaszcza u schyłku zimy r. 1817, strojącej się we wszystkie uroki przedwczesnej wiosny. Korzystano też z niej skwapliwie:

„*Sieniawa, 9 marca 1817 r.* Wyruszamy jutro na wycieczkę do Krukienic i Rozdołu, co mnie wcale nie cieszy, bo w moim stanie duszy potrzebuję spokoju i zupełnej jednostajności życia“.

„*Sieniawa, 22 marca 1817 r.* Wróciliśmy tu wczoraj, a radość tego powrotu była pierwszem miłem uczuciem, jakie od dłuższego czasu zaznałam. Dziś znalazłam te listeczki w ogrodzie i umieszczam je w albumie jako nową pamiątkę z mojej ukochanej Sieniawy. Opuszczamy ją za trzy tygodnie i jedziemy do Puław, gdzie mnie czekają nieuniknione przykrości. Boję się ich; tam moje biedne serce, które tu odzyskało nieco spokoju, będzie znowu co krok upokarzane, poniewierane, ranione“.

„*Sieniawa, 9 kwietnia.* Miałam miły, bardzo miły wieczór, który zaznaczyć muszę. Pojechaliśmy na podwieczorek za San, do bogatego młynarza; przyjął nas z tą wzruszającą



LUDWIK KICKI

1791—1831

Współczesny rysunek niewiadomego artysty.

uprzejmością, jaką się tylko spotyka u ludu. Oprowadzał nas po całem swojem gospodarstwie, z którego wszędzie widniało ochędóstwo, zamożność i szczęście. Następnie powiódł nas nad brzeg stawu, gdzieśmy łowili ryby, a w końcu zjadłszy podwieczorek w jego stodole, wróciliśmy dość późno do domu. Mam wrażenie, że do uroku Sieniawy przyczynia się istniejąca tu wielka liczba dzieci i młodzieży. Niepodobna ich wesołości nie dzielić“.

„*Sieniawa, 10 kwietnia 1817 r.* Ledwie skończyłam pisać ostatnim razem, doznałam znów przykrych wrażeń — istny obraz życia! Nasze towarzystwo już się rozjeżdża: kilka osób mających wyjechać jutro rano pożegnało się po kolacyi z tymi, którzy jeszcze kilka dni zostają. Mnie to zabolało, bo i ja mam opuścić Sieniawę, a na tę myśl serce mi się ściska: tak kocham Sieniawę, a tak się lękam Puław! Jestem już naprzód zmęczona myślą, że tam znów z obowiązku wypadnie się silić na pozory swobody wśród okoliczności, składających się na utrudnienie mego położenia. Wypadnie udawać wesołość wobec tylu przyczyn do smutku, serdeczność wobec osób, które mi tyle sprawiły przykrości. Jakże ta zima szybko minęła! Dużo w niej było chwil bolesnych, ale, zwłaszcza od powrotu z Rozdołu, bywały też spokojne i słodkie. I właśnie teraz, gdy mi zaczynało być dobrze, trzeba wyjeżdżać. Mam takie smutne przeczucia, tak mi smutno — moja droga Sieniawa“!

„*Puławy, 17 kwietnia 1817 r.* W Puławach posępnie, roślinność bardzo spóźniona, śnieg codzień pada, w pokojach zimno — jednem słowem wiosna została w Sieniawie. Dzięki ciągłemu zajęciu, dochodzi się dość prędko do końca dnia, ale co mnie bardzo martwi, to widzieć, że Puławy, te piękne Puławy, które dotąd były jednym z celów życia Księżny, przestały ją interesować. Fakt ten daje miarę jej smutku. Ten sam cios bolesny uderzył w nas obie, choć nigdyśmy ze sobą o nim nie mówiły. Ja przynajmniej jestem tak młoda, że perspektywa mojej długiej przyszłości dała mi siłę do zniesienia chwili obecnej — ale Księżna ma mniej lat przed sobą widząc się tak okrutnie zawiedzioną w swojej ostatniej na-

dziei, straciła do wszystkiego ochotę. I to ja byłam przedmiotem tych pragnień, do których każda jej myśl się zwracała! O bodajby Księżna mogła się wyrzec mego szczęścia, tak, jak ja go się wyrzekłam! Obie również jesteśmy w oczekiwaniu nieuniknionych przykrości, czasu pełnego trudnych sytuacyj i niemiłych wrażeń. Księżna będzie żałować, będzie robić porównania; ja będę zażenowaną, upokorzoną do głębi. Ale on co odczuje?... Zapewne nic miłego".

„Oto, com znalazła w albumie Księżnej i nie mogę się wstrzymać od przepisania w moim, bo każdy z wyrazów jej boleści dowodzi jej przywiązania ku mnie:

„Sieniawa, 15 stycznia 1817 r. Niepodobna mi zataić moich uczuć! Zagłębiam się w te smutne, niezatarte w sercu mojem wspomnienia, bo mi je wszystko na myśl przywodzi. Dniem i nocą żałuję tej wymarzonej przyszłości, w której widziałam zapowiedź szczęścia i wszelkich przyjemności życia. To cierpienie, do którego nie chcę się sama przed sobą przyznać, które nawet próbuję potępiać, bo szczęście... powinno więcej ważyć od mojego — cierpienie to niekiedy milknie i wtedy przestaje mną miotać, ale mnie skrycie pożera. Boże mój, nie proszę dla siebie o przedłużenie życia, bo serce moje zwiędło, ale daj mi dość czasu, abym mogła bez drżenia stanąć przed Tobą, abym mogła wszystkiego się spodziewać od miłosierdzia Twego"!

Te kilka zdań ks. Izabelli dają lepsze pojęcie o doniosłości rozegranego dramatu, niż skargi Zosi, którą możnaby o przeczulenie posądzić, a do której ma się mimowolny żal, że zamiast faktów, zapisywała wrażenia. Zapomina się wciąż, że pisała dla siebie, a nie dla nas. Ale oto coś konkretnego:

„Puławy, 1 maja 1817 r. Mieliśmy dziś smutne listy z Sieniawy. Wszyscy tam chorzy na odrę. Cesarz austryacki przyjeżdża do Galicyi: Książę nie będzie tu jak za trzy miesiące, więc pojedziemy za miesiąc do Sieniawy. Jakżeż to lato będzie rozerwane i smutne! Nie potrzeba mi było tych nowych przykrości, mam i bez tego tak dotkliwe zmartwienia".

„*Puławy, 7 maja 1817 r.* Łatwo znosić samotność, gdy w sercu jest pogoda, nadzieja lub spokój, ale wśród smutku do przebycia długich i pustych dni bez żadnej rozrywki, bez żadnej wymiany uczuć, nie wystarczą książki, zawsze książki i tylko książki. To nad moje siły, truchleję na myśl czasu, który tu jeszcze mamy w samotności przepędzić! Byłoby mi łatwiej znosić te próby, gdyby się nie było podobało Bogu dodać do nich oschłości w modlitwie, a bez pociechy Bożej jak zdoła słabość nasza znosić ciężar życia?"

„*Dnia 24 maja.* Dawno nie pisałam w albumie, ale bo też już mnie nudzi zaznaczanie samych przykrości!"

„*Dnia 27 maja.* Choruję na tęsknotę, mam *Heimweh* za Lilą, Kamilką, Anielką, Sieniawą, za ufnością, wesołością, swobodą!"

„*Puławy, 30 maja.* Opowiedziano mi dzisiaj coś, co mi się bardzo podoba. Pewien szlachcic z Wołynia założył ogród, z którego rośliny sprzedaje na korzyść okolicznych ubogich. Jakże pięknemi są te kwiaty, z których sobie wije wieniec nieśmiertelny".

(Trochę zmienionem pismem): „Boleśnie mnie wstrząsnęło spotkanie z tym, który mi serce napełnił goryczą i upokorzeniem, który każde moje uczucie nieufnością przesycił. Czyż usłyszę od niego słówko cieplejsze, słówko zadosyćuczynienia? Nie spodziewam się tego".

„*Puławy, 31 maja 1817 r.* Rany sercu memu zadane wznawiają wspomnienia, które usiłowałam zatrzeć na zawsze".

„*Puławy, 3 czerwca 1817 r.* Od kilku dni, odkąd mi ciężej na sercu, odkąd zwłaszcza dowiedziałam się, że Książę i wszyscy moi z Sieniawy nie mają tu przyjechać, zabrakło mi wreszcie siły do tłumienia mych uczuć, do powstrzymania potoku łez. Jeśli się co wkrótce w mojem położeniu nie zmieni, czuję, że się rozchoruję, a może i gorzej... Ale nie, Bóg mnie nie opuści; On jest przecież wszędzie — bez Niego cóżby się ze mną stało, gdy mnie wszystko szczęście odbiega?"

„*Dnia 6 czerwca.* Księżna ulitowała się nad moim stanem i chce za kilka dni wyjechać do Sieniawy. W istocie nie mogłabym długo już wytrzymać bez zmiany otoczenia".

„*Puławy, 7 czerwca.* Dziś zatem zakończył się stanowczo ten smutny epizod mego życia. Sen się rozwiał; było w nim kilka promyków, a potem dużo czarnych chmur. Nie żałuję tego, co się stało, choć było bolesnem; jestem pewna, że nie byłoby mi przyniosło szczęścia w przyszłości, a teraz cieszy mnie, żem wyszła z trudnego położenia, w którem, przy braku doświadczenia, tak łatwo było pobłądzić. Mimo to jednak mam wrażenie, że wśród tych walk serca i duszy zerwała się jedna z nici wiążących mnie z życiem".

Snać system nerwowy Zosi za przyjazdem do Sieniawy bardzo był jeszcze rozbity i nie dziw — toż biedne dziecko przeszło od roku tłumiło w sobie taką moc sprzecznych uczuć i wrażeń, a to milczenie, konieczne wobec milczenia Księżny, tworzyło wkoło niej atmosferę samotności, w jakiej żadna młoda dusza oddychać nie zdoła. Struna zbyt naciągnięta musiała pęknąć nareszcie — widać to z ustępu w albumie, skreślonego zapewne ręką Lilli White lub innej przyjaciółki, starszej od Zosi. Według pisma rozpoznać trudno, gdyż u panien tej epoki są wszystkie niemal jednakie:

„*Sieniawa, 12 czerwca 1817 r.* Zosiulu moja droga, moja ty biedna, kochana, oby czas, który spędzisz w Sieniawie, ukoił twoje żale, a balsam słodyczy zalał twe rozdarte serce. Niech twe sny będą jasne, twe przebudzenie pogodne, twe dni spokojne i ciche; niech nam twój śmiech powróci i niech ja się do tego przyczynię, tak, abyś w chwilach smutku mogła (za panią Necker) powiedzieć: „Ona przyjdzie i pocieszy mnie!" — Oprócz mnie wszakże znajdziesz jeszcze w życiu godnego ciebie pocieszyciela, ale ten już nie będzie potrzebował pocieszać, tylko szczęście dzielić. Ufam w to na pewno, bo Bóg jest prawdziwym pocieszycielem".

Współczucie poczciwego serca istotnie podziałało jak balsam. Zosia pisze pod tą samą datą 12 czerwca:

„Po ciężkich dniach, których zdało mi się, że przenieść nie zdołam, widzę się znów wśród moich dobrych, kochanych towarzyszek dziecinnych lat, w Sieniawie, w pośród rozrywek i zajęć. Stokroć wolę piękne lipy, okalające tu rojny zawsze i ludny dziedziniec, od wielkich a pustych ogrodów

puławskich. Mogłam nareszcie wylać wszystko z serca z całkowitą swobodą. Teraz mi dobrze, ale jestem tak zmęczona cierpieniem, że nawet radość moja jest smętną. Przyszłość zda mi się pustą i mimowoli żal mi złudzeń, których młodość z tak uporczywą wiarą się czepia".

„*Sieniawa, 20 czerwca 1817 r.* Zrobiłyśmy arcymilą wycieczkę. Księżna z Anielką w jednym powozie, Lila, Kamcia i ja w drugim, p. Ciesielski, Adaś i Detraux w trzecim. Pojechaliśmy do Nienadowej, pogoda była cudna, droga i sama miejscowość śliczne. Lubię całą rodzinę Dembińskich; byli nam bardzo radzi, spacerowaliśmy dużo i śmiali się ogromnie. Mieliśmy bardzo ładny bal w Zarzeczu, a wreszcie po sześciu dniach wróciliśmy do domu".

(Bez daty). „Byłam w życiu kilka razy kochaną i podobałam się nieraz. Wspomnienie tego stało się dla mnie pociechą, odkąd się tak poniżoną widziałam".

„*Sieniawa, 4 lipca 1817 r.* Dawno nie przebyłam tak miłych dni. Usiłuję zapomnieć o przykrościach minionych, a nie myśleć o przyszłych. Daję się porywać zabawie i odnajduję chwilami dawną wesołość. Czas przepyszny, robimy wycieczki, kąpiemy się w Sanie, bawimy się w *jeu de barres*. Zaraz po wstaniu chodzę do kościoła, czytam po angielsku, muzykuję z Lilą, słowem, czas mój zawsze zajęty upływa przyjemnie".

„*Sieniawa, 9 lipca 1817 r.* Książę, Księżna, ja, pani Nevill, Lila, salon, przedpokój, oficyny, stajenne podwórze, pensyonat, miasto, robotnicy — słowem wszystko, co żyje w Sieniawie, przeniosło się do Jarosławia na przejazd cesarza i cesarzowej austryackiej. Zastaliśmy tam pełno osób ze wszystkich stron kraju, wszystkich naszych znajomych. Książę i Księżna widzieli się z Jego i Jej Cesarską Mością; my poszliśmy *en badauds* [1]). Wracając, pojechaliśmy (zawsze z całą Sieniawą) na obiad do ślicznego Wysocka i oto jesteśmy z powrotem po dwóch dniach wybornej zabawy".

---

[1]) Literalnie: »na gapia« — tylko, że ówczesne pióro nie byłoby nigdy użyło tak mało wykwintnego wyrażenia.

„*Sieniawa, 11 lipca 1817 r.* Wyjeżdżamy jutro do Puław. Z wielkim żalem opuszczam Sieniawę. Ale przynajmniej miałam cały miesiąc przyjemny — tyle zyskanego w życiu".

Nie darmo Zosia bała się wyjazdów z Sieniawy — na następnej stronie, okrytej wypisami z listów pani du Deffant, oraz bystremi uwagami, czerpanemi z albumu pani Ciesielskiej, pozostał wyraźny ślad wielkiej łzy, która wgryzła się w papier. Chwila ważną była dla całej rodziny Czartoryskich. Pani Zamoyska, wychodząc z zasady, że w danych okolicznościach ks. Adama koniecznie ożenić trzeba, ale ożenić z osobą, którаby go nie kochała, a przeto nie była zazdrosną, zwróciła jego oczy na siostrzenicę męża, siedmnastoletnią Annę Sapieżankę, o którą jak wiadomo starał się właśnie, z wszelkiemi widokami powodzenia, jenerał Ludwik Pac. Równocześnie kochał się w niej Stanisław Kossakowski — snać ludzie poznali się na tej słodkiej a szlachetnej istocie. Rumor wszakże w wielkim świecie zrobił się ogromny — oto, co pisze w tym czasie do Cecylii Małachowskiej panna Joanna Grudzińska [1]):

„Patrz, patrz ta Anusia! Ktoby myślał, że wzbudzi takie pasye i narobi takich awantur! Księżna Sapieżyna może się kiedyś nabawić wielkiego kłopotu, jeżeli się dalej tak będzie wahała, niby przyjmowała, a potem odmawiała! Ale jest matką — to ją tłómaczy. Spodziewałam się po tej odmowie, że może biedny Kossakowski dojdzie do szczytu swych marzeń — ale kiedy się ten nowy pretendent zjawia, to słaba nadzieja. A Pac czy nie spróbuje szukać pociechy u Anieli? To także Sapieżanka".

Świat tedy się dziwował, ks. Izabella trapiła się, Książę Jenerał z „całą Sieniawą" zjechał do Puław 24 lipca. Zosi zrobiło się znów bardzo przykro wobec faktu, pieczętującego nieodwołalnie jej sprawę z ks. Adamem. Niebawem ode-

---

[1]) *Z korespondencyi księżny Łowickiej.* (*Przegląd Polski*, rok 17, t. I, str. 170).

brała od niego samego list pisany 26 lipca z Wilna [1]), zawierający wyrazy wdzięczności za szlachetność jej postępowania, za stawanie w jego obronie wobec matki, za pocieszanie ją w smutku sprawionym nieziszczeniem się jej życzeń. Prosi, by go Zofia zawsze uważała za przyjaciela i brata, przyczem on sam obiecuje wierność uczuć braterskich. List nie ma nagłówka, a wygodne francuskie *vous* dopomaga do ratowania sytuacyi. Zosi trudno było zaiste uwierzyć w tej chwili w wyrazy przyjaźni; to, co czuła jednak, zostało między Panem Bogiem a jej albumem, a nawet w tym przekreśliła 18 wierszy, z których jednak (dzięki różnicy dwóch atramentów) wyczytać dziś można żal nad tem, że starsi Księstwo odstąpią młodym Puławy, a sami już tam jedynie jako przejściowi goście przebywać będą. Cała jej troska, wszystkie starania skoncentrowały się teraz około ks. Izabelli, która nie mogła się zrezygnować na zamiary syna. Rozżalenie jej dochodziło do tego stopnia, że gdy przyszło do konieczności wystylizowania listu do ks. Sapieżyny z prośbą o rękę córki, oświadczyła wręcz, iż tego nie uczyni, chyba, że brulion do tego listu sama Zosia napisze. Ze zbytniej czułości popełniała okrucieństwo, bo łatwo pojąć, co ten

---

[1]) List w oryginale brzmi jak następuje:

Vilna 25 Juillet 1817.

»Quoique vous connaissiez déjà mes sentiments pour vous, je ne saurais résister au désir de vous en reparler encore. Votre manière de penser si noble et délicate, la persévérance avec laquelle vous n'avez cessé d'adoucir le chagrin de ma mère et de lui faire agréer les obstacles et les décisions du sort, toutes les nuances de votre conduite ont ajouté aux sentiments que je vous portais déjà de la reconnaissance et une profonde estime. J'ai tenu à vous en faire hommage et à vous exprimer mille voeux pour votre bonheur. Permettez que je voye en vous pour la vie une amie et une soeur. Accordez moi le titre d'ami et de frère; je saurais le mériter et jamais je ne serai aussi heureux, que lorsque je pourrai vous prouver mon inviolable attachement«.

Jako podpis mongram: A. C.

wysiłek kosztował biedną dziewczynę. Wszakże przemogła się, ułożyła list bardzo uprzejmy, a zarazem bardzo oficyalny, który, przebywszy cenzurę całej rodziny, a zwłaszcza pani Zamoyskiej, został przepisany przez Księżnę i wysłany gdzie należało. Brulion tej bolesnej korespondencyi zachował się w albumie Zosi [1]). Równocześnie znajdujemy tam następujący dopisek:

„*Puławy, 17 sierpnia 1817 r.* Co za dziwny zbieg okoliczności! To mnie przypadło napisać brulion listu, w którym Księżna prosi o rękę Anny dla swego syna Adama; pod tym warunkiem jedynie zgodziła się na napisanie go. *Ja* — dla tego ks. Adama, który tak niedawno oświadczył mi swą miłość namiętną, który robił co mógł, by zdobyć moje serce, a potem wzgardził mną, obraził i upokorzył na każdy możliwy sposób. List ten był czytany przez niego i posłany przez tę panią Zamoyską, która to mi rozgrzewała serce obja-

---

[1]) »Permettez moi, chère Princesse, de joindre mes instances à la demande que doit vous faire mon fils de la main de la Psse. Anna — ne refusez pas, que ce nouveau lien nous rapproche d'une si aimable parente, de la nièce d'un gendre que j'affectionne avec la tendresse la plus vraie — et veuillez remettre avec confiance le soin de son bonheur à ceux, qui joindront aux sentiments, que doivent inspirer à chacun ses agréments et ses qualités, une tendre reconnaissance et l'estime distinguée que nous vous avons vouée depuis longtemps et avec laquelle j'ai honneur d'être«.

Na odwrotnej stronie to samo w innej formie:

»Permettez moi, chère Princesse, de joindre mes instances à la demande que mon fils vous fait de lui accorder la main de la Psse. votre fille. Veuillez consentir, à ce que ce nouveau lien rapproche encore nos familles et à nous remettre avec confiance le soin du bonheur de la Psse. Anna; ses qualités et ses agréments suffiront seuls pour la faire rechercher, mais d'ailleurs le lien d'un gendre que nous aimons de l'affection la plus tendre, a déja le droit à toute la nôtre. Recevez, chère Princesse, l'expression de l'estime distinguée« i t. d.

Widocznie redakcya listu szła trudno i z wielkim nakładem sił dokonaną została.

wami przyjaźni, to znów mroziła mnie swem chłodnem przed ludźmi obejściem. Ale nie skarżę się, bynajmniej nie skarżę! To, co doznaję, pracując z całych sił nad szczęściem człowieka, który tyle zadał mi bólu, jest samo przez się nagrodą i zadosyćuczynieniem".

„*Dnia 18 sierpnia.* W małżeństwie tem jest coś ponurego. Księżna śmiertelnie smutna; Książę (Jenerał) przybity, wszyscy domownicy niezadowoleni, obcy znajdują je śmiesznem, Anna podobno kocha innego. Sam ks. Adam jest smutny, niewymownie smutny i ze dwadzieścia razy zmieniał zdanie, zanim się zdecydował. Jutro wyjeżdża — bodaj był szczęśliwy, bodaj mu żadna boleść mego obrazu nie przywiodła na pamięć — bodaj nie pożałował! Żal mi tych, którzy mimowoli drugim sprawiają cierpienie, ale nie mam żadnego pożałowania dla tych, którzy czynią to dobrowolnie. Jakże można kogoś zranić z całą świadomością, że mu się ból zadaje, wtedy, gdy starczyłoby paru słów, aby mu go oszczędzić!"

Zosia nie wiedziała zapewne, że ks. Adam, opuszczając Puławy, miał niebawem stanąć do walki ze swym zawiedzionym rywalem. Jenerał Pac, nie tyle rozżalony, co gniewny, wyzwał go na pojedynek, a według ówczesnych pojęć, niepodobna było odmówić. „Poddać się woli Boga — pisał wtedy ks. Adam do ojca — nic nie daje większej pewności i spokoju". Pojedynek odbył się w Zegrzu. Czartoryski, któremu sekundował jenerał Mokronowski, wyszedł zeń lekko ranny, co mu nie przeszkodziło udać się wkrótce do narzeczonej. Jenerał Pac zaś jeszcze niezadowolony, jął myśleć o dalszej zemście, przyczem nie zaniedbał i innych sposobów pociechy. Zanim bowiem przyszło do drugiego pojedynku z ks. Adamem, już był poślubił pannę Karolinę Małachowską z Końskich. Wiekiem był niemal równy z Czartoryskim, ale chyba nie posiadał jego uroku, mogącego zadosyćuczynić brakowi młodości. Czy księżniczka Anna istotnie kogo innego kochała i była tylko woli matki posłuszną? W liście do ojca, dnia 30 sierpnia pisanym z Radzynia, ks.

Adam mówi o niej dość niewyraźnie, bo oświadczywszy uczucia księżny Sapieżyny dla księcia Jenerała, dodaje: „Chciałbym coś i o księżniczce Annie powiedzieć, ale ten przedmiot tak mocno mnie obchodzi, iż lękam się rozpocząć go na piśmie i wolę go odłożyć do ustnego opisu i rozmowy“. Podobna wstrzemięźliwość może być różnie tłómaczoną i pytanie, jak ją rozumiano w rodzinie.

Tymczasem w Puławach usiłowano nieco się rozerwać: „*Puławy, 20 sierpnia 1817 r.* Zapisawszy po kilkakroć przykre wrażenia, zda mi się obowiązkiem zaznaczyć chwile swobody i ukojenia. Przebyliśmy wczoraj dzień dość powszedni w szczegółach, ale którego całość była pogodna i wesoła. Byliśmy w Kazimierzu, wyszliśmy na górę i zwiedzili ruiny, co mi przypomniało nasze wycieczki w Niemczech, odnawiając wrażenie pięknego dnia wobec pięknej natury. Wróciłam konno wraz z dziećmi, Detraux i Krupińskim; Księżna z Lilą i resztą towarzystwa w powozach. Byliśmy wszyscy weseli i w dobrych humorach“.

„*Dnia 6 września.* Boże co to za życie! *quel intérieur!* Wiele scen! Każdy się układa dla drugich, nikt nie śmie mówić tego, co myśli, ludzie unikają się wzajemnie, a spotykają się jedynie z wyrzutami lub skargą na ustach. O mój Boże, zlituj się nad nami, przywróć zgodę, spokój i wesołość w tej rodzinie, przedstawiającej w tej chwili obraz zmartwienia, nieufności i kłótni. A ja — młoda, ładna, bogata — czemuż więc szczęście odemnie odbiega? Czemuż mi się ukazuje na to tylko, abym więcej cierpiała, widząc, że nie dosięgnę go nigdy? Czuję w sobie jeszcze tyle młodości i życia, a tyle smutku!“...

„*Dnia 9 września.* Druga wycieczka do Kazimierza równie przyjemna, jak poprzednia. Umieszczam tu kwiaty zerwane w zamku pod wieżą“.

Tu znów parę wierszy przekreślonych, a za niemi z dniem 10-go września nowe wyrazy cierpienia, po których bez daty zapisane jakby od niechcenia:

„Młody Amerykanin, który tu spędził kilka dni, napisał do Księżny, prosząc o moją rękę. Tak mi się to wydaje

dziwnem i tyle wzbudziło myśli nad dziwnemi zrządzeniami losu, że niepodobna mi faktu tego nie zaznaczyć".

Nie raczy nawet powiedzieć, że Amerykaninowi posłała odpowiedź odmowną — zaiste biedak wybrał się nie w porę! Myśli pięknej panny były czem innem zajęte, jak świadczy długi a smutny zapisek, którego tu podawać nie warto, bo choć dla cierpiącego każdodniowy ból wydaje się nowym, to wyrazy tego bólu nużą swą jednostajnością słuch ludzi dalej stojących. Dzień ślubu ks. Adama naznaczonym był na 25 września; nie myślano jednak dla niewiadomych dziś powodów urządzić „wesela". Na dobitek Książę Jenerał zachorował i musiał pozostać w Puławach; Księżna pojechała już na ostatnią chwilę, zabierając Zosię, prócz niej była księżna Wirtemberska, ks. Konstanty i państwo Zamoyscy, krewni obu stron i rzeczywiści twórcy tego małżeństwa. Szczęściem dla nas Zosia wzięła do Radzynia swój album:

„*Dnia 25 września 1817 r.* Przyjechaliśmy do Radzynia na ślub ks. Adama. Trudno mi wyrazić wrażenia, odczute podczas dwóch dni naszego pobytu. Oddawna już przestałam dla siebie pragnąć, a nawet obawiałam się tego związku; dziwnie wstrząsającem jednak było patrzeć na urzeczywistniające się na innej osobie to, o czem niegdyś, jako o rękojmi swego szczęścia, marzyłam. Ceremonia ślubu sprawia sama przez się wzruszenie, a tu Anna była tak piękną, wyglądała tak młodziutko, jej matka tak rozrzewnioną, Księżna tak zbolałą, a wszystko razem było tak niewymownie smutne, że cała sala tonęła we łzach. I ja też z sercem tylu uczuć pełnem pomyślałam, że dla mnie samej nadeszła chwila uczynienia wyboru. Anna wychodzi za mąż pod złemi wróżbami — mnie też nie wiele zapowiada się szczęścia. Przykro mi było, a nie śmiałam się zbliżyć do tego rodzinnego kółka, z którem sądziłam wpierw, że podobny dzisiejszemu związek zjednoczy mnie jeszcze silniej. Po skończeniu obrzędu stałam sama na uboczu i zdało mi się, że mi serce pęknie. Anna spostrzegła mnie i równie wzruszona, jak ja, przyszła mnie uściskać. Nie mówiłyśmy do siebie, ale czuję, żeśmy się zrozumiały, że ona odgadywała moją

boleść, a zarazem i wszystko dobre, com o niej Księżnie mówiła w tym właśnie czasie, gdym mniemała, że mi bezwiednie szczęście całego życia zabiera. Pewna jestem też, że zrozumiała, jak żywo odczuwam wszystkie przykre strony jej położenia: jej obawy przy zmianie stanu i przy wejściu do rodziny, gdzie ją sobie tak mało życzono. Nie zapomnę nigdy tej chwili, w której nie wyrzekłszy słowa, zawarłyśmy przyjaźń serdeczną. Nie, zaprawdę, nie zapomnę jej: Anna ma dla mnie tyle uroku! Zresztą zda mi się, iż przyczyniając się do jej szczęścia, będę w sercu własnem zacierać ślady dawnych boleści".

Natychmiast po ślubie Księżna pospieszyła napowrót do Puław, aby tam przyjmować państwa młodych, którzy poprzedzeni pięknym listem do ojca, przybyli istotnie dnia 1-go października. Zosia zaznacza ten fakt kilku wymownemi dla niej słowami: „Książę Adam przywiózł tu swoją żonę!"... Żona ta atoli przyjeżdżała bardzo onieśmielona i cicha w ten obcy dla niej dom, pełen na cześć jej sproszonych gości — tak cicha, że mąż czuł się potem w obowiązku wytlómaczenia jej przed ojcem: „Anna niema jeszcze *le chut-chut et l'àpropos* światowe. W salonie matki zbyt zamkniętym nabyć go nie mogła. Ale ty, ojcze, byłeś tak dobrym, żeś jej nie sądził *d'après son enveloppe souvent trop silencieuse*" — poczem jednak dodaje, że codzień odkrywa w niej nowe zalety, a w listach przez nią pisanych zadziwiony jest trafnością zdania. Widać stąd, że swą siedmnastoletnią żonę uważał całkiem za dziecko i to dziecko bardzo delikatnego zdrowia, często cierpiące. Nie wiedział jeszcze, że w tem dziecku kryją się obok słodyczy skarby odwagi i wytrwałego poświęcenia, które, zwalczywszy wszelkie przeszkody, serce jego i wierność zdobędą na zawsze.

Tymczasem Zofia podczas przyjęcia młodej pary ujrzała się w nowym kłopocie. Runął na nią cały rój konkurentów, snać dotąd wstrzymywany zamiarami ks. Izabelli:

„*Puławy, 10 października 1817 r.* Cięży mi własna moja wolność i brak decyzyi. Mam wolny wybór między kilku przedstawiającemi się dla mnie partyami. Wiem, że

już na zmianę losu zdecydować się trzeba, ale zamiast by mnie serce ku komuś ciągnęło, mam w niem same smutne przeczucia. O żeby to chciano za mnie postanowić i nieodwołalnym rozkazem położyć koniec wahaniu, którego źródłem jest obojętność, zastępująca w mojem sercu poryw uczucia, a z niem przyszłe szczęście — nie dla mnie stworzone".

Wahaniu położyła koniec hurtowna odmowa, dla ułatwienia której wyprawiono Zosię do Jasiniec, w odwiedziny do ojca. Tam zazwyczaj nie bawiła długo — Matuszewicz żył sam, odwykły od kobiecej atmosfery w swym domu, a za powrotem do Puław czekała niechybna zawsze miłość Księżny i jej macierzyńska troskliwość:

„Kiedy cię Zosiu droga nie widzę, to o tobie myślę. Shakespeare'a i stoliczek wygodny ci daję" — czytamy na karteczce, opatrzonej przez Zosię datą dnia jej powrotu, t. j. 18 października.

Tegoż samego dnia pisze jeszcze:

„Książę (Jenerał) wyjechał do Sieniawy, z czego się cieszę, bo się lękałam, że tu zostaniemy na zimę. Książę zmienił się wobec mnie, co mnie bardzo boli. (przyp.: Ostatnie zdanie przekreślone). Puławy znów puste; jestem smutna do głębi duszy. Dziś rocznica dnia, w którym zaczęło się snuć długie pasmo poniżeń i zmartwień, co jak wieniec cierniowy oplotło mi serce. Ciężkie ono bardzo, ale przyjaźń i zadowolenie sumienia pomagają je znosić. Ks. Adam jest w tej chwili w Warszawie, wyzwany po raz drugi przez jenerała Paca".

Pozorem do tego drugiego pojedynku było rzekome przyrzeczenie Czartoryskiego po pierwszem spotkaniu, że odstąpi od projektów małżeńskich, czemu ks. Adam stanowczo zaprzeczył. Stąd list obraźliwy Paca z nowem wyzwaniem, a w Warszawie wielki hałas i wzburzenie, którego odgłosy doszły na Zamek do W. Ks. Konstantego. Obawiając się tegoż interwencyi, Pac zażądał, aby rzecz odbyła się po za granicą, na Szląsku. W. Książę jednak chcąc koniecznie walce przeszkodzić, dał znać do władz pruskich, które w Lignicy przyaresztowały jenerała Paca za jego przyjazdem.

Była to niedźwiedzia przysługa: ks. Adam ujrzał się w fatalnem położeniu dla swego honoru — użył zatem wszelkich sił, aby otrzymać uwolnienie przeciwnika i pojedynek doprowadzić do skutku.

Jedno i drugie udało się, tak, iż Zosia mogła już pisać niebawem:

„*Puławy, 1 listopada 1817 r.* Ks. Adam powrócił wczoraj. Dotąd drżeliśmy o jego życie. Nigdy jego widok nie sprawił mi takiej radości".

„*Dnia 7 listopada.* Powróciliśmy do Sieniawy".

„*Sieniawa, 13 listopada 1817 r.* Znowu mi niewymownie smutno... Z Puław piszą, że T. jest chora — czyliżby istotnie ze zmartwienia i to z mojej winy zasłabła? Czy gdy ją serce boli, mnie o to oskarża? To jest, co mi powiedziano tu zaraz po moim przyjeździe i było mi bardzo przykro. Mam jeszcze przed sobą ciężkie zadanie: ja, którą jedynie uczucie, że jestem kochaną, potrzebną czyjemuś szczęściu i wybraną li tylko z miłości, mogłoby na nowo zbudzić i przywiązać do życia — jestem zmuszoną odepchnąć serce, które mi się oddaje, muszę zasmu ić i zranić uczciwego człowieka. Przyjechał wczoraj wieczór i wraz z bólem serca rozpoczęłam mą pracę".

„*Dnia 19 listopada.* Wielkie zebranie, dużo muzyki; śliczny, wesoły bal, który zawsze z wruszeniem wspominać będę. Szczęście być kochaną choć przez obojętnego mi człowieka, wydaje mi się czemś niewymownie słodkiem; pomimowoli dowody tej miłości rozrzewniają mnie".

„*Dnia 29 listopada.* Zazdrość mnie bierze, gdy wśród zebrania spostrzegam osobę smutną i ob awiającą na twarzy ten smutek. Ja tak długo cierpiałam i cierpię, a muszę wciąż udawać wesołość i spokój. Może byłoby mi lżej, gdybym raz mogła odrzucić tę powłokę. Tylko pytanie, czy pozbywszy się wesołości, zdołałabym jej sztukę kiedykolwiek odnaleść?"

„*Sieniawa, 10 grudnia 1818 r.* Wieleż to przykrości i zmartwień, które przez życie przechodzą, a o których się zapomina! Każda z nich wszakże zostawia drobną bliznę, coś jakoby załamek na ogólnem usposobieniu: coraz to nowy

listek urwany z życiowego wieńca, nowe złudzenie zwiane z marzeń młodości".

„*Dnia 26 grudnia.* Czemuż nie mogę kochać tak, jak jestem kochaną? Ta miłość tak mnie rozrzewnia, iż chwilami biorę wdzięczność za żywsze uczucie i serce mi drga nadzieją, że dosięgnę najwyższego szczęścia, to jest, że będę kochana kochając. Ale złudzenie szybko opada: nie kocham i daleko mi nawet do tego. Boże mój, dzięki Ci, że nie spotkałam na mojej drodze człowieka, któregobym pokochała ze wszystkich sił, zupełnie jeszcze świeżych w mem sercu, boć Tobie jedynie taka się miłość należy. Przyciągnij mnie jeszcze silniej do Siebie, oderwij od ludzi i od samej siebie, weź całe to biedne serce, które pragnie bez nadziei i cierpi bez dostatecznej siły, by ukochać swoje cierpienie!"

„Sieniawa tej zimy przedstawia w całej pełni to, co się nazywa *une vie de chateau.* Gości jest wiele, zwłaszcza mężczyzn i młodzieży. Każdy tu ma swe towarzyskie cele *(ses intérets de société),* bez wyrastających stąd plotek, jest sporo wesołości bez złego tonu, jest prostota wraz z elegancyą, a ponad wszystkiem ogólna atmosfera swobody i *Freundlichkeit.* Bywają tańce, gry, raz w tydzień teatr amatorski, w inne dni albo się gra albo też jest w salonie stół, przy którym nas dwie lub trzy robi robotę. Jest koterya młodych mężatek, bilard, spacery, muzyka. Czemuż to prawdopodobnie ostatnia zima, jaką tu spędzamy!"

Z końcem r. 1817 Zosia nie rekapituluje, jak zwykle, wszystkich wrażeń ubiegłego roku; wspomina tylko trzy miłe spędzone miesiące Reszta była jednym ciągiem upokorzeń i bólu, pomimo usiłowań Księżnej, aby ją oszczędzać i z przygnębienia ratować. Przy końcu dodaje:

„Nigdy nie widziałam tak wesoło zamykajacego się roku. Wszyscy byli w wybornem usposobieniu i zdali się na rok następny same rościć nadzieje. Tańczyliśmy. O północy z rozkazu Księżny wniesiono śliczne, kilkomiesięczne dziecko, trzymające w rączkach różę i wiersze z życzeniami dla całego towarzystwa. Mnie było do wesołości daleko, a jednak czułam się zadowoloną, porównując ten Nowy Rok z prze-

szłym, gdzie byłam bliską rozpaczy w przewidywaniu zmartwień, które się później ziściły. Teraz jestem spokojną, bo sobie powiedziałam, że rodzaju szczęścia, jakiegobym pragnęła, nie zaznam nigdy na ziemi. Wprawdzie mi go trochę żal, ale przestałam go żądać; postanowienie zaś mojej przyszłości oddałam w ręce Boga, którego woli objawem będzie dla mnie wola mego ojca i z tem przekonaniem postanowiłam poddać się jego decyzyi. Oczekuję jej bez obawy — niestety nie mam szczęścia kochać!"

Z rokiem 1817 kończy się pierwszy tom albumu Zosi; po tym następuje drugi, bardzo podobny, też ciemno-zielony, tylko z żywszą daleko pozłotą. Atrament też jest mniej wyblakły. Z przepisywanych ustępów literatury znać wielkie zajęcie utworami Lamartine'a, które istotnie wydają się jakby dla Zosi stworzone. Jest też sporo poezyi angielskiej. Z wypisywanych zdań i myśli czuć coraz większe dojrzewanie umysłu: psychologia bierze zwolna górę nad uczuciowością a rozum nad wyobraźnią. Z albumu tego zapisanem jest dwie trzecie — zaczynając go, Zosia mniemała, że ma jeszcze długą przyszłość przed sobą!

W Sieniawie wciąż rojno było i gwarno — ma się mimowoli wrażenie, iż życie w tych czasach, pomimo licznych przebytych klęsk, swobodniej niż za naszych czasów płynęło, że ci ludzie mniej byli od nas żelaznemi szponami spraw materyalnych ściśnięci, albo że może... odkładali myśl o tychże aż do ostatniej chwili, do obawianego terminu wszech wypłat: wigilii św. Jana. Pewna dama z tych czasów mówiła: „Wy teraz pchacie życie, my zaś dawaliśmy się przez nie unosić". Bez wątpienia system ten dawał więcej wolnego czasu, z którego korzystano sumiennie. Zofia Matuszewiczówna pisze w początkach r. 1818, ale bez daty:

„W przeciągu tych pięciu miesięcy graliśmy tu *quodlibet* złożony z różnych scen po francusku, *Der Mann nach der Uhr* i *Les roses de Mr. Malesherbes (sic)* po niemiecku, po polsku sztuki: *Plotka* 2 razy, *Kochanowski* i dalszy ciąg *Plotki* przez p. Kłodzińskiego. Prócz tego były żywe obrazy i festyn z przedstawieniem: *Rozkład godzin Księżny*".

„Dnia 11 stycznia był wielki bal Jenerała w Jarosławiu, 25-go znów bal, na którym byłam królową, a całe towarzystwo w strojach różnych urzędów dworskich. W Tłusty Wtorek wielki, śliczny bal kostyumowy. To wszystko było bardzo wesołe, bardzo zabawne i zostawiło mi przyjemne wspomnienie, choć w ogóle wolę spokój“ [1]).

Wśród tych zabaw atoli trafiały się i niemiłe chwile — i nie dziw. Nie jest możliwem, aby liczne grono ludzi mogło długo bezczynnie i bezkarnie pospołu przebywać. Ktoś słusznie powiedział, że „dyabeł na swą korzyść użytkuje siły próżnującego człowieka“. Nie mogło być inaczej nawet w Sieniawie i chwilowo odbijało się na usposobieniu Zosi.

„Dnia 28 stycznia 1818 r. Od pewnego czasu prowadzimy życie dziwnie rozrzucone i puste. Ta zima, która się przyjemniej od innych zaczęła, obecnie psuje się zupełnie. Nie lubię tego rodzaju zabaw tak często powtarzanych, czczych, światowych, niezostawiających wolnej chwili na żadne zajęcie, ani chwili samotności z własnemi myślami, niedozwalających nacieszyć się kółkiem dobranych przyjaciół. Tyle tu powstaje plotek. Wszystkie rozmowy obracają się około wydarzenia tak zgubnego dla K. (?), a przez to samo tak bolesnego dla mnie, że już wolę, aby plotkarki zamiast tego obrabiały znienawidzony mi przedmiot strojów. Mam wciąż ochotę cytować ten ustęp z Księcia de Ligne: „Nic nowego się nie mówi, nic nowego nie myśli, te same rozmowy zawsze wracają, wie się naprzód co się odpowie — aż mnie gniew bierze na samego siebie, gdy widzę, w jak ciasnem kółku myśli się obracam. Gotówbym nabrać antypatyi do własnej osoby, albo też powiedzieć sobie, że już nigdy ani jednego nie wymówię słowa“.

„Sieniawa, 2 lutego 1818 r. Na wczorajszym balu odjęłam panu S. ostatnią iskierkę nadziei. Nie mogę się zdecydować na oddanie mu życia, nie znajdując dlań w sercu absolutnie nic krom uznania. Ale to serce zabolało, gdy mó-

---

[1]) Zapiski umieszczone tu są bez zwykłego ładu, co utrudnia chronologiczne podanie rzeczy.

wił, że niszczę dla niego wszelką możliwość szczęścia, gdy powtarzał rzeczy, które się mieniło tylekroć oklepanym frazesem, a których przecież słucha się jako prawdy, patrząc na twarz pełną rozpaczy, na oczy pełne łez, wiedząc, że się jest celem wszystkich myśli mówiącego je człowieka i że los jego zawisł od naszego skinienia. „Bodajbyś pani jeszcze kogo znalazła, któryby cię tak jak ja ukochał i bodajbyś bardzo była szczęśliwą — ale jeśli nią nie będziesz, na cóż ci moje nieszczęście się przyda?“ Słowa te uderzyły mnie bardzo. Ja i bez tego tak mało wierzę w szczęście! Kto wie? może byłabym je znalazła w pożyciu spokojnem... gdyby on sam mi był mniej nieprzyjemny. Tak to uczucia w życiu się krzyżują“.

„Sieniawa, 4 lutego 1818 r. Środa Popielcowa. P. Poznański oświadczył się dziś Księżnie o rękę Heleny: pierwsza to z nas sześciu, razem wychowanych, złączonych wspomnieniami, zwyczajami i przywiązaniem, której los i życie się zmienia. Bodaj była równie szczęśliwa, jak dotąd byłyśmy wszystkie, bodaj miała chwile równie wesołe jak te, które z nami spędzała, bodaj znalazła równie serdecznych jak my przyjaciół!“

(Przyp. W albumie przekreślone). *„Sieniawa, 7 lutego.* Odkąd wróciliśmy tutaj, zbieram pieniądze na naprawę kościoła, w którym się tylekroć i w tak różnych usposobieniach modliłam“... (reszta nieczytelna).

Że „zbieranie“ to było skutecznem, świadczy kartka z wykaligrafowanym napisem: „Pannie Zofii M. na kościół“ — zda się znów poczciwa attencya Księcia Jenerała. Tej pracy Zosi około kościoła towarzyszyła wszakże dziwnie uporczywa myśl o śmierci, a zarazem wątpliwość, czy odmową wyjścia za p. S. nie chybiła przeznaczonego jej szczęścia? Wątpliwość tę potęgowało jawne życzenie ojca jej i Księżny wydania jej za mąż; powtarzano jej, że już na nią czas i w tymże celu Księżna postanowiła wyjazd do Warszawy. Podróż ta wszakże jeszcze się odwlokła, a tymczasem nowa troska napełniła serca całej rodziny. „Jestem niespokojna o księcia Adama — pisze Zosia 18 lutego 1818 r. — Już po raz trzeci

wyzwany jest przez p. Paca. Miało się to właśnie teraz odbywać, a może do tej chwili już się wszystko skończyło; w jaki sposób — Bóg jeden wie".

Pojedynek rzeczywiście odbył się pod Warszawą, przyczem ks. Adam odniósł lekką ranę w udo. Musiała być istotnie lekką, skoro Zosia dodaje:

„Dowiedzieliśmy się później o szczęśliwym wyniku tego nieszczęsnego spotkania".

„*Sieniawa, 4 marca 1818 r.* Detraux wyjechał dziś rano do Wiednia, co dla mnie było prawdziwem zmartwieniem. Zostawia próżnię w naszem kółku, gdzie nam z nim było tak miło. Charakter jego jest godzien uwagi: posiada szczerość, prawość, zapał i wesołość, stanowiące urok młodości. Jestem mu wdzięczną za czułą miłość, jaką ukochał moją drogą i poczciwą Lilę i za wzbudzone w niej uczucie spokojniejsze, ale tak słodkie, jak ona sama. Wiąże mnie z nim sympatya i przyzwyczajenie, to też uważam go niemal za brata".

„*Dnia 10 marca.* Od trzech tygodni siedzimy same spokojnie w Sieniawie".

Dzień 14 marca znaczą tylko pierwsze świeże kwiatki, które Zosia zasuszyła w albumie z uczuciem tem rzewniejszem, iż równocześnie trzeba było sposobić się do wyjazdu, z powrotem do zimy, do Puław.

„*Puławy, 18 marca 1818 r.* Wszystko tu przykryte śniegiem. Przedwczoraj zostawiliśmy wiosnę w Sieniawie — tak bywa co roku. Zostawiam tam wszystko, co mi jest miłe, zostawiam co roku więcej wspomnień i odjeżdżam z coraz większym żalem. Ostatnie pięć miesięcy minęły jak błyskawica".

„*Puławy, 4 kwietnia.* Jesteśmy tu zupełnie same. Czas mi się nie dłuży, bo lubię spokój, ale mi smutno: żal za tem, co było, to jest za Sieniawą, a strach przed tem, co będzie, t. j. przed Warszawą, dokąd za trzy dni jedziemy. Co za przykry kontrast między miejscem, gdzie byłam otoczoną troskliwością i przywiązaniem, a tem, gdzie przewiduję złośliwość ludzką i tylekroć doznane upokorzenia".

„*Warszawa, 11 kwietnia 1818 r.* Byłam wczoraj na ogromnym balu; nie mogę powiedzieć, jak mi przykre zostawił wrażenie ten tłok, ta pretensyonalność, ta sztuczna wesołość... Dziś poszliśmy kupować kwiaty w ogrodzie Szarytek – o ileż łos ich jest szczęśliwszym nawet na tym świecie! Żałuję czasu, gdy wierzyłam w możliwość zostania jedną z nich — aż mi się łzy cisnęły do oczu".

(Bez daty). „Wśród zgiełku ludzi ogarnia mnie uczucie samotności, rozmowa tryskająca dowcipem mnie oniemia, pewność siebie drugich mnie onieśmiela, ich śmiałość odejmuje mi swobodę; ton protekcyjny niektórych upokarza mnie, zbyt wykwintne suknie dają mi odrazę do strojów — wszystko to co dnia jaśniej mi dowodzi, że w życiu światowem nigdy szczęścia nie znajdę. Anna[1]) jest dla mnie niewymownie dobrą; ja zaś żywię dla niej smutne a słodkie uczucie, wynikłe ze zmartwień, których była nieświadomie przyczyną i z usług, jakie jej równie bez jej wiedzy oddałam. Czuję, że jej będę przyjazną do śmierci — któżby mi to był powiedział, gdym ostatni raz była w Warszawie?"

„*Warszawa, 18 kwietnia 1818 r.* Wczoraj byłam na balu prowadzona przez Annę. Drobne to zdarzenie spowodowane było zbiegiem różnych okoliczności; trzeba mi było zwalczyć i stłumić wiele przykrych uczuć i dlatego tę datę zaznaczam".

„*Dnia 22 kwietnia.* Widząc zbytek i próżność i lekkomyślność, jakie tu panują, zaczynam wątpić o możliwości zbawienia w życiu światowem. Czemuż nie mam możności, a zwłaszcza odwagi rozstania się z tem wszystkiem? Tak bezsilna, tak otoczona pokusami, czy zdołam oprzeć się prądowi, który mnie w ślad innych unosi? Wprawdzie powaby świata nie starczą mi dla serca, ale tu właśnie wchodzi w grę owa gubiąca nas wieczna sprzeczność między charakterem a upodobaniami. Boże zlituj się nademną, nad moją duszą cierpiącą i pełną wahania! Idę przez życie z bolesną trwogą,

---

[1]) Młoda ks. Adamowa Czartoryska.

nie wiedząc, w jaką stronę się zwrócić, nie wiedząc nawet, czego pragnąć".

Z wiosną, która dopiero w końcu kwietnia zaczęła się w Warszawie, Księżna powróciła do Puław dla przyjęcia przejeżdżającego cesarza Aleksandra I. Snać tylko jedną noc mógł się zatrzymać. Zosia pisze:

„Puławy, 1 maja 1818 r. Po raz trzeci cesarz Aleksander przybył tu wczoraj wieczorem. Dziś jedliśmy z nim śniadanie w Parchatce. Była tylko Księżna, ja, Anna, ks. Adam i p. Zamoyski".

Radzibyśmy mieli parę szczegółów więcej, zamiast długich wypisów z dzieł Chateaubriand'a, ale Zosia snać była nie w humorze, skoro tak dla niej przyjemny fakt, jak wyjazd do Sieniawy, zaznaczyła dopiero *post festum:*

„Sieniawa, 20 maja 1818 r. Jesteśmy tu z powrotem od dwóch tygodni. Dobrze mi tutaj i miło. Cieszę się zwłaszcza moim pokojem, który, nie mając nic nowego, opiszę w całości. Jest maleńki (!?), ale zawiera wszystko, czego mi potrzeba. Stoi w nim wielki klawikord, wygodna kanapka przy piecu, na komodzie moje ulubione książki ustawione obok szpicrutek do konnej jazdy, stolik do rysunku, inny stolik do roboty, trzeci stolik, na którym piszę przy jednem z okien; umieściłam na nim moje najulubieńsze graciki, moje dwa albumy, moje słowniczki, krucyfiks od Księżny, zegarek stojący od papy i dużo przepysznych kwiatów. Drugie okno a raczej drzwi szklanne otwierają się na ogród; gdy jest pogoda i chcę spokojnie parę miłych godzin przepędzić, urządzam sobie w tych drzwiach siedzenie z książkami lub robotą. W takich chwilach usiłuję oddalać smutne myśli, otrząsnąć się ze zniechęcenia, a zwłaszcza zapomnieć, że wszystko, czem się cieszę, wisi jakoby na włosku, że co dnia grozi nam niebezpieczeństwo utracenia Księcia (Jenerała), że zgon jego będzie śmiercią dla każdego z nas, że w przyszłości mojej nic się nie uśmiecha, że... ale spis byłby za długi".

„Warszawa, 3 czerwca. Wyjechaliśmy z Sieniawy dnia 28 maja, aby się tu spotkać z ks. Wirtemberską, która wczoraj przybyła. Nie mam nic więcej do zaznaczenia z War-

szawy — co prawda, stałam się dziwnie nieczułą na różne wrażenia“.

„*Warszawa, 14 czerwca 1818 r.* I ja też pragnę uzupełnienia mego życia! Pragnę własnego kąta, pragnę szczęścia i obowiązków żony i matki. Gdy spotykam młodą kobietę wspartą na ramieniu męża i prowadzącą dziecko za rękę, serce mi drga i oczy napełniają się łzami. Tak już tego byłam blisko! Ale snać jestem skazaną na to, by nigdy nie mieć czego pragnę i żałować dobra, któremu dałam wyśliznąć się z ręki“.

„*Dnia 27 czerwca.* Byłyśmy wczoraj w klasztorze Dzieciątka Jezus — byłabym wszystko dala, aby módz tam pozostać“.

Zapiska z 30 czerwca zawiera żale nad pustką życia i modlitwy o pomoc. Znać, że chorobliwa ówczesna wyobraźnia znów po zniknięciu istotnych zmartwień zaczynała brać górę w umyśle dziewczęcia, zasłaniając jej jasne strony życia, które wtedy dopiero nauczyła się cenić, gdy jej zabrakło cieplej atmosfery moralnej, do jakiej od dzieciństwa przywykła. Tę zaś miala już wkrótce utracić. Czy Księżna wraz z jej ojcem doszli do przekonania, że z Sieniawy lub z Puław nie zdecyduje się nigdy wyjść za mąż, bo jej tam zbyt dobrze? Być może — dawniej tak bardzo na to zwracano uwagę, iż w niektórych domach nie dawano pannom własnej komody, w przeświadczeniu, że „gdy która ma komodę, to jej z nią tak wygodnie, że za mąż wyjść nie chce“. Przed stu laty u nas panny wychodziły za mąż gwoli komody, przed dziesięciu laty we Francyi wychodziły gwoli noszenia dyamentów i aksamitu — pytanie, kiedy wychodziły po prostu gwoli... męża?

Jakoś wierzyć się nie chce, aby stary minister Matuszewicz zatęsknił był nagle do córki, w której życiu niezbyt czynną dotąd grał rolę; pomimo to przedstawiono Zosi rzecz w świetle obowiązku sumienia i — dano wolny wybór działania. Biedactwo oczywiście wybrało to, co mu było przykrem, a wydawało się cnotliwem, to też następna zapiska datowana jest już z domu ojca:

„Jasieniec, 18 lipca 1818 r. Wyruszywszy z Warszawy 2 lipca, spędziłyśmy dwa tygodnie w Puławach, skąd Księżna pojechała wczoraj z Anielką do Sieniawy, a ja przybyłam tu, aby kilka miesięcy z ojcem przepędzić. Chwila wyjazdu była mi bardzo bolesną. Po raz pierwszy w życiu opuściłam ten dom, gdzie mnie otaczano czułością, staraniem i przyjemnościami wszelkiego rodzaju. Serce mi się krajało przy pożegnaniu nietylko z Księżną i Anielką, ale i z każdym służącym. Księżna odprowadziła mnie jeszcze na drugi brzeg rzeki—ona i Anielka tak rzewnie płakały! — Jestem tu od kilku godzin i myślę z trwogą o przeciągu czasu, jaki mam przed sobą. Nigdy jeszcze nie byłam z papą w tak zupełnej samotności; byłabym ją zniosła łatwiej w czasach, gdy każde zajęcie nęciło mnie i zapełniało mi myśli, ale teraz nie mogłabym (dwa wiersze przekreślone). I komuż obecnie się zwierzę z tem, co mi na sercu cięży? Jednem, co mnie podtrzymuje, to myśl, że spełniam święty a drogi obowiązek i że czas ten przeminie — jak wszystko przemija".

„Jasieniec, 20 lipca 1818 r. Dziś odebrałam od Księżny list tak czuły, a tak bardzo smutny! Nie zdołam wyrazić wszystkiego, co czułam: z jednej strony wyrazy jej niewymownej dla mnie dobroci napełniały mnie radością, a z drugiej widok tego pierwszego listu, jaki w życiu od niej dostałam, przejmował mnie żalem tak, iż czytając zalewałam się łzami i teraz, gdy nań spojrzę, nie mogę wstrzymać się od płaczu. Ten list przekonał mnie, że nikt nie jest i nie będzie nigdy dla mnie tem, czem jest ona, że Puławy i Sieniawa są prawdziwą ojczyzną mego serca. Tutaj czuję się zbyt samotną — mam wrażenie, że jestem opuszczoną. Ojciec jest dla mnie dobry, ale co za różnica z tem ciepłem, z tą troskliwością, do jakich przywykłam! Zresztą nie wiele go widuję; prócz wieczora spędzam całe dnie, a w nich te długie, długie godziny sama w moim pokoju, z którym mnie żadne wspomnienie nie wiąże. Tysiące rzeczy przechodzi mi przez myśl i serce, a nie mam komu ich wypowiedzieć — wszystko trzeba tłumić w sobie. Marzę tylko o powrocie,

o którym nie śmiem głośno wspominać; nie mam pojęcia, jak długo tu pozostanę“.

„Dnia 24 lipca. Sądzę, że pobyt w Jasieńcu będzie dla mnie moralnie zdrowym na przyszłość. Obecny żal za wszystkiem, co kochałam i do czego przywykłam, a następnie radość powrotu starczą, aby mnie wyrwać z dawnego stanu apatyi i zniechęcenia. O tym powrocie do Sieniawy marzę jedynie, nie myśląc, co będzie dalej. Często płaczę i smutno mi, gdy po czterech czy pięciu godzinach pracy nie mam komu pokazać wykonanego rysunku lub przepisanych w albumie wyborowych ustępów, ani komu zagrać wyuczonego kawałka i zapytać: „Czy dobrze?“ Ale równocześnie z jaką niecierpliwością oczekuję dni, w które poczta przychodzi, jak lubię dni, w których piszę, wiele robię projektów, aby, gdy wrócę, ani chwili używania nie stracić! Tymczasem zaś robię co mogę, aby również nie tracić owocu mego poświęcenia, by się przed ojcem wydawać wesołą, aby niepostrzeżenie ustępować dla niego z własnej wygody lub przyjemności. Ale darmo! Nie przypuszczam dłuższego trwania tego życia, jak na dwa miesiące — nie wytrzymałabym. Moje serce tam przyrosło“.

„Dnia 25 lipca. P. L.(udwik) K.(icki) przyjechał dziś. Oto nowa sposobność dla mnie. Czy z tego co będzie?“

Ów przyjazd Ludwika Kickiego był zapewne kluczem do zagadki pobytu Zosi w Jasieńcu: sądzono słusznie, że widok „warszawskiego Apollina“ większe zrobi wrażenie w takiej pustce, niż w salonach stolicy lub w licznem gronie panien puławskich. Ludwik Kicki wszakże nie potrzebował lękać się porównań; była to bowiem osobistość dziwnie pociągająca, nawet wśród ludzi swego czasu, tak płodnego w pięknych bohaterów i urocze niewiasty. Ojciec jego Onufry Kicki, koniuszy kor., starosta rycki, wojewoda Królestwa Kongresowego i kawaler Orła Białego, był przez całe życie gorącym przyjacielem Stanisława Augusta i pozostał mu wiernym do końca. Trzeba czytać tę poufną korespondencyę [1]) mię-

[1]) Korespondencya Stanisława Augusta z koniuszym kor. znajduje się wraz z większością pamiątek po jenerale

dzy królem a „Kiciem“, jak go zwykle nazywał, aby mieć pojęcie, jak z różnych stron wyzyskiwano dobroć i trudne polityczne stanowisko Poniatowskiego, jak niektórzy kazali sobie przezeń opłacać brzęczącą monetą obietnicę usługi dla kraju, a wziąwszy pieniądze zawracali do przeciwników królewskich, jak po abdykacyi, na prywatną kasę jego rzuciły się gromady ludzi, niegdyś pobierających pensye ze skarbu kor., a teraz pozbawionych środków do życia. Zrazu Kicki, a potem Ryx, usiłowali króla poniekąd osłaniać, poskromić bezwzględność niektórych krewnych, utrzymujących się wraz z rodziną na koszt dworu, z większemi wymaganiami, niżli sam król. Oczywiście brano im to za złe i odpłacano posądzeniami i oskarżeniami, do których — sądząc z poufnych listów — nie było żadnej podstawy, przynajmniej co do Kickiego. Plamą na jego życiu jest fakt, że — czy to z uległości dla króla, czy z własnej inicyatywy, był sekretarzem konfederacyi Targowickiej... Niestety mało jest ludzi, którzy z tych strasznych czasów wyszli bez winy.

Z małżeństwa koniuszego kor. z Teresą Kicką zostało kilka córek: Onufra za Gadomskim, Ludwika za hr. Bispingiem, Ewa za jenerałem ks. Antonim Sułkowskim, piękna a sławna z dystrakcyi i guzdralstwa panna Teresa i jedyny syn Ludwik, najmłodszy z rodzeństwa i ukochany przez siostry. Wychowany był od 14 roku życia w Szkole Kadetów, co samo było rękojmią serdecznych z Księciem Jenerałem Ziem Podolskich stosunków. Jako oficer już asystował wraz z Ks. Józefem i tegoż sztabem przy weselu swej siostry Ewy z ks. Sułkowskim, odbytem dnia 14 stycznia 1808 r. w Warszawie. Dziwne to były czasy! W albumie tej młodej księżny pomiędzy mnóstwem karykatur i fantazyjnych rysunków znajdujemy bardzo poważnie i z punktu wojskowego bardzo szczegółowo nakreślony w Warszawie dziennik z pamiętnego czasu między 14 kwietnia a 4 czerwca 1809 r. Pismo nie-

---

Kickim w posiadaniu hr. Henryka Potockiego w Chrząstowie, mocą zapisu Natalii z hr. Bispingów Kickiej, drugiej żony Jenerała.

zgrabne, snać nie wyćwiczone w Puławach, ale opisy gorące i ciekawe. Obok zaś jedną tylko oddzielony kartką wierszyk żartobliwy na cześć brata, sławiący jego skoki w tańcu, jego zręczność i dzielność we wszystkiem, co dziś się zowie „sportem“, poczem podniósłszy piękność jego duszy i zaręczywszy, że nigdy w życiu nie skłamał, autorka kończy pochwałą niezrównanego jego apetytu:

ÉPITRE A LOUIS.

Je chante ce jeune homme, qui par son adresse
De la valse aujourd'hui a doublé la vitesse,
Qui par la légèreté de ses sauts périlleux,
Etonne le regard dirigé vers les cieux.
Qui de son bras nerveux dompte le fier coursier
Et manie avec grâce et le fer et l'acier.
Suivez le à la course, sur la glace engourdie,
Au plus fort de l'hiver, aux chaleurs du midi,
Toujours intrépide, affrontant les saisons
Il parcourt lestement et les prés et les monts,
Et pourquoi dirai-je qu'il est grand, qu'il est fort —
Que sont auprès de l'âme les beautés de son corps?
Sachez que de sa vie jamais il n'a menti
Et qu'il n'existe plus un meilleur appetit.

Ów piękny tancerz był już wtedy adjutantem ks. Józefa, z nim przebył wszystkie kampanie, a gdy po zgonie Księcia jemu, jako najbliższemu, kazano rozdać między przyjaciół pierścionki zmarłego, sobie zachował cieniutką pokrzywioną obrączkę złotą, która do przytrzymania tamtych pierścionków na przychudłych palcach służyła... To szczegół, ale dający miarę niezwykłej delikatności uczucia. Dziwnie też piękną charakterystykę Ludwika Kickiego zostawił wśród swoich „Portretów“ wodzów z r. 1830 Tomasz hr. Potocki, który, acz znacznie młodszy, a przeto niższy rangą, znał go przecież dobrze i o mało podobnie jak on nie zginął od kuli wroga. Dwóch synów wówczas odwieziono p. Michałowej Potockiej: Tomasza z przestrzeloną twarzą i Henryka z prze-

strzeloną na wylot piersią. Żaden z nich wtedy nie umarł: Henryk, ożeniony później z ks. Heleną Sułkowską, siostrzenicą jenerała Kickiego, z natury romantyk i poeta, dzięki objęciu rodzinnego majątku zmuszony, jak się sam nie bez goryczy wyrażał:

Swego Pegaza zaprzęgnąć do wozu
By miasto laurów wiózł... furę nawozu —

pocieszał się wśród nielicujących z jego naturą kłopotów gospodarskich, opowiadając dzieciom improwizowanemi wierszami kampanię r. 1830 — 1831. Starszy zaś brat, Tomasz [1], długą a bolesną w skutek ran powalony chorobą, w ostatnich latach pozbawiony władzy w nogach i znoszący bezprzestannie nadludzkie cierpienia, zużywał resztki sił na służbę krajową. Nad bezwładnem a zbolałem ciałem jedna głowa tylko żyła, myślała i z głębi serca przemawiała do serc rodaków. „Portrety“ jenerałów polskich snać z wcześniejszej są pory, bo wszystkie jego własnem nakreślone pismem. Oto, co mówi o Kickim:

KICKI JENERAŁ.

„Charakter Kickiego zdawał się więcej zgodnym z romantycznemi opisami rycerstwa, niż należącym do naszego zimnego i wyrachowanego wieku. W pięknych jego rysach malowała się szczerość, otwartość i wszystkich ujmująca łagodność duszy. Miłośnik, może nadto, piękności, rozrywek i uciechy, mający czucie na dźwięk poety, dobry przyjaciel, dobry kolega, dobry towarzysz, żołnierz skromny i nieustraszony, kochający ojczyznę dla niej, nie dla siebie, chciwy nie zaszczytów, lecz czystej sławy, szczęśliwy z każdego położenia, w którem mógł służyć pierwszej, zarabiając na drugą, z równym zapałem byłby walczył w szeregu i dowodził przed frontem, z równem uniesieniem byłby przyjął prosty krzyż

---

[1]) Tomasz Potocki pozostawił też sporą wiązankę wierszy nieco słabych formą, ale pięknych uczuciem i myślą. We wszystkich główną osią jest ból nad nieszczęściami kraju.

żołnierza, jak krwią okupione jeneralskie wawrzyny. Spokojny wśród niebezpieczeństw, stały w nieszczęściu, z tym samym wyrazem twarzy widziano go pośród kul i lanc, jak na łonie uciechy. Jako dowódzca, lubo surowy na przestępstwa, na trwożliwość, rabunek i okrucieństwo nieprzebłagany, umiał i karność utrzymać i miłość pozyskać żołnierza i wzbudzić w nim uczucie honoru. On to karał winnego wypędzając go z szeregów, lecz w potrzebie i wyrok śmierci gotów był podpisać. Nie rozwinął wprawdzie nadzwyczajnych zdolności, nie posiadał głębokich nauk wojskowych, lecz umiał się przejąć duchem nakazanego działania, a gotowość — więcej powiem — namiętność do walki i dobrze zrozumiana chęć sławy, wolna od wszelkiej zazdrości, od wszelkiego osobistego względu, czyniły go sposobnym do szczerego i ochoczego wykonania wszelkiego rozkazu. Oceni to historya w późniejszych wiekach, opowie, że Kicki był drugim Bayardem bez trwogi i zmazy, a że zginął jako bohater i męczennik wolności“.

Ten oto polski „Bayard“ i „Apollo“ przybył do Jasieńca w widocznych zamiarach o rękę Zosi i... nie zrobił żadnego wrażenia Być może, iż noszone przezeń wówczas okulary ćmiły nieco jego urodę, a mundur adjutanta w. księcia Konstantego zasłaniał w oczach nieświadomej tych spraw dziewczyny rycerską przeszłość napoleońskiej kampanii. Zresztą, jak już wspomniano, Zosia była raczej skłonną do czułości serca, niż do egzaltacyi duszy, wolała zawsze dobroć od wielkości, a nadto była w tym czasie tak za Czartoryskimi i Sieniawą stęskniona, że żaden archanioł z nieba nie byłby zyskał jej względów. Prócz kilku słów powyższych, niema dalszej wzmianki o wizycie Kickiego, a natomiast nieco dla nas niecierpliwiące rozczulania nad listkiem koniczyny, posłanym przez Lilę, oraz „portrety“ tejże Lili, Kamci i Anielki, z których dowiadujemy się, że Lila White jest anielskim obrazem dobroci, że główną cechą Kamilli Wierzchowskiej jest obok wielkiej wrażliwości, wojownicze przywiązanie do swoich, lekceważące opinię świata, że wreszcie Anielka słodka, spokojna i cicha, a przytem powiewna i ła-

dna, tai swoje przymioty pod zasłoną nieśmiałej skromności: „Jakież one dobre wszystkie trzy! Jakże je kocham! Kiedyż będziemy znów razem?“ Ów zwrot ku stosunkom z młodszych lat wywołany był u Zosi ustępem w dzienniku matki, twierdzącym, że choć przyjaźń jest tak rzadką na świecie, ona przecież dwiema serdecznemi przyjaciołkami cieszyć się mogła, t. j. księżną Wirtemberską („Marie de Würtemberg“) i Konstancyą Dembowską. Zos.a miała ich aż trzy, nie licząc innych roszczących sobie prawa do jej przyjaźni. Wyrwana z Sieniawy, czuła się, jak ptak z ciepłych krain, zgubiony wśród śniegów i mrozu:

„Jasieniec, 3 sierpnia. Tu dopiero poznaję, jak bardzo byłam pieszczona: każde zapomnienie, każde pominięcie mnie boli, ostrzejszy ton w głosie sprowadza mi łzy do oczu, parokrotna nagana rzuca mnie w zniechęcenie. O jakże mi żal, jakże łaknę tej atmosfery serdecznego ciepła, starania i pobłażliwości, jaką mnie otaczali Księżna, Książę, każda z moich towarzyszek, każdy z domowników, nawet każdy służący. Tak jak roślina do cieplarni przywykła, nie mogę znieść innego powietrza — serce moje uwiędłoby na zawsze“.

„Jasieniec, 10 sierpnia 1818 r. P. Dembińska spędziła tu tydzień, mieszkając ze mną w moim pokoju. Był to czas dziwnie przyjemny. Po tak zupełnem osamotnieniu słodko mi było mieć kogoś rozumiejącego mnie we wszystkiem, w mojej tęsknocie i różnych przykrościach, słodko było odnaleść pobłażliwość, opiekę i tę troskliwość kobiecą, do której przywykłam. Jestem jej niewymownie wdzięczną“.

„Jasiniec, 12 sierpnia 1818 r. Powinnabym zapisywać każdy dzień przynoszący mi ukochane listy z Sieniawy. Księżna za każdym razem przysyła mi coś; odnajduję słodką a wylaną serdeczność, w której od dzieciństwa wyrosłam, a z nią tysiące szczegółików, które mnie obchodzą i zajmują. One tam robią wycieczki, jeżdżą na podwieczorek do Rychtera, do Lisenborta, do Ogrodu Dziecinnego, robią duże spacery, są wszystkie razem: tyle oto małych szczęść dla mnie straconych, a których już nigdy nie odbiję! A przytem wiem, że mnie im brak, że wciąż o mnie myślą. Pono ktoś

obcy nawet poznałby odrazu, że im czegoś nie staje, że za kimś wzdychają. O Boże, jakże jestem samotna, wykolejona, smutna!“

„Dnia 16 sierpnia. P. K.(icki) powrócił. Papa przyjął go niesłychanie życzliwie i namówił, aby nam towarzyszył w dwudniowej wycieczce naszej do Solca. Zda mi się, że tym razem jestem schwytana. Serce mi się ściska, bo nie mam dla niego żadnego słodszego uczucia, a widzę, że nie powinnam już odmawiać tej partyi. Mówią mi o nim tak wiele dobrego, mówią, że się zastosuje do wszystkich moich życzeń. O jeżeli to prawda, to z mego wpływu zrobię tylko jeden użytek: będę łagodna, powolna, zrobię co tylko będzie w mojej mocy, aby go uszczęśliwić, byle on mnie pozwolił być co roku trzy czy cztery miesiące szczęśliwą w Sieniawie. Widzę bowiem, że jeżeli nie wyjdę za mąż, ojciec mnie będzie tylko pożyczał Księżnie i to gdy będzie w Puławach. Tak jest — trzeba się zdecydować i to z odwagą; trzeba sobie powiedzieć, że Bóg mi nie przeznaczył małżeństwa z miłości, że zaś w takich warunkach człowiek, któremu się na zimno oddaje serce, zaufanie i całe swe życie, musi się zdawać poniekąd wstrętnym, ale też że z czasem można się przywiązać i przez to samo używać pewnego rodzaju negatywnego szczęścia. Co do prawdziwego szczęścia — tego już nie szukam, chyba w pamięci. Czas, jaki mi do życia zostaje, zda mi się jakoby strumień opuszczający kwieciste brzegi, by iść się gubić w jakąś nieznaną dal“.

„Jasieniec, 22 sierpnia 1818 r. Pani Zabiełło i księżna Galicynowa dały mi znać przedwczoraj, że są w Puławach i prosiły, bym je tam odwiedziła. Serce mi biło, gdym zdala ujrzała Puławy i bardziej jeszcze w czasie powolnej przeprawy przez piękną Wisłę w porę cudownego zachodu słońca. Po raz pierwszy miałam się tam znaleść bez Księżny i jako gość, jadąc sama z panną służącą na spotkanie osób tylko znajomych. Wezbrało we mnie wspomnienie lat dziecinnych, minionych bez śladu tak, jak ta woda u stóp mych płynąca, potem tych chwil krótkich a słodkich, których mi żadna siła ludzka wrócić nie może, a zawierających może całą cząstkę

szczęścia przeznaczoną mi w życiu i wraz z niem myśl zwróciła się ku śmierci. Mówiłam sobie, że gdy ona nadejdzie, będę na życie patrzeć już jakoby z portu, obojętna na najmilsze wspomnienia, a szukając tego jedynie, com zrobiła dla Boga, pomyślałam jak dotąd uczyniłam mało, jak często Go poświęcałam i dla jak wielu rzeczy — a wtedy serce jeszcze mi się gorzej ścisnęło. To widok Puław tak mnie zasmucił.... W tej chwili przybiliśmy do brzegu; przyszłam nieco do siebie na widok otaczających mnie uśmiechniętych twarzy, wobec tej życzliwości, która może mnie najbardziej przywiązuje do Sieniawy i Puław. Nie miałam jednak odwagi iść wprost do mego pokoju; poszłam do tych pań i wkrótce, dzięki wprawie w panowaniu nad sobą, zdołałam smutek mój stłumić na dno duszy. Nazajutrz odbyłam z niemi spacery, pełne dla mnie wielorakich wspomnień; byłyśmy w Parchatce, Kazimierzu, a dziś rano powróciłam tu".

„Jasieniec, 25 sierpnia 1818 r. Ot — może coś dobrego do zaznaczenia: powiedziałam Papie, że Księżna chce do mnie przyjechać, gdy będziemy w Tursku; odrzekł, iż wie dobrze, że to będzie porwanie, ale że znajduje to naturalnem i naprzód się rezygnuje. Mamy tam jechać dopiero około 2 września, a tymczasem Księżna może przyjedzie do Puław. Przyznaję, że wolałabym zastać ją jeszcze w Sieniawie, gdzie odnalazłabym wszystkich moich razem. Jestem bardzo, bardzo szczęśliwa, widząc, jak płonną była moja obawa, że już nie wrócę do Księżny. Ale z tą obawą znikł też jedyny powód, który mnie do małżeństwa skłaniał i z tem większą patrzę odrazą na to, co mi się wydaje szczęściem tak długo tylko, dopóki jaki obcy i wręcz obojętny człowiek nie przychodzi mi się ofiarować na męża. Za dwa dni jadę do Bronic, gdzie ojciec mnie ma zostawić na cały czas swego pobytu w dobrach podlaskich. Zastanę tam pana K.(ickiego) i przepędzę co najmniej dziesięć dni bez Księżny, bez ojca, sama wśród obcych, w chwili, gdy mi najwięcej będzie dobrej rady potrzeba. Być może, iż ulegając memu zwykłemu brakowi decyzyi, zacznę się wahać i nową sposobność szczęścia zmarnuję, może się zdecyduję, a potem będę żałować.

Ale czyż mogę zapomnieć, że posiadam w Bogu najlepszego ojca, który mnie nie opuści".

„Jasieniec, 28 sierpnia. Jestem chora i bardzo cierpiąca, brak mi opieki i tego zaniepokojenia, jakie w podobnych razach przywykłam widzieć dokoła siebie. Obecnie sama się niepokoję i jest mi bardzo smutno".

„Sieniawa, 3 września 1818 r. Jestem w Sieniawie! Boże, czy to istotnie prawda? Przed paru dniami tak biedna, a dziś tak szczęśliwa! Serce moje nie zdoła pomieścić tylu wrażeń i tak wielkiej radości. Zatrzymana przejściową słabością o kilka dni dłużej w Jasieńcu, przybyłam do Puław w sam dzień przejazdu księżny Wirtemberskiej, udającej się do Sieniawy. Nazajutrz miałyśmy się rozjechać każda w swoją stronę. Poprosiłam ją, aby pojechała na Bronice, a mnie na ten kawałek drogi wzięła do swego powozu, na co się chętnie zgodziła. We Włostowicach wstąpiłyśmy do kościoła, gdzie się gorąco modliłam o pomoc i światło wobec trudności położenia, w jakiem miałam niebawem się znaleść, aż tu nagle przyszła mi myśl dojechania z księżną Wirtemberską do samej Sieniawy. Księżna na pierwsze moje słowo przystała zaraz; poczekałyśmy tylko na mego ojca, a i on również zezwolił. Wtedy p. Kicki, którego byłyśmy tu zastały [1]), poprosił mnie o chwilę rozmowy. Byłam bardzo zakłopotana i zdziwiona jego wzruszeniem. Nie obeszło się bez przykrych chwil, ale nie czas teraz o tem mówić. Teraz powtarzam sobie wciąż: Wróciłam! Jestem w Sieniawie! Do śmierci nie zapomnę, jak mnie tu przyjęto. Każdy wyglądał równie uradowany, jak ja. Znalazłam mój pokój cały odnowiony; śliczne rabaty pod mojemi oknami, fabrykę kościoła znacznie posuniętą. Nazajutrz stół mój pokryty był fiołkami i innemi kwiatami. Wszystko tu jest miłe, wszystko mnie bawi, wszystko mi dogadza — jestem bardzo szczęśliwa!"

„Sieniawa, 8 września 1818 r. Zawezwana do Warszawy dla pełnienia mych obowiązków damy honorowej przy

---

[1]) Zosia pisze: »zastały w Bronicach«, ale to pewnie pomyłka.

cesarzowej (matce), wyjeżdżam jutro z Księżną i Anielką. Radość moja niedługo trwała; tak mi żal Sieniawy, a taki mam strach przed Warszawą!"

„Warszawa, 14 września. Przyjechaliśmy przedwczoraj. Wszyscy tu w ruchu, wszyscy zajęci przysposabianiem strojów. Muszę i ja swoje sposobić, a tymczasem męczę się wciąż niepewnością, jak mam postąpić: przed wyjazdem z Warszawy trzeba mi koniecznie powziąć postanowienie co do p. Kickiego. Papa tego pragnie, Księżna zda się też — to bardzo silne argumenty. Ale jakże trudno zdecydować się na oddanie całego życia człowiekowi, którego się prawie nie zna, a do którego nic w sercu nie ciągnie. Całą ufność położyłam w Bogu; proszę Go wciąż, aby mną kierował, aby mi dał poznać swą wolę. To mi wystarczy — to mi powinno wystarczyć".

Ludwik Kicki tymczasem jechał do Połocka, wysłany przez W. Księcia dla czuwania nad podróżą matki aż do Warszawy. W czasie tej drogi najprzyjaźniejsze stosunki zawiązały się między wdową Pawła i jej dworem a pięknym adjutantem, tak, że przybywszy na Zamek warszawski zażądała, aby jak najdłużej w jej otoczeniu pozostał. Fakt ten przyczynił się do zbliżenia go do Zosi, celującej wdziękiem i urodą wśród panien z najwyższych rodów, powołanych wtedy do asystowania cesarzowej. Zosia jednakże nie zdawała sobie sprawy z owej wyższości, pochłonięta przykrem uczuciem nieśmiałości, której ślad zachował się w luźnej kartce, na której po jednej stronie jest wypisana modlitwa, a po drugiej ręką Zosi te słowa: „Gdym po raz pierwszy miała iść do Dworu, poszłam wprzód do spowiedzi, a Cecylia dała mi tę modlitwę, abym ją nosiła przy sobie i od czasu do czasu odczytywać mogła. Czyniłam to i pragnę zachować ją zawsze na pamiątkę mojej dobrej, tak bardzo dobrej i ukochanej Cesi".

Byłaby się stokroć więcej bała i goręcej modliła, gdyby jej powiedziano, że cesarzowa zauważyła uczucia Kickiego i postanowiła przyjść mu z pomocą. W istocie pewnego dnia przywołała Zosię do swego gabinetu i tu wybadawszy ją po macierzyńsku, wpuściła z kolei Kickiego. Co jej dokładnie

powiedziała, nie wiemy; być może, iż jest wypisane w długim, starannie przekreślonym ustępie, z którego ocalały jedynie następujące zdania:

„Warszawa, 27 września 1818 r. Stało się — los mój postanowiony! Wychodzę za p. Kickiego, którego zaledwie znam. Jakimże cudem wyrzekłam stanowcze słowo wśród najgorszego wahania? Jakże się to ułożyło u Dworu, w gabinecie cesarzowej, tak, że wczoraj jeszcze niezdecydowana, znajduję się dziś jakoby zaręczoną?... Czuję się tak zmięszaną, tak oszołomioną i poruszoną do głębi, że chyba za kilka dni będę zdolna rozpatrzeć się w mojem położeniu. Dziś odczuwam tylko smutek i strach“.

Dalej bez osobnej daty ciągnie się ów przemazany ustęp, zaczynający się od dziwnego w tem miejscu zdania: „Dobrze się bawiłam przez te ośm dni, które cesarzowa tu spędziła, aż...“ Później parę razy powtarza się wyraz: *l'Impératrice* i *Mr. Kicki* — szkoda, że nie można przeczytać, że prócz faktów, dotyczących samej Zosi, nie dowiadujemy się dalszych szczegółów o wielkim balu dworskim w Łazienkach, gdzie snać ciche wdzięki Joanny Grudzińskiej ostatecznie podbiły serce W. Księcia, tak, że na jej prośbę cofnął dany już rozkaz rozpędzenia ciekawej publiczności, tłoczącej się na zewnątrz u okien. Na to, by patrzeć i opisywać, trzeba mieć myśl spokojniejszą, niż ją Zosia miała w tej chwili, to też następna jej zapiska już zwiastuje koniec festynów:

„Warszawa, 30 września 1818 r. Po zabawach i zgiełku nastał zupełny spokój. Jestem zajęta pisaniem do wszystkich, którzy o mnie dbają, listów z doniesieniem o mojem przyszłem zamążpójściu. Każdy z tych listów mnie boli: nie mogę powiedzieć, abym żałowała mego postanowienia, bo wiem, żem dobrze zrobiła, ale mi smutno. Byłam u pani Gutakowskiej, gdzie mnie bardzo dobrze przyjęto. Pani Kicka jest nad wyraz dla mnie dobra, ale każdy krok zacieśniający moje więzy jest mi przykrym. Na progu nowego życia zdaję sobie sprawę, jak bardzo dotąd byłam szczęśliwą, a im więcej oceniam minione radości, tem mniej wierzę w te, które mi obiecują na przyszłość. A serce moje wciąż milczy — jeżeli go nie

zdołam pokochać, jakżeż spełnię wobec niego moje obowiązki?"

„*Warszawa, 4 października.* Spędziliśmy jeden dzień w Nieborowie. Arkadya bardzo mi się podobała: jest w niej czar, podnoszący wyobraźnię i wzruszający serce. To wrażenie jednak ustąpiło smutnym myślom, których tu nie chcę powtarzać. Za powrotem zastałam mój pokój pełen kwiatów. Spędziłam cały wieczór w pokoju Cecylii z nią, z p. Kickim i panną Teresą. Ani chwili nie wyszłam z przykrego zakłopotania".

„*Warszawa, 5 października 1818 r.* Po raz pierwszy przyjęłam p. Kickiego i to w moim pokoju — zawsze z ogromnem zakłopotaniem. Jestem żywo wzruszona jego obejściem, tak widać zeń, że pragnie mnie uszczęśliwić, że jest mojem szczęściem aż do najdrobniejszych szczegółów zajęty! Jakżebym chciała mu się choć odrobinkę odpłacić, nie tyle dla własnego zadowolenia, jak na to, by módz być o szczęście jego spokojną, aby wiedzieć, że znalazł we mnie, czego się spodziewał".

„*Warszawa, 8 października 1818 r.* Bez przestanku śledzę drgania mego serca, szukając w niem postępu uczucia dla p. Kickiego: nie odkrywam go wiele, ale wiem tyle, że gdybym jeszcze miała wybierać, wybrałabym jego raczej, niż wszystkich innych, o których myślałam. Jest taki dobry i zdaje się mnie kochać!"

„*Puławy, 28 października.* Opuściliśmy Warszawę 14 października. Pojechałam prosto do Jasieńca; dzień, który tam spędziłam, był jednym z najprzykrzejszych mego życia. Odkąd tu jestem, to jest od dwóch tygodni, czas mi schodzi przyjemnie. P. Kicki jest tutaj i w miarę zanikania mojej nieśmiałości, wzmaga się moja przyjaźń dla niego. Codziennie raz lub dwa razy przychodzi do mnie: bardzo mi słodko słyszeć na wszystkie tony, że jestem kochaną i snuć tysiące miłych planów na przyszłość".

„*Puławy, 3 listopada 1818 r.* Spędziłam w Jasieńcu sześć ostatnich dni, które będę zawsze z przyjemnością wspominać. Ojciec był zdrów, wesół i bardzo dla mnie dobry,

z czego jestem ogromnie szczęśliwa. Dużośmy spacerowali i dużo się śmiali; byłam swobodniejsza z p. Kickim i bardzo wzruszona jego tkliwemi i dobremi słowami. Za kilka dni jedziemy do Sieniawy“.

„Jakże ja kocham tę Sieniawę, jak dbam o wszystkie zwyczaje, przypominające mi całą moją młodość! Tam wszyscy dla mnie tacy dobrzy, każdy mnie interesuje, czy domownik, czy gość, a kościół, do którego co dnia chodzę, teraz taki ładny, dzięki moim staraniom! Te śniadania, do których się wszyscy zgromadzamy, ten wielki a długi stół obiadowy, gdzie z jednej strony siedzą wszystkie panny, naprzeciwko nich Adam (syn ks. Konstantego), Eustachy, Gustaw, Karol i Ksawery (Prek); u jednego końca Książę (Księżna?) z paniami Nevill, Dembińską i t. d., a u drugiego wszyscy panowie! Ten wieczór, na który każda z nas przynosi swoją robotę, te małe stoliczki do kolacyi — jakże kocham to wszystko! Jakże przywyknę do życia gdzieindziej, niż w Sieniawie? Wczoraj odbył się ślub Helenki (?) — nie mogę wyrazić, co czułam i dla siebie i dla niej. Wyglądała bardzo *interessante,* bodaj była bardzo szczęśliwa! Przez całe popołudnie robiłyśmy bukiety; panna młoda ubierała się w moim pokoju, poczem poszłyśmy z nią i z Księżną do salonu, gdzie już wszyscy byli zebrani. Gdyśmy rozdały bukiety, a Książę przyszedł, Księżna włożyła jej na głowę dukat, chleb, sól i wianek, któryśmy przypięły. Przed ceremonią X. Siarczyński, który dawał ślub, miał bardzo wzruszającą przemowę; potem były tańce. Przy kolacyi Helenka siedziała z mężem u góry stołu i wszyscy pili jej zdrowie. Przez cały wieczór byłam mocno wzruszona tak przyjaźnią dla niej, jak i własnemi smutnemi myślami. Tak mi przykro, że mój ślub nie odbędzie się w Sieniawie, że w tej wielkiej ze wszechmiar dla mnie chwili nie będę pobłogosławioną przez mego najukochańszego Księcia, który jest ojcem nas wszystkich. Patrząc na ten ślub, myślałam o własnym ślubie!“

„Sieniawa, 1 grudnia 1818 r. Helenka dała nam wesoły podwieczorek w swoim pokoju. Dziś rano wyjechała z mężem; wygląda bardzo szczęśliwa“.

Po tym ślubie Zosia wzięła się znów do wypisów z dzieł św. Augustyna, poczem w dzień urodzin, to jest 21 grudnia, ułożyła jak zwykle kroniczkę całego roku, mniej bolesną tym razem, niż w poprzednim: „W kwietniu — pisze — byłyśmy z Księżną w Warszawie, gdzie zastałyśmy Sejm, Cesarza, mnóstwo ludzi i świetne przyjęcia. W maju, wracając tu, było mi bardzo wesoło, w czerwcu pojechałam znów do Warszawy — miasto w lecie zdało mi się bardzo smutne; w początku lipca wróciłyśmy do Puław. Po dwóch tygodniach Księżna wyjechała do Sieniawy, a ja do Jasieńca: dzień 3 września, w którym wróciłam tutaj, był najszczęśliwszym dniem mego życia, a przecież już mnie dręczyła niepewność co do postanowienia mego losu. Owa niepewność towarzyszyła mi do Warszawy i trwała do chwili, gdy prawie bezwiednie i jedynie przez zakłopotanie oświadczyłam p. Kickiemu, że wyjdę za niego. Wyboru tego, którym dziś się cieszę i pewna jestem, że coraz więcej cieszyć się będę, nie umiałam na razie ocenić. Czułam się wobec niego obojętną, obcą i w małżeństwie przewidywałam tylko nieprzyjemną zmianę obowiązków. W połowie października pojechaliśmy do Puław, gdzie poznawszy lepiej p. Kickiego, zaczęłam się doń przywiązywać, zaczęłam uczuwać słodycz w myśli połączenia mego losu z kochającym mnie człowiekiem. W listopadzie wróciliśmy tu, skąd wyjeżdżamy za dwa tygodnie i smutno mi, bardzo smutno na myśl, że to ostatni mój pobyt, że mi przychodzi opuścić wszystkich, o których dbam i wszystko, do czego przywykłam".

„Sieniawa, 24 grudnia 1818 r. Wszyscy znajomi z okolicy zjechali tu na imieniny Księcia. Jest ich niezliczona moc, co mi trochę wadzi, ale z drugiej strony miło mi widzieć ich raz jeszcze, zanim opuszczę Galicyę. Widok najobojętniejszych mnie wzrusza, gdy pomyślę, że ich może już nigdy nie zobaczę, gdy słyszę ich serdeczne wyrazy żalu z powodu mego wyjazdu i gdy mnie samą żal chwyta za temi stronami, gdzie tyle lat szczęśliwych przebyłam. Jestem pewna, że i w nowych stosunkach będę szczęśliwą, a jednak to zamążpójście wydaje mi się jakoby rodzajem śmierci. Zda mi

się, że wszystko się skończy, że nić mego życia się przerwie. Chciałabym wykorzystać, zatrzymać, przedłużyć każdą chwilę dzielącą mnie od dnia, którego się lękam, radabym nie stracić jednej sekundy obecności tych, których kocham, a równocześnie potrzeba mi samotności, aby zebrać uczucia i myśli. Obawiam się, że tu o mnie zapomną, zanim tam się przywiążę, obawiam się — o! tylu, tylu rzeczy!"

Gdy na dziewczynę zawołają: żono!
Już ją żywcem pogrzebiono...

pisał wkrótce potem Mickiewicz, nie domyślając się, że myśl jego jak biedna ptaszyna obijała się już boleśnie o skroń i serce pięknego dziewczęcia. Myśl zresztą to rzecz tak lotna, iż nie można wiedzieć jakiemi drogami może niepostrzeżenie płynąć z duszy do duszy i nawet niewysłowiona odbijać się nieskończenie. W ten sposób po części można wytłómaczyć prądy, porywające w jednym kierunku umysły zbiorowej ludzkości. Każdy człowiek jest zarówno wytworem i wytwórcą swojego czasu.

Zda się, że księżna Izabella, niezmużona ustawicznem przenoszeniem się z miejsca na miejsce, nawet Świąt tego roku nie spędzała w Sieniawie; na samego Księcia Jenerała bowiem spadł niespodziany zapewne zaszczyt ponownego przyjmowania Aleksandra I. Umiał się zeń staruszek wywiązać z właściwym sobie wdziękiem:

„Sieniawa, 26 grudnia 1818 r. W powrocie z Akwisgranu Cesarz rosyjski wstąpił tu wieczorem na kilka godzin. Książę przyjął go w sposób niewymownie miły: w chwili, gdy Cesarz miał wsiadać do powozu, Książę powiedział mu, że nie wie, jak mu się odwdzięczyć za tyle dobroci, więc mu ofiaruje błogosławieństwo starca. Wtedy Cesarz pochylił się, aby je przyjąć, poczem uściskał go z najwyższem wzruszeniem".

I ani słowa więcej o tej czwartej wizycie cesarskiej, choć fakt błogosławieństwa złożonego na głowie cara przez sędziwego Księcia, tak bliskiego niegdyś ojczystego tronu, zda nam się dziś momentem historycznym, pobudzającym do

długich rozmyślań. Takie rzeczy jednak robią czasem więcej wrażenia z daleka, niż z bliska.

W Sieniawie gotowano się do obchodzenia Nowego Roku skromniej i ciszej, niż w r. 1818. O ile sądzić można z dziennika, cała uroczystość skończyła się na urządzeniu na cześć Zosi „ślicznego“ podwieczorku, przy którym wręczono jej ozdobną kartę, kędy ponad szerokim półkręgiem wschodzącej zorzy widnieją litery Z. M. uwite z róż, a dokoła karty między gałązkami niezapominajek jedenaście monogramów wykaligrafowanych artystycznie. Zosia na odwrotnej stronie spisała wyobrażone przez nie nazwiska wychowańców czy rezydentów Puław: Jan Goltz, Feliks Masłowski, Jan Krasnodębski, François Paulet, Ignacy Postpichel, Józef Richter, Adam Kłodziński, Feliks Bernatowicz, Krystyan Szyrma, Roch Orłowski, Ignacy Tarcbalski. Ten pożegnalny hołd wzruszył ją do głębi:

„Gdzież odnajdę — pisze dnia 1 stycznia 1819 r. — tę ogólną przychylność, tę atmosferę przyjaźni, jaka mnie tu otacza i stała się dla szczęścia mego konieczną? Jakże się rzewnie spłakałam na myśl, że muszę ich porzucić, a iść między ludzi, których serca dopiero zdobywać będzie trzeba!“

Wesele miało już niebawem odbyć się w Puławach, dokąd był dostęp łatwiejszy z Warszawy tak dla ministra Matuszewicza i jego syna, jak i dla rodziny dość licznej Kickiego i zobopólnych przyjaciół. Księżna krzątała się już około przygotowań na wielką skalę: skoro Zosi w charakterze synowej nie mogła w domu zatrzymać, chciała przynajmniej, aby z tego domu wyszła jako córka ukochana i wypieszczona. Sama też osobistość pana młodego zasługiwała na rozwinięcie większej uroczystości. Dla serca Księżny jednak był to, jak dla wielu matek, ślub ale nie wesele: mało kto zdaje sobie sprawę, jaki heroizm męczeństwa kryje się nieraz pod gorączkowym uśmiechem rodziców, witających weselnych gości. Zosi rozstanie przychodziło ciężej, niż większości panien:

„*Sieniawa, 5 stycznia 1819 r.* Wyjeżdżamy jutro. Nie będę miała siły z kimkolwiek się pożegnać. Chyba mi serce

pęknie, gdy opuszczę Sieniawę. Bóg jeden wie, czy tu kiedy powrócę“.

„Puławy, 9 stycznia. P. Kicki wyjechał naprzeciw nas do Biłgoraju. Powitałam go z wielkiem zakłopotaniem. Czyż to możliwe, że za tydzień mam być nierozerwalnym węzłem złączoną z kimś, który mi jest tak obcy? Tu zastaliśmy wiadomość, że mój ojciec nie może przyjechać do Puław, więc Księżna, pomimo poczynionych już największych przygotowań, przystała na odbycie ślubu w Warszawie. Byłoby mi wprawdzie przykro, gdyby Papa nie był na nim obecny, ale nie pocieszę się nigdy, że najważniejszy akt mego życia nie odprawi się w domu, gdzie mnie tak przez całe życie kochano, gdzie doznałam tyle szczęścia i który z tak wielkim żalem opuszczam“.

Z tonu tej zapiski znać, iż Zosia byłaby bez wielkiego smutku obeszła się bez obecności ojca, którego złe zdrowie psuło wszystkie plany i zamiast uroczystego wesela w Puławach, zmuszało do niemal dorywczego obrzędu w Warszawie. Księżna zgodziła się z łatwością, z jaką bardzo znużony człowiek na wszystko się godzi, a może też zdawała sobie lepiej od Zosi sprawę z poważnego stanu zdrowia Matuszewicza i nie śmiała o przyjazd do Puław nalegać. Szczegółów o ślubie nie mamy żadnych, prócz krótkiej zapiski:

„Warszawa, 16 stycznia 1819 r. Dziś zatem mój ślub. Nie zaznaczam tu różnych uczuć, przepełniających mi serce — i tak nie zapomnę ich nigdy. Najsilniejszemi z nich, to żal za tem, co opuszczam i pragnienie uszczęśliwienia człowieka, który zda się pragnąć mego szczęścia“.



ZOFIA Z MATUSZEWICZÓW KICKA.

Miniatura na kości słoniowej.

Własność Henryka hr. Potockiego w Chrząstowie.



III.

Po ostatnim, dość chłodnym wyrazie panieńskich uczuć, następuje długa przerwa w albumie. Państwo Kiccy, zmuszeni wojskowemi obowiązkami p. Ludwika do pozostania w Warszawie, osiedli na ul. Mazowieckiej, gdzie dla Zosi rozpoczęło się życie nowe, a inne, niż się spodziewać śmiała:

„*Warszawa, 20 marca 1819 r.* Przywykłam pisać w moim albumie wtedy tylko, gdy miałam jakąś przykrość do zaznaczenia, dlatego też od trzech miesięcy, co jestem zamężną, nie odczułam potrzeby wzięcia go do ręki. Szczęście moje bowiem jest tak czyste i słodkie, jak je wyobraźnia moja w najśmielszych swoich snach wymarzyć mogła. Tak jest! Znalazłam w małżeństwie ów wielki cel życia, którego brak tak często dotąd zasępiał dni moje. Czuła miłość mojego Ludwika starczy, aby mnie przywiązywać do życia, bo czuję, że jestem mu koniecznie do szczęścia potrzebną. Nie mogłam się spodziewać, że to wszystko odczuję tak wcześnie, że tak rychło będę szczęśliwą zdala od miejsc i ludzi, których dotąd wyłącznie kochałam. Ale bo też w Ludwiku znalazłam opiekę, przywiązanie, troskliwość i miłość. Bodaj mu zawsze mogłam takie dać szczęście, jakie on mnie dziś daje!“

Po tym pierwszym hymnie miłości następują pod datą 15 kwietnia 1819 r. konkretniejsze szczegóły o sposobie życia:

„Dzikość, jaka mnie opanowała, odkąd o własnych siłach bujam po świecie i odkąd się temu światu przypatrzyłam z bliska, sprawia, że z każdym dniem zacieśniam kółko moich przyjaźni, znajomości i zabaw. Jednostajność życia domowego przynosi mi coraz to nowe słodycze. Jestem często

sama, ale lubię zostawać w domu, a wieczorami wyjeżdżam niechętnie, chyba do Grzybowa (t. j. do słynnego z gościnności i wdzięku domu p. Sobolewskiej), który mi przypomina Sieniawę prostotą i życzliwością, z jaką mnie tam przyjmują i gdzie atmosfera miłości rodzinnej rozgrzewa mi serce. W każdem innem towarzystwie bywam zażenowana pretensyonalną elegancyą, zrażona obmową, zanudzana plotkami. Czuję się niezgrabną, mam wrażenie, że nie jestem na swojem miejscu"...

Dla p. Kickiego owa wybredność Zosi w wyborze towarzystwa musiała być nie zawsze dogodną, zwłaszcza odkąd jej zdrowie stanęło zaporą pomiędzy nią a światem. W maju tegoż roku znajdujemy ją w Puławach po świeżo przebytej chorobie, trapiącą się powątpiewaniem o możliwości macierzyństwa. Stąd w towarzystwie męża i panny Beydal jedzie do Drezna, zwiedza z rozkoszą Saską Szwajcaryę, a potem udaje się do Karlsbadu na kuracyę, zakończoną ciężkiem zasłabnięciem, doprowadzającem ją do wrót śmierci. Dzięki czułym staraniom męża i Cecylii, mogła 31 sierpnia opuścić Karlsbad, a następnie pisać w albumie:

„*Sieniawa.* Zatrzymaliśmy się w Pradze przez trzy dni, które zawsze będę wspominać z radością, bo tam zaczęłam odczuwać powrót do zdrowia. Widziałam mnóstwo cudnych rzeczy, zwłaszcza religijnych pamiątek. Reszta naszej podróży przez Czechy i Morawy była bardzo przyjemną, dzięki pogodzie i piękności kraju. Wreszcie 17-go (września) przybyłam tu z niewymowną rozkoszą. Ujrzałam wszystkich, z którymi spędziłam moją szczęśliwą młodość, przyjęta z czułością, powiększoną stanem mego zdrowia i długą nieobecnością. Odnalazłam moją wesołość, którą tu zawsze zostawiam i za powrotem zastaję".

Był to niestety przelotny tylko błysk — snać zaród odziedziczonej po matce choroby zaczął się objawiać ogólnem osłabieniem, skomplikowanem chybionemi nadziejami macierzyństwa. Zosia jęła się lękać o własne życie, a zarazem trapić o męża, iż mu stanem swoim szczęście zatruwa, że go oddala od przyjaciół i świata. Wśród tego nadeszła z Włoch wieść o zgonie Matuszewicza:

„Ojciec mój 31 października 1819 r. umarł w Bolonii samotny, daleki, niemal opuszczony od wszystkiego, co kochał. Odczuwam żywo to, co w nim straciłam. Cóżby się teraz ze mną działo, gdybym nie była miała szczerej woli towarzyszenia mu? Toż myśl o opuszczeniu, w jakiem skonał, sama przez się na zawsze bolesna, byłaby się stała najstraszniejszym wyrzutem sumienia, zatruwającym mi duszę do śmierci. Skończył jak święty: cnoty całego życia i żywa pobożność ostatnich lat wyjednały mu tę łaskę. Jest blisko Boga, nie wątpię, że jest szczęśliwy, ale ja go tu nigdy nie ujrzę już więcej".

Tak więc żałoba zasępiła koniec r. 1819; nie mamy ani słowa o pierwszych świętach Bożego Narodzenia spędzonych po ślubie, ani zwykłej rekapitulacyi wydarzeń całego roku. Natomiast jest ślad spełnionego obowiązku, listu do cesarzowej matki z powinszowaniem imienin: jej to istotnie zawdzięczała młoda para przyjście do skutku swojego małżeństwa. Odpowiedź cesarzowej Maryi zachowała się w oryginale w Chrząstowie wśród papierów Kickiego:

St.-Pétersbourg, 16 Décembre 1819.

„J'ai eu le plaisir, ma chère Comtesse Kicka, de recevoir votre lettre et suis bien sensible aux voeux, que vous formez à l'occasion de ma fête et aux sentiments que vous m'exprimez. On a eu bien raison de vous parler de l'intéret que je vous conserve, il vous est sincèrement acquis et je me rappelle toujours avec une satisfaction véritable de l'occasion que j'ai eu de faire votre connaissance personnelle et d'apprécier vos aimables qualités. Soyez bien assurée des voeux que je fais pour votre bonheur, celui du Comte votre époux et des sentiments de bienveillance et d'intéret avec lesquels je suis.

Votre bien affectionnée

Marie.

„Je vous prie, chère Comtesse, d'assurer Madame la Princesse Czartoriska de mon souvenir et de la satisfaction que j'éprouve de voir mon neveu, le Prince Adam de Würtemberg mériter les suffrages et le contentement du Grand

Duc Constantin. En bonne et tendre Grand-mère elle s'en réjouira avec moi".

Księżna Izabella nie była zapewne bardzo „czułą babką" dla wnuka, który ją miał za lat 10 oblegać w Puławach, niemniej przeto serdeczna pamięć cesarzowej Maryi (tak dobrej później dla księżny Łowickiej) musiała jej być miłą, milszą zapewne niż Zosi, trochę nieśmiałej wobec wszelkich oficyalnych wielkości, prócz cesarza Aleksandra, ukochanego przez wszystkich, do których się zbliżył. Tego roku nie było go w Warszawie, a żałoba, równie jak zdrowie, zmuszały młodą panią Kicką do życia samotnego, wśród którego miała aż nadto czasu dla hodowania swych obaw. To też zapiski w ciągu zimy r. 1820 są coraz to smutniejsze. W końcu lutego opowiada o przedstawieniu amatorskiem, przy którem grano dawno jej znaną muzykę do walca. Stąd porównanie tego, czem była wówczas: lekka, świeża, ożywiona, wesoła, dziś mizerna, osłabiona, bez oddechu, gotowa co chwila się rozpłakać [1]. „A przecież — dodaje — jestem w gruncie szczęśliwa, złączona z człowiekiem niewymownej dobroci; jeno że wciąż chora i przekonana o bliskiej śmierci, na niczem używać nie mogę. Często niepodobna mi przejść przez pokój bez zmęczenia i zaduszeń. Nie znoszę samotności, a obecność bliźnich mi wadzi, każdy strój wydaje mi się zbyt „młodym" — cóż się to stało z moją młodością i zdrowiem?" Skarży się przytem na zupełne zniechęcenie do pracy, na utratę daru podobania się ludziom, co jej ogromnie szkodzi wśród nowych stosunków. Z dawnych też nie odnosi pociechy:

„*Dnia 15 kwietnia 1820 r.* Miałam dziś listy z Sieniawy, ogromnie dla mnie smutne. Wszyscy, z którymi łączyła mnie wspólność wieku, wspomnień i przyjaźni, rozpraszają się po świecie. Już nigdy nie odnajdę tego ukochanego kółka, bo go już nie będzie. Uczyniło mi to wrażenie rodzaju śmierci i zwróciło ku Bogu. Książę i Księżna po całem życiu, spędzonem na wyświadczaniu dobrodziejstw i ota-

---

[1]) Zmianę, o której tu mowa, znać dobrze z drugiej miniatury Zofii Kickiej, w tych czasach zapewne robionej.

czaniu się młodzieżą, przepędzą w samotności ostatnie swe lata. Książę Konstanty zabiera Adasia, z którym zniknie cały sztab jego nauczycieli i ochmistrzów, Eustachy i Gustaw wstępują do szkół we Lwowie, Anielka wychodzi za mąż i zabiera z sobą Kamillę. Detraux wraca do Wiednia do swego ojca. Bóg wie, czy i kiedy zgromadzimy się jeszcze!“

W miesiąc potem znów nowe, bardziej dotkliwe zmartwienie: u wrót młodego stadła stanęła groźba ruiny. Snać znaczna fortuna, odziedziczona przez Zosię, okazała się po śmierci ojca bardzo zachwianą; Kicki też (obecnie podpułkownik) miał długi zaciągnięte w skutek gry; rzadko też się zdarza, aby ludzie, wyjątkowo mili, byli równocześnie bardzo rozsądnymi w rzeczach pieniężnych. Księżna de Ligne przez całe życie płaciła odrastające jak głowy smoka ciężkie długi uroczego małżonka... Dość, że na dom państwa Kickich runął nagle wielki nawał trosk i udręczeń, które się boleśnie odbiły na zdrowiu młodej kobiety. Ze łzami pisze:

„*Warszawa, 24 kwietnia 1820 r.* Nie umiałam odczuwać szczęścia na myśl o bliskiem mojem macierzyństwie, ale znalazłam zdolność do żalu, gdy te nadzieje nagle przepadły. Najgorszą chwilą było, gdy Ludwik wszedł do mego pokoju, a ja wybuchnęłam płaczem. Mój drogi, mój biedny Ludwik! Czyż już żadnej nie zdołam mu sprawić radości? Czemuż mnie nie pojął wtedy, gdy mogłam jeszcze rzucić mu nieco kwiatów na drogę życia. Dziś jestem dla niego tylko krzyżem posłanym przez Boga dla wypróbowania jego łagodności, jego dobroci, jego cierpliwości niezłomnej. O Boże, użyj to wszystko na jego i na moje zbawienie!“

Biedactwo niema jednak czasu boleć długo nad swoją stratą; bieda goni biedę, jak to zwykle na świecie bywa. Już w tydzień po zasłabnięciu myśl jej szarpie się wśród materyalnych trudności:

„*Dnia 3 maja.* Życie moje coraz to nową napływa goryczą. Fatalny stan naszego majątku wróży same kłopoty, zawikłania, przeróżne niedostatki, a może i przymusowy kilkoletni pobyt za granicą. O tej ostatniej ewentualności myśleć nie mogę, chyba, że mi Bóg przysporzy sił moralnych

i fizycznych, w stanie bowiem, w jakim dziś jestem, nie zdołałabym jej przenieść“...

Istotnie siły fizyczne były bardzo liche, tak, iż ks. Izabella, nie przestająca czuwać zdała nad wychowanką, urządziła nawpół z Kickim, którego służba i interesa zatrzymywały w Warszawie, wyjazd Zosi na lato do Puław, gdzie w spokoju, otoczona dawną atmosferą rodzinną, miała odbyć kuracyę. Pobytowi temu zawdzięczamy kilka listów, ukazujących charakter jej z wręcz innej strony, niż zapiski w albumie. W miejsce tkliwej a rzewnej piękności, wymodelowanej współczesną poezyą, a równocześnie rozpieszczonej i zranionej przez życie, występuje naraz istota praktyczna, umysł zdolny do obejmowania cyfr i poruszania się wpośród nich nieco gorączkowo może, ale z pełną jasnością wzroku. Znać, iż po śmierci ojca zaczęła sama zawiadować własnym majątkiem, oczywiście z daleka i z grubsza. W takich wypadkach rola żony wobec ukochanego, ale niezbyt praktycznego męża, staje się nader trudną: biorąc istotnie w rękę ster wspólnej nawy, musi dla własnego zaspokojenia nadrabiać czułą pokorą. Taką też tchnie pierwszy z zachowanych listów Zosi do męża, list, w którym porównuje się sama do bluszczu wijącego się na pniu dębowym. Następnie pisze:

„*Puławy, 12 czerwca 1820 r.* Dojechałam tu wczoraj bardzo późno. Księżna i panny przyjęły mnie z radością, która mi z pewnością bardziej pomoże, niż błoto marienbadzkie. Dano mi śliczny i wygodny pokój, do którego Lila również się przeniosła. Podróż niezmiernie mnie zmęczyła; cierpię bardzo i czuję się tak osłabioną, że istotnie ponad te 18 mil nie byłabym mogła więcej ujechać. W Kozienicach rozstałam się z Reinbergerem — we czwartek ma tu przyjechać, aby zarządzić początek mojej kuracyi, sądzi, że po podróży potrzeba kilku dni wypoczynku. Zastałam tu ks. Konstantego, Adasia, pp. Wierzchowskiego i Niemcewicza, który jest nadzwyczaj „łaskaw“ i dobrego humoru. Dzień ślubu Anielki jeszcze nie oznaczony, będzie zależeć od powrotu Morawskiego z Warszawy. A teraz, mój drogi, wypisawszy ci wszystkie wiadomości z Puław, zamierzam ci dać

kilka komisów. Naprzód, proszę, powiedz Kozłowskiemu, że *Zameczek jest pod procesem (sic)*, więc niema czasu do stracenia z wniesieniem naszych pretensyj — przecież 8000 fl. wiele dla nas znaczy. Po drugie, zróbcie z Teresą ligę obronną, aby Emmetka (?) się nie poświęciła i nie przyjechała spędzić tu lata ze mną, bo Lila przyrzekła mi, że zostanie, a mieć Emmetkę *en tiers* byłoby wręcz nieprzyjemnem. Daję wam *carte blanche* do powiedzenia, co wam się podoba, byleście zdołali mnie od niej uwolnić. Tysiące wyrazów czułości, uszanowania i wdzięczności (tylko nie zapomnij) twojej matce, tak dobrej w ogóle i tak bardzo dobrej dla mnie. Powiedz, że ją proszę o wydzielenie dla mnie cząstki błogosławieństwa, jakie ci codziennie przy pacierzu posyła. Mnóstwo serdeczności także dla Pepi i dla Teresy; chciałam do niej pisać, ale pokazuje się, że poczta, przychodząca pojutrze do Warszawy, wyszła stąd dziś rano. Poślij mi, proszę, za pierwszą okazyą lub dyliżansem tabliczkę pachnącego mydła, ale nie przeźroczystego, kalendarz z mego biurka i najmniejszy z białych kartonów do rysunku. Przypominam ci, doglądaj Ambrosiewicza, aby trzymał drzewo tak, jak mu kazałam; trzeba też będzie sprowadzić owsa. Kiedy wyjeżdżasz na Podlasie? Nie zapomnij, że ze wszystkich wierzycieli Sernicki najbardziej potrzebuje swoich pieniędzy i że mam wciąż jego błagalny wyraz przed oczami. Mój drogi, miej staranie o twoich interesach i o moich, zaklinam cię, myśl o tych kochanych istotkach, których tak pragniemy. Zrób mi też przyjemność i przeczytaj *Le Comte de Valmont*. Wyczekuję z największą niecierpliwością listu ze szczegółami wszelkiego rodzaju. Kończę, aby nie chybić poczty. Mój ukochany, mój drogi, ściskam cię po tysiąc razy z głębi serca kochającego cię nadewszystko teraz i zawsze, bo nie mogłoby już żyć bez tego.

Zofia".

„*P. S.* Proszę cię jeszcze, poślij wyciąg działu Izdebskiemu. Księżna, Lila i wszyscy tu kazali cię pozdrowić. Odemnie ukłony Heffelemu; odwiedzaj go od czasu do czasu. Piwo poślę ci wkrótce".

Adres oczywiście francuski, podobnie jak list:

„Monsieur le Comte Louis Kicki, Lieutenant-Collonel, Aide de Camp de Son Alt. Imp. le Grand Duc Constantin — à Varsovie, Mazowiecka ulica“.

W następnym liście z 15 czerwca donosi, że się czuje nieco zdrowsza, przyczem tak dobrze wygląda, iż ją to gniewa za każdym razem co się patrzy w lusterko. Potem jednak i po zwykłych czułościach przechodzi wnet do interesów:

„Bardzo mi przykro, że p. Wielopolski mnie nie płaci po swoim pięknym liście — niechby przynajmniej podwyższył procenta. Co do Hermanowiczowej chciałabym koniecznie, aby Kozłowski dał jej przynajmniej połowę, bo jest istotnie biedna, a przytem nieznośna i mamy ją przez cały rok na karku. Co zaś do pani Spinek, upomina się za późno, to bardzo prosta wymówka. Księżna jedzie na dwa dni do Podzamcza; zdaje się, że ślub odbędzie się dopiero po 24-ym. — Orłowski wydaje starszą córkę za jakiegoś pana, którego majątek graniczy z Łysowem; mam wrażenie, że ma wielką ochotę go kupić, ale że udaje obojętność, aby go dostać bardzo tanio. Zapytaj, proszę, Kozłowskiego, czy Wężyk jest zahipotekowany na Łysowie, bo w takim razie możnaby tę sumę zostawić, coby ułatwiło sprawę z Orłowskim. Na wszelki przypadek zażywam „chytrości“, powiedziałam mu bowiem, że tem mniej ustąpię na Łysowie, że mam kupca na Goślice. Posłałam Stanisława do Rykowa, ma wrócić przed 1-ym. — Bardzo się cieszę, żeś już odbył ceremonię, która mi tak bardzo leżała na sercu, ale rozumiałam ją trochę inaczej, niż to, co mi mówisz. Zresztą X. Paweł powie ci wszystko, czego w tej sprawie potrzeba, a masz do niego zaufanie. Do widzenia, mój najdroższy, tulę się do twego serca, do tego najlepszego serca, w którem jest obecnie całe szczęście moje.

Zofia“.

Na czem polegała wzmiankowana tu „ceremonia“? Może otrzymanie rozgrzeszenia po jakim pojedynku lub innym zarezerwowanym grzechu, o jaki nie było trudno w epoce, wyrosłej na zakwasie rewolucyi, wolteryanizmu i wielkich moralnych i politycznych przewrotów. Pułkownik Kicki był po-

nad wiek swój młodym, podobnie jak niejeden z wojowników napoleońskich, którzy dopiero po zakończeniu wojen zaczęli żyć życiem swem własnem. Snać ani kilkanaście lat służby, ani szlify, ani ślubna obrączka nie ujarzmiły w nim żywiołowego junactwa, opiewanego przez siostrę w przytoczonym powyżej wierszyku. Nie zawsze jednak się szczęściło, co nań ściągało macierzyńskie niemal łajania od żony. I teraz znów uległ jakiemuś wypadkowi, jak to widzimy z następnego listu Zosi:

„Puławy, 19 czerwca 1820 r. O twoim wypadku dowiedziałam się dopiero z listu przywiezionego przez p. Kochanowskiego. Dotąd mi go tajono, i słusznie, bo nicby mnie nie było wstrzymało od natychmiastowego wyjazdu. Szczęściem nie było złych skutków — ale, mój najdroższy Luciu, czyż cię nigdy nie przekonam, że obecnie zamiast jednego, posiadasz dwa życia i że to z nich, które tak lekkomyślnie narażasz, najmniej z dwojga do ciebie należy — słowem, że moje życie zupełnie jest od twojego zależnem i że nie uwierzę, że mnie kochasz, dopóki od ciebie nie uzyskam ostrożności, koniecznej dla mego spokoju. Czyżby takie wypadki tobie jedynemu się zdarzały, gdybyś przez wzgląd na mnie zechciał choć odrobinę uważać na siebie. Wybacz, że tak długo o tem piszę, wiem, że cię to nudzi, a nic nie pomoże, ale jakże nie mówić o tem, czego serce pełne? — Byłam w tych dniach cierpiąca, miałam napad migreny, a nadto czas jest tak brzydki i zimny, że żadne leczenie pomódz nie może. Zaczęłam wszakże ową kuracyę; dotąd polega tylko na żętycy i na okładach. Żętycę piję zrana, po ostatnim kubku idę na Mszę, poczem zgromadzamy się na śniadanie, zostajemy chwilę razem, a następnie każdy idzie do siebie. O 2-ej obiad, o 6 ej herbata, o 8-ej wracam do siebie i kładę się, aby robić okłady. Księżna wyjechała dziś rano do Podzamcza, ks. Konstanty jedzie jutro z synem na tydzień do Międzyrzecza, Morawski pisze, że nie będzie mógł wrócić przed początkiem lipca. Pani Jezierska była tu wczoraj z mężem i Piotrowskim, który więcej krzyczał, niż kiedykolwiek; Kochanowski dziś znowu tędy będzie przejeżdżał. Bardzo by-

łam wzruszona pamięcią twoich sióstr i bransoletka (pewnie z włosów!) bardzo mnie ucieszyła. Pani Khittel miała odpowiedź od p. Stanisławowej, która jej nie oddaje tych 12.000, jakie miałam nadzieję dostać. Orłowski ofiaruje mi natychmiast 70 000 fl. na czas nieograniczony, po 6% z hipoteką na Łysowie. Zapytaj, proszę, Kozłowskiego, czy je mam wziąć, a jeżeli tak, niechaj mi pośle zaraz formę kwitu, jaki mam wystawić, żeby mnie nie złapali (po polsku). Byłam zmuszona dać Sernickiemu 3.000 fl. z pieniędzy, jakie miałam ze sobą, gdyż inaczej byłby stracił bardzo dobrą posessyę. Teraz zatem m n i e jesteś je winien, mój drogi, ale proszę cię, abyś mi je k o n i e c z n i e oddał, bo po wyjeździe Księżnej będę tu żyła na własny koszt, przytem będzie trzeba dać cośkolwiek każdemu ze służby i co najmniej 60 fl. Reinbergerowi zapłacić. Czyś odebrał wszystkie książki, które byłam pożyczyła? Poślij mi, proszę, parę pięknych, długich, białych rękawiczek. Kiedy jedziesz na Podlasie? P. Alfred, który tędy przejeżdżał, mówił nam, że import drzewa z północy został dozwolonym do Anglii i że możnaby sprzedawać je bardzo drogo. Pomyśl, czyby się nie dało zrobić co w tym kierunku z drzewem ze Suchejwoli. Prócz tego ofiarował mi jeszcze 9.000 fl. za owe łodzie — zważywszy zaś, iż Wendorff pisze, że nie mógł sprzedać wełny, może należałoby na to się zgodzić, gwoli tego ohydnego terminu św. Jana? Zapytaj Kozłowskiego. — Po tak zabawnym liście do ciebie i dwóch do twoich sióstr, kończę, mój najdroższy, bo jestem bardzo zmęczona. Ściskam cię i kocham z głębi serca — masz w niem dobrą lokacyę.

Zofia".

Łatwo pojąć, że była zmęczona! Z samej urywanej treści listu znać, że myśli, projekty i troski kotłowały w biednej, zbolałej głowie, że cyfry, jak to bywa w podobnych okolicznościach, stawały murem pomiędzy nią a światem idei i światem natury. Taki stan bywa bardzo bolesny, zwłaszcza, gdy data nieubłaganego terminu z każdą chwilą się zbliża, jakoby zmora, przed którą nie masz ucieczki, ani obrony. To też czytamy pod dniem 22 czerwca:

„Pojutrze św. Jan. Z wielką trwogą myślę o tobie; mój drogi Luciu, jakże sobie dasz rady? Czy cię wierzyciele nie zamordują? Gdybym przynajmniej mogła być z tobą, aby cię bronić! Czy Dorant powrócił? Czy magazyn sprzedany? Czemu nie jedziesz na Podlasie, a zwłaszcza do Lublina? Nie dajesz mi żadnych z obiecanych wiadomości. Jestem bardzo cierpiąca, miewam zaduszenia. Nie mogę używać na Puławach, bo najmniejsza przechadzka sprawia mi duszności, a ruch powozu mi szkodzi. Ks. Konstanty w Międzyrzeczu, Niemcewicz wyjechał do Warszawy, jesteśmy więc same. Czytam dużo i zajmuję się".

„*Dnia 23 czerwca.* Mój drogi, nie odpowiadasz nic co do owych 70.000 Orłowskiego, który w tej chwili wychodzi odemnie, oświadczywszy, iż będzie zmuszony inaczej niemi rozporządzić, jeżeli w ciągu najbliższych dni nie będzie miał decyzyi. Na miłość Boską napiszże mi tak lub nie! Prosiłam go też, aby zasięgnął informacyi co do Pusłowskiego; są jak najlepsze. Jestto człowiek bardzo bogaty i bardzo akuratny, który nigdy nie uchybił danemu słowu. Jeżeli Oborski trwa w chęci kupienia Goślic, zapytaj go, jakiego rodzaju ma walory: to jest, czy obligi, pod jaką datą, na jaki termin i poślij mi o tem wiadomość; Orłowski bowiem zna kogoś, mogącego przekonać się na miejscu, czy nam bezpiecznie będzie je przyjąć. Posyłam ci z tem sztafetę, bo sądzę, iż wśród okropności dnia jutrzejszego, owe 70.000 zupełnie pewne, mogą ci być bardzo pomocne. Proszę cię usilnie o szczegółowe wieści, jak się wszystko odbyło, bo tak nic nie wiedząc, wystawiam sobie, że jest jak najgorzej. Obiecują mi jeszcze 100.000 fl. — czy będą potrzebne? Może na Nowy Rok? Na miłość Boską odpisz mi na to wszystko jutrzejszą pocztą. Adieu, mój najdroższy, ściskam cię i kocham z głębi serca".

Nie chce się wierzyć, że te wyrazy, jak walory, obligi i t. p. wyszły istotnie z pod pióra, przywykłego spisywać wiersze Lamartine'a lub poetyczną prozę Chateaubriand'a. Przypomina to pewną damę z tychże czasów, która wczesnym rankiem biegała po gospodarstwie tak, iż każde jajko,

każda garść kaszy przez ręce jej przechodzić musiała, a następnie odziana w czarowny szlafroczek, uperfumowana i otoczona drogocennemi cackami, kładła się na kanapkę i resztę dnia spędzała w postaci *d'une beauté incomprise.* Tylko że u Zofii Kickiej nie było żadnego udawania, ani szukania effektów, tylko koniecznością życia wywołane kontrasty. Po ostatnim liście odebrała ich aż trzy od męża, którego wierzyciele nie zamordowali, tak, iż zdołał sprawy na razie załatać, dzięki po części środkom wynalezionym przez Zosię. Stąd weselszy ton na wstępie jej listu z 27 czerwca i zapowiedź, że będą szczęśliwi „na złość zdrowiu i pieniądzom". Zaraz potem atoli następują gorsze o zdrowiu tem wiadomości, z konkluzyą, że „Girardot miał słuszność, mówiąc, że powinno się zwłaszcza na jej płuca uważać". Dalej znów sprawozdanie ze swych czynności w sprawach pieniężnych i aż dwanaście zapytań w tym samym kierunku, na które mąż ma jej dać szczegółowo dwanaście odpowiedzi. Ostatnie brzmi: „Czy sprzedałeś konie? Księżna pozwala mi wybrać cztery najmłodsze z pomiędzy siedmiu klaczy; z tem czekam na ciebie, ale tymczasem sprzedaj tamte. Nie mam stąd nic do doniesienia, czas paskudny i jesteśmy zupełnie same. Podziękuj bardzo Jeananetce (księżnie Łowickiej) za jej pamięć i powiedz jej mnóstwo czułości odemnie. W tych dniach napiszę do Gabryeli (Zabiełło). Powiedz Morawskiemu, że co do koni Anielka dba tylko, aby były spokojne i że nawet nie spostrzeże, czy mają ogony lub nie i że byłaby bardzo niezadowolona z tak niepotrzebnego wydatku. Na prezent radzę mu biały szalik kaszmirowy i zasyłam moje ukłony". Dalej czułości dla męża i tegoż matki.

„Puławy, 29 czerwca. Mój najdroższy, tylko słówko dzisiaj, bo mi bardzo niedobrze, a kto wie, czy list cię jeszcze w Warszawie zastanie, bo choć mi nic o tem nie piszesz, sądzę, że już wyjazdu do Lublina odkładać nie możesz i cieszę się na twój przejazd tędy. Mam nadzieję, żeś odebrał mój ostatni list i czekam niecierpliwie odpowiedzi *à mes douze questions.* Sprzedajcie Łysów choćby osobno, wszystko lepsze od tych okropnych interesów. Adieu, mój najdroższy, koń-

czę, bo mi istotnie bardzo niedobrze. Ściskam cię, kocham i kochać będę zawsze i ponad wszystko.

Zofia".

Więcej już z tego czasu nie pozostało listów; jest natomiast w albumie zapisana w dwa tygodnie później notatka:

„*Puławy, 15 lipca 1820 r.* Ślub Anielki odbył się 8 lipca i przypomniał mi własne moje bolesne wrażenia przy rozstaniu z całą moją przeszłością wobec nieznanej przyszłości. Anielka byłaby mogła ponadto mieć i inne powody niepokoju, dotyczące zwłaszcza człowieka, za którego wychodzi, ale dzięki Bogu widziała tylko zewnętrzną stronę tego związku, wesołą, świetną, rzecby można — próżną (*frivole*). Serce jej nie ucierpiało i już teraz czuje się szczęśliwą. Dziwi mnie to, ale i cieszy, bo mi niezmiernie chodzi o jej szczęście; sądzę zaś, że skoro ma w sobie dość uczucia, aby zadowolnić swych bliskich, nikogo nie zasmucić i módz sama być długo kochaną, to nie należy jej życzyć owej wrażliwości, która każdy cierń życiowy na dno serca wbija i z każdej rany długo krew wyciska. Bodaj mojej słodkiej, poczciwej Anielce szczęście jak najdłużej świeciło!"

Jak się odbyła owa 18-milowa powrotna droga z Puław do stolicy, czy Kicki przyjechał po żonę, czy też jechała jak poprzednio z lekarzem i panną służącą — nie wiemy wcale. Podróż musiała jednak wypaść niezgorzej, skoro ton następnej zapiski znacznie jest weselszy.

„*Warszawa, 1820 r.* Spędziłam w Puławach dwa i pół miesiąca wśród spokoju, zajęcia i cichej wesołości. Był to jeden z najprzyjemniejszych okresów mego życia, a zawdzięczam go głównie poczciwej mojej Lili, która sama ze mną pozostała. Odbyłam tam kuracyę, która mnie nieco postawiła na nogi; daleko mi do wyzdrowienia, ale odzyskałam dość sił, aby módz ukrywać to, co mi jeszcze dolega — zamierzam nigdy już o tem nie mówić. Powróciłam tu 23 sierpnia".

Biedna Zosia chyba kłamała sama przed sobą, pisząc o „jednym z najprzyjemniejszych okresów jej życia" — i nie wiadomo, kiedy więcej wierzyć jej słowom: w listach czy

w albumie? A może też czas przebyty w ukochanej z dawnych lat okolicy wydał jej się tak miłym w porównaniu z niemiłą w lecie Warszawą i bliższem niż w Puławach zetknięciem z przykremi interesami. Jej samej później wydało się to dziwnem, gdyż po długich wypisach z autorów francuskich czytamy znów:

„Warszawa, 10 listopada 1820 r. Już nigdy nie piszę w tej książce, to zaś, co nakreśliłam przy końcu, tak źle wyraża to, co chciałam powiedzieć! Tracąc zwyczaj wypowiadania tego, co czuję, straciłam zarazem potrzebę zapisywania tych uczuć. Cała ostatnia zima przeszła wśród tak dotkliwych cierpień moralnych i fizycznych, iż nie pojmuję, że mnie nie zabiły lub conajmniej nie wpłynęły gorzej na mój charakter. Został mi po nich wszakże ciężki osad ogólnego smutku, od którego chyba szczęście macierzyństwa uwolnić mnie zdoła. Nie śmiem wierzyć w nie, choć jestem przy nadziei; mam wciąż wrażenie, że stanie się tak, jak ostatnim razem, albo że umrę w słabości. Jedyne szczęście, jakiego śmiem być pewna, to nieodmienna i nieomylna miłość Ludwika, to moje ciepło, moja podpora, moja ochrona i moje wszystko. Krom tego szczęścia, dzięki któremu dużo złego znieść można, zda mi się, żem ledwie dotknęła ustami przeznaczonej mi czary miłości. Zdjęłam w tych dniach żałobę po moim ojcu — było to jakoby bolesne zerwanie łączącego nas jeszcze węzła“.

„Dnia 15 grudnia 1820 r. Co za mnóstwo rozlicznych cierpień rozrywa sobie moje biedne ciało! Wytężam całą wolę, aby się nie poddawać, ale czuję, że już jej wyczerpuję ostatek i że mi krew krzepnie od przejmującego mnie zimna. Potrzeba mi słońca i ciepła, a drżę na myśl osamotnienia w podróży na Południe, na myśl o śmierci gdzieś tam — za granicą. Sama śmierć, dzięki tym cierpieniom, zda mi się mniej straszną: czułabym mniej żalu za tem nędznem życiem, więcej ufności, żem odpokutowała choć cząstkę mych grzechów. Upłynął ten smutny rok. W następnym widnieje mi nadzieja macierzyństwa, ale już mi brak sił, aby się radować nawet urzeczywistnieniem najgorętszych mych pra-

gnień. O Boże litościwy, policz mi za ekspiacyę te wszystkie boleści!"

Nowy Rok ze wszystkiemi swemi zobowiązaniami, terminami, rachunkami i t. p. jest stanowczo za blisko Świąt Bożego Narodzenia, których radość niejednemu psuje zdwojeniem lub zaostrzeniem troski, a w każdym razie zaprzątnieniem myśli. Na dobrą sprawę należałoby datę terminową przenieść z 1-go na 15-go — interesa na temby nie straciły, a serce zyskało: byłby, jak to mówią, „wilk syty i koza cała".

Wstęp w r. 1821 dał się widocznie państwu Kickim srodze we znaki, nie bacząc, iż zdrowie Zosi wymagało swobody i spokoju. Zda się, że wśród ówczesnych trudności nie doznała pomocy od brata; to pewna, że od zgonu ojca nie wspomina go nigdy. Wiadomo tylko skądinąd, oraz z jej wzmianki o działach, że był przy życiu. Na Św. Jan Zosia żałowała, że nie może „bronić" męża przed wierzycielami; na Nowy Rok byli razem i razem cierpieli:

„*Warszawa, 8 stycznia 1821 r.* Powiedzianem jest ogólnie, że „troski materyalne są niczem" — a jednak wieleż w nich goryczy! Dziś po raz pierwszy wycisnęły mi łzy i sądzę, że nieraz jeszcze z ich powodu zapłaczę, zanim się oswoję z całem ich udręczeniem i dojdę do owej górnej obojętności, o której tak lekko mówią ludzie, którzy nie zaznali ich nigdy. A przecież być skazanym na ustawiczne wybiegi i łatania, nie używszy na niczem, być bezustannie napastowanym przez wierzycieli za długi, których się nie zaciągało, być zmuszonym każdego dnia odmawiać sobie coś więcej z przyjemości życia, sprzedawać rzeczy, o które się bardzo dbało, a w końcu przewidywać całkowitą ruinę — toż to cierpienia, aż nadto zbliżone do cierpień moralnych".

Zosi przyjaciół Hiobowych nie brakło, jak widać z tego i późniejszego jeszcze ustępu; jest to rasa nieśmiertelna i co najgorsza rekrutująca się nieraz wśród dobrych i życzliwych ludzi, ale którym brak albo sercowego taktu albo też odwagi potrzebnej do dzielenia cierpień bliźnich; dlatego też usiłują wmawiać w nich i w siebie, że te cierpienia są „niczem"; patrząc na chorego, twierdzą z góry, że „mu nic nie będzie",

lub że zupełnie odzyskał siły, bo mógł „bez pomocy przejść przez pokój“; patrząc na piękne dziewczę, wydane za starego zrzędę, cieszą się: „Jaka szczęśliwa!“... Nie dziw, że innym, a między nimi i Zosi, nie w smak idą podobne pociechy.

„Jedną z rzeczy — pisze — która mi najgorzej dokuczyła w moich biedach, to dziwny sposób pocieszania, używany dokoła mnie, a polegający na zaprzeczeniu istnienia cierpień na to, aby mnie uspokoić. Zamiast mnie pożałować, przypisują wszystko mojej wyobraźni: czasami wydało mi się to wręcz okrucieństwem. W chwilach bólu, o którym mogłam najlepiej sądzić, bo go doznawałam, w chwilach niepokoju lub moralnego przygnębienia, gdy potrzebowałam się wypłakać przed kimś, któryby żal mój odczuł i zrozumiał, odbierałam w odpowiedzi lekki żart lub uśmiech, wobec którego łzy moje krzepły i kamieniem na serce spadały“.

Widzi się stąd całą scenę: młodą kobietę chorą, przewidującą zgon przy słabości i drżącą o przyszłość swojej sierotki, a obok niej wielce zaambarasowaną damę, nie wiedzącą, co i jak odpowiedzieć, więc ratującą się bezmyślnym konceptem i śmiechem. Okoliczności jednak nie składały się na uspokojenie. Dnia 10 stycznia 1821 r. pani Kicka zapisuje z wzruszeniem pierwszy ruch swego dziecięcia; na stronie następnej zaś wlepia nekrolog zmarłej w połogu Cecylii z Dembowskich Stanisławowej Grabowskiej, żony ministra wyznań i oświaty. Takie rzeczy robią czasem ogromne wrażenie chorym, wyciągającym z losu drugich horoskop dla siebie. Tym razem szczęściem przewidywania zawiodły tak, iż po ciężko przebytej zimie i wiośnie czytamy:

„*Warszawa, 27 czerwca 1821 r.* Dnia 2 czerwca o godzinie 8½ wieczorem przyszła na świat moja Marynia. Potrzebaby mi nowych słów dla wyrażenia tego, co odczułam, słysząc jej pierwszy krzyk. Przypomniało mi się powiedzenie pani Goltz, że ten moment może być tylko porównany z chwilą, w której dusza zbawiona wstępuje do nieba, bo na ziemi nie masz podobnej radości! Nie domyślałam się wtedy i długo jeszcze mi ukrywano, że w skutku zmartwień,

jakie przeszłam w czasie ciąży, to biedne maleństwo przyszło na świat tak chude i słabe, iż się obawiano, że nie dożyje do rana. Ale Bóg, oszczędzając mi ciosu, który byłby mnie wtrącił w grób, zachował mi tę dziecinę. Żyje, jest zdrowiuteńka i prawie w oczach tyje; jest ładna, podobna do mojego Ludwika".

„Dnia 30 czerwca. Moja maleńka została ochrzczona i to była znów chwila pamiętna i bardzo słodka. Chrzcił ją X. Szymonowicz; rodzicami chrzestnymi byli: Księżna z p. Zabiełłą (Henrykiem), moja teściowa z p. Grabowskim, p. Platerowa z p. Heffele, Cecylia z p. Gutakowskim i Teresa z p. Platerem. Nadano jej imiona: Marya, Elżbieta i Henryetta".

Tak więc najżywszym pragnieniom Zosi stało się zadość: miała ukochanego męża, miała własną dziecinę, miała w Księżnie najczulszą z matek, miała — takby się przynajmniej zdawało — dobrych i szczerych przyjaciół. Panią Gabryelę Zabiełłową kochała i ceniła bardzo wysoko; mąż tejże Henryk Zabiełło, był pono jednym z najprzyjemniejszych ludzi swego czasu. Dom Gutakowskich w Górze i dom p. Sobolewskiej w Grzybowie stały dla niej zawsze otworem; „Jeannetta" ks. Łowicka żywiła dla niej żywą sympatyę. A jednak pierwsza zapiska w albumie po opisie chrzcin zawiera gorzką skargę na niestałość i na brak odwagi cywilnej w przyjaźni. Przyczyny tego ostatniego ustępu niepodobna dzisiaj zrozumieć; czy jej i mężowi brano za złe bliższe stosunki z dworem, z Belwederem, czy tu w ogóle wchodziły w grę pobudki polityczne lub osobiste i to pieniężnej natury? Z daleka ma się znów ochotę posądzić ją o chorobliwe, zbyt gorące branie do serca jakiegoś uchybienia, na które zdrowy człowiek małoby zwrócił uwagi:

„Warszawa, 5 lipca 1821 r. Zdaniem mojem w powieściach to nie charakterystyka kochanków bywa zazwyczaj przesadną, bo przecież często się po świecie spotyka miłość szczerą, bezinteresowną, namiętną. Przesadnym natomiast bywa opis przyjaźni: przyjaciół takich, jakich nam malują, jacy czuję, że powinniby istnieć, nie widzę nigdzie. Rzadko

spotykam u tych, których mienię być moimi, tę odwagę przyjaźni, którą sama tak gorąco odczuwam, odwagę stawania po ich stronie wbrew wszystkiemu i wszystkim, odwagę odwiedzania ich i pielęgnowania, gdy to może ściągnąć jakie nieprzyjemności lub szkodę. Rzadko też miałam pociechę, aby mnie w moich biedach z równą uwagą wysłuchano do końca, aby mnie zrozumiano i do cierpienia mego jakąkolwiek przywiązano wagę: nigdy nie otrzymałam najlżejszej przysługi kosztem najlżejszej ofiary. W początkach, sądząc drugich po sobie, prosiłam z ufnością o tysiące rzeczy; pierwsze odmowy były mi przykre, ale wierzyłam w przedstawianą mi niemożność. Dziś często powtarzane doświadczenie dowiodło mi, że to zwykły bieg rzeczy, to też nie wystawię się już więcej na podobne przykrości".

Jeżeli tu Zosia ma na myśli doznane odmowy poręczeń lub wprost pożyczek, to dowód, jak słusznem jest hiszpańskie przysłowie, twierdzące, że *una gota de hiel hace amarga mucha miel,* t. j. że starczy kropelki żółci, by wielką ilość miodu przesycić goryczą. Radość z urodzenia córeczki rozwiała się szybko wśród dręczących kłopotów. Następna zapiska nie weselsza:

„*Warszawa, 17 lipca 1821 r.* Jestem zgnębiona troską i przykrościami wszelkiego rodzaju. Czuję, że ten nawał zmartwień zdziera mi resztę złudzeń co do wszystkiego i wszystkich. Kocham już tylko Ludwika, moje dziecko i Księżnę: im tylko jestem potrzebna, przez nich tylko kochana. Boli mnie też, iż czuję, że te szarpania zabijają we mnie łagodność, zamykają serce, a rodzą w niem podejrzliwość i brak cierpliwości, a to są wady sprzeczne z moją naturą. I to jeszcze mnie martwi, że znając nieskończoną wartość zsyłanych mi przez Boga krzyżów, nie zdołam się nią przejmować. Serce moje co chwila się buntuje; cierpię tak wiele, a bez zasługi, bez żadnego owocu. Bóg w miłosierdziu swojem chce, abym tu, gdzie wszystko jest przemijającem, odpokutowała za moje niezliczone grzechy, a ja przez niecierpliwość w nowe przewinienia zamieniam te łaski. Boże zmiłuj się nademną! Przyłącz do każdego krzyża siłę pod-

dania się; jestem zbyt słabą, by sama na nie się zdobyć, ale Cię o nie z głębi serca proszę. Nie odmawiaj mi go“.

„*Warszawa, 1 października 1821 r.* Od 15 lipca do 5 września przepędziłam w Górze czas tak spokojny, tak miły, że mi dusza wytchnęła po tylu biedach wielkich i małych. Zda mi się, żem nabrała nowych sił, aby dalej cierpieć, jeśli będzie potrzeba. Ten pobyt w Górze zostanie mi w pamięci, jak podróżnemu wpośród znojnej drogi pamięć świeżej kąpieli w uroczem ustroniu. Odzyskałam część mego zdrowia i odnajduję się jakoby po długiej niebytności, zmieniona, zestarzała, ale przecież ta sama co dawniej, gdy przeciwnie podczas długiej epoki mych cierpień nie mogłam się poznać. Odzyskałam zdolność do czynu i panowania nad sobą, dwóch rzeczy koniecznych, aby módz być znośną dla siebie i drugich. Zawdzięczam również wiele słodkim chwilom, spędzonym przy moim aniołku: mam w nim skarb nadziei, z którym mi bardzo dobrze. — Cierpiałam tak wiele, doznając od innych tak mało zrozumienia i pociechy, iż radabym przynajmniej umieć drugich pocieszać. Nieraz, wśród długich godzin owych dwóch ubiegłych lat chciałam spisać wszystko, co mnie od ludzi bolało i utworzyć zeń rodzaj małej rozprawki dla własnego użytku o sposobie postępowania wobec osób, u których cierpienia fizyczne zachwiały siłę moralną. Musi to być sztuka bardzo trudna i bardzo mało znana, skoro wśród tylu osób, które usiłowały mi ulżyć, nie było jednej, którąby mi nie była wyrządziła mniej dobrego, niż złego. Starałam się ukrywać moje cierpienia, aby nie słyszeć co mi o nich mówiono. Dziś żałuję, że nie napisałam owej rozprawki, bo już nie odnajduję moich myśli, a szkoda, gdyż byłaby mi się przydała“.

Widocznie traktowano Zosię jako chorą na nerwy, co naówczas i później jeszcze uchodziło raczej za błąd charakteru, niż za słabość fizyczną. Dziewczętom wpajano, że ból nerwowy nie jest istotnym bólem, że wypada raczej wstydzić się go, niż się nań żalić. System ten miał bardzo dobre strony, choć niekiedy stawał się niesłusznym i niemal okrutnym, gdy choroba była prawdziwą, bardzo dotkliwą

i, jak u p. Kickiej, podkopującą cały organizm. Z jesieni i zimy 1821 — 1822 r. nie mamy żadnej zapiski; album zawiera już tylko bukiecik zasuszonych kwiatów, kilkanaście stron wypisów (między innemi wyciąg z *Myśli Maryi Leszczyńskiej)* i wycinek z gazety z nekrologiem Franciszki z Kochanowskich Kamińskiej, pióra Niemcewicza, jak oznaczają litery J. U. N. I to również było młode życie, skoszone przedwcześnie. Dopiero pod datą 6 marca 1822 r. spotykamy nową skargę:

„Czyż życie jest dla wszystkich tem, czem jest dla mnie — długim ciągiem goryczy, udręczeń i przykrości? Czy na każdego przychodzą takie dni, w których nowy ból rozbudza wszystkie dawne bóle na dnie duszy drzemiące, w których brzemię życia zda się wyrastać nad siły, aż wielka litość bierze nad sobą? Czyż skargi wszystkich tak są przyjmowane, jak moje, choćby najdrobniejsze, gdy mi się mimowoli wymykają z przepełnionego serca?“

Po tem już tylko jedna strona wypisów i — koniec. Połowa albumu pozostała pusta. Wiemy tylko, że w chwili, gdy kreśliła w nim ostatnie słowa, już zaczynał się dla niej nowy okres macierzyństwa, zawsze niebezpieczny i bardzo do przebycia ciężki. Krzepiła ją zapewne nadzieja wydania na świat syna, tem bardziej upragnionego, iż Ludwik Kicki był ostatnim imienia swego dziedzicem. Koniec wiosny zastał ją znów w Puławach, skąd jednak już żadnego nie mamy szczegółu, krom ostatniego listu, nakreślonego tuż przed odjazdem:

„Puławy, 1 lipca 1822 r. Nowe zmiany zaszły w planach, odkąd do ciebie pisałam, mój drogi. Heffele, niestrudzony w dawaniu nam dowodów przyjaźni, odwozi mnie sam do Krześlic. Wyjeżdżam zatem pojutrze, to jest we środę, przyjadę tam w piątek, przepędzę sobotę, niedzielę i poniedziałek, a we wtorek wyruszę do Warszawy. Że zaś Heffele już w sobotę do Warszawy podąży, pragnęłabym bardzo, abyś po mnie przyjechał, tak, abym tej drogi do Warszawy nie przebyła sama. Zdrowie moje z każdym dniem widocznie się polepsza. Wczoraj odebrałam twój list, za który dziękuję; sądzę, jak ty, że nam będzie najlepiej, jeśli wynaj-

miemy małe mieszkanie, ale cię błagam, abyś z tem na mnie poczekał, abym sama wybrać go mogła. Wiesz, że jest tysiąc drobiazgów, o które dbam, a zresztą choćby na mnie czekały gotowe pałace, chciałabym i tak wysiąść u tych poczciwych Platerów, którzy mi z takiem sercem ofiarowali gościnność, że zrobiłabym im przykrość, nie przepędzając u nich choćby dwóch tygodni. Już wszystko przyrządzili, nawet łuczywa, o których Plater pomyślał. Następnie czybyśmy nie mogli pod innem nazwiskiem wynająć połowę mieszkania Heffelego i w ten sposób oddać mu małą usługę? Zdaje mi się, że trzeba przyjąć jego 8000 fl., bo w Warszawie czekają nas znaczne wydatki, a w moim stanie zdrowia nie chciałabym się znaleść bez niczego".

„*Wtorek.* Księżna Wirtemberska wpadła tu wczoraj z Lilą jak bomba, co mi nie przeszkodzi jutro wyjechać, jeśli tylko czas będzie możliwy. Pierwszą noc spędzę w Ułężu, drugą w Łukowie. Księżna Sapieżyna bardzo uprzejmie ofiarowała mi swój dom; księżna Wirtemberska także i tak nalegała, że mi nie łatwo przyszło się wywinąć... Do widzenia, mój najdroższy Lndwiku, ściskam cię i kocham z głębi serca".

Na liście podpisu brak. Treść jego zda się życiem oddychać, a jednak myśl o bliskiej śmierci nie opuszczała piszącej. Snać podróż z Puław do Krześlic zaszkodziła jej zdrowiu tak, iż dalej jechać nie mogła, na testamencie bowiem, już w czerwcu poprzedniego roku skreślonym, stoi dopisek, potwierdzający wyrażone w nim rozporządzenia, datowany z Krześlic dnia 4 sierpnia 1822 r., a więc w pięć tygodni po napisaniu listu. W tym testamencie, po wyrazach głębokiej wiary i poddania woli Bożej (a było to przed samem urodzeniem córeczki), Zosia pisała:

„Całkowitą własność mego majątku zostawiam dziecięciu, które może mnie przeżyć, a dożywocie pełne i swobodne na tymże majątku temu najlepszemu z ludzi *(cet Etre excellent)*, z którym Bóg w dobroci swojej mnie złączył dla osłodzenia moich ostatnich chwil. Jedną z rzeczy, których opuszczając życie najbardziej żałuję, jest, żem z mojej strony

tak mało dla jego szczęścia zdziałać i tylko widok moich cierpień ukazać zdołała. Jedyną moją pociechą jest, że znosząc je i osładzając je z taką cierpliwością, pielęgnując mnie z taką słodyczą i odmawiając sobie dla mnie sporo uciech doczesnych, zdobył sobie na wieczność zasługi, których wartość niestety dopiero teraz istotnie oceniam. Mój drogi, mój najdroższy Ludwiku, proszę cię w imię miłości, jaką miałeś dla mnie i tej, którą dla ciebie zabieram do grobu, pracuj nad zyskaniem tych wiecznych dóbr, które nam pozostają po śmierci. Czytaj z gorliwością i pokorą książki, które ci do nich pokażą drogę, odrzuć wszystkie sprzeciwiające się wierze, radź się pobożnego i światłego kapłana, nie myśl, żeś sam dostatecznie pobożny, dla tego, że jak słusznie mniemasz, posiadasz wszelkie dobre skłonności i jesteś uczciwym człowiekiem: to może dosyć na ten świat, ale nie dosyć na tamten. Bóg wskazał nam przez Pana Naszego Jezusa Chrystusa, jak chce, byśmy Go kochali i służyli Mu. Alternatywa zaś wiecznego szczęścia lub mąk wieczystych dość jest ważną, by człowiek raczył oświecić się o tem, co ryzykuje i o tem, co traci. Zanim jednak Bóg da ci łaskę czynienia tego dla Niego i dla samego siebie, dopóki ci będzie potrzeba innej jeszcze pobudki, pomyśl, że cię o to proszę konając, że tem okażesz mi swoje przywiązanie i że mi Bóg pozwoli może patrzeć na twoje postępy w pobożności i stamtąd cieszyć się niemi“...

Dziecko swoje powierza pieczy p. Gabryeli Zabiełłowej, kładąc nacisk na religijność w wychowaniu, na wybór nauczyciela katolika, gdyby miała syna. Długo i czule wyraża wdzięczność i miłość dla Księżny, swojej drogiej matki, mówiąc, że gryzła się przez całe życie tem, że jej nie umiała okazać tych uczuć. Prosi, by za spokój jej duszy uczyniono fundacyę codziennej Mszy św. w jakim ubogim klasztorze i w każdą rocznicę jej zgonu udarowano jaką biedną wieśniaczą rodzinę w jednym z jej majątków podlaskich, żąda urządzenia tamże missyi, równie jak w Goślicach. Widocznie dobra te nie uległy sprzedaży, a stan fortuny powoli się polepszał.

Drugi egzemplarz, a raczej dopełnienie ostatniej woli, napisane jest w cztery dni po zatwierdzeniu pierwszego testamentu, 8 sierpnia, jeszcze w Krześlicach. Na wstępie mówi, że łatwo jej było przeszłego roku pisać o śmierci, bo jej bliskości na prawdę nie czuła i miała wiele szans pozostania przy życiu. Obecnie te nadzieje znikły, więc prosi tylko Boga o przyjęcie boleści jej zgonu. Instrukcye dla p. Zabiełłowej co do wychowania jej córeczki są dokładniejsze, dla męża błaganie, aby zaniechał gry, w którą sam żal po jej stracie gorzej zaciągnąć go może, przytem pożegnanie w wyrazach najgorętszej czułości. Opiekunem dzieci, wobec oddalenia bawiącego zagranicą brata, mianuje Henryka Zabiełłę, prosi, aby jej perły i szale tureckie sprzedano, a cenę ich użyto na poprawienie mieszkań chłopskich w jej dobrach, oraz na zakupno dla każdego z tych włościan po parze wołów i krowie. Snać owe perły i szale ceni bardzo wysoko, skoro dodaje, że z tego, co zostanie, należy całkowicie odrestaurować kościół w Krześlicach, a w Łysowie wystawić cerkiewkę, według danego przez nią rysunku. Dalej znów wspomnienie o Księżnej i o wszystkich, którzy miłością i pociechą napełnili jej życie.

Do tej stronnicy przyczepiona jest trzecia kartka, na innym papierze i bardzo już zmienionem pismem skreślona. Zosia urodziła znowu córeczkę — czy się to zaś działo w Warszawie, czyli jeszcze w Krześlicach, nie jest wyrażonem w pamiętniku hr. Natalii Kickiej, którego treść dotyczącą Zosi zawdzięczamy uprzejmości ordynata hr. Bispinga w Massalanach. Z kartki przy testamencie widzimy tylko, że niebezpieczeństwo, w jakiem Zosia zostawała w sierpniu w Krześlicach, na razie minęło, aby znów — jak to przy piersiowych chorobach bywa — ze zdwojoną gwałtownością powrócić. Ostatnia jej myśl jest jeszcze dla męża:

„W chwili, gdy na nowo i tym razem już stanowczo czuję tego konieczność, powracam do mego testamentu, mając przedewszystkiem na myśli ciebie, mój drogi, mój najukochańszy Ludwiku, ciebie, na którego nie mogę już patrzeć bez bolesnego wzruszenia. Po mojej własnej dla ciebie

miłości sądzę, w jakim będziesz stanie, czytając to, co tu piszę i obawiam się z twojej strony szaleństwa *(un coup de tète)*. Obawiam się, abyś nie chciał natychmiast puścić się na morze i Europę porzucić, osierocając podwójnie moje biedne dzieciny. Nie tam, mój najdroższy, szukać ci w żalu rozerwania myśli. Poświęć się cały tym biednym aniołkom, pielęgnuj je, pracuj bezustannie nad uratowaniem dla nich jakiej takiej fortuny, a zobaczysz, jak to szybko żal twój ukoi i przywiąże cię napowrót do życia".

Tu już daty brak — może chciała ją w dniu ostatnim zapisać. Podczas jednak gdy jej myśli goniły w przyszłość za mężem i dziećmi, córeczka jej bez wiedzy matki skonała. Zosia dopiero chyba w niebie dowiedziała się o tem — sama, zachowując przytomność do końca, zgasła dnia 5 listopada 1822 r. Umierając, liczyła dopiero lat 26, a mimo to śmierć czyniła na wielu wrażenie wyzwolenia:

„Ucieszyłaś się dla Zosi Kickiej — pisze, wracając z nabożeństwa żałobnego Księżna Łowicka [1]) — że połączyła się ze swoją córeczką. Myśl ta i mnie wciąż koi i nieraz o tem myślałam od dnia jej śmierci. Od czasu mego zamężcia już wielokrotnie byłam obecną na żałobnych nabożeństwach, nietylko przez względy światowe, ale nawet za osoby, które mnie bliżej obchodziły. Otóż licząc się naprawdę z sercem, przekonywałam się nieraz, że nie tak bardzo ich kochałam. Z Zosią przeciwnie: przekonałam się, ile mi była drogą. Z pociechą myślę, że poszła na spoczynek. Mówiono mi wiele dobrych rzeczy o Kickim. Jeśli to wszystko jest prawdą, Zosia tam z góry radować się będzie, a czas nam okaże, jak Pan Pòg ze smutku dobro wyprowadzać umie".

Zosia w ostatniej chorobie była pielęgnowaną przez siostrę męża, pannę Teresę, którą mimo oryginalności, a nawet dziwactwa, do jakiego miała dojść z wiekiem, ogromnie kochano i ceniono w rodzinie i po za rodziną. Ona to zapewne przesłała do Rydzyny księżnie Ewie Sułkowskiej opis

---

[1]) *Z korespondencyi Księżny Łowickiej.* (*Przegląd Polski*, tom XVII, str. 444).

ostatnich chwil bratowej, pono dziwnie pięknych, skoro się ich echo w różnych listach tegoczesnych odbija. Oto n. p. co pisze z Poznania do ks. Sułkowskiej ks. Ludwika Pruska, żona ks. Antoniego Radziwiłła:

„Poznań, 15 listopada 1822 r. Już wczoraj wieczorem dowiedziałam się o smutnej wieści, którą mi list kochanej Księżny donosi. Pojmuję i dzielę wszystkie uczucia, jakie wzbudzać musi zgon tej istoty, tak młodej i tak nabożnej. Boże mój! Jakże jej koniec był piękny i jakąż to pociechą dla wszystkich kochających było widzieć ją w ten sposób odchodzącą przed tron Boga dobroci, który ją wzywał. Oczywiście droga Księżno i *my* będziemy z wami się modlić za tę duszę błogosławioną, która, oswobodzona z więzów ziemskich, już bez wątpienia używa szczęścia bez granic. Dziecina jej będzie w dobrych rękach, jeśli Teresa ją weźmie. Jakże się w tych okolicznościach zachowała pani Zamoyska? Sądzę, że musi mieć niejakie wyrzuty sumienia na wspomnienie dawnego swego postępowania względem tej biednej Zosi. Co za szczęście dla biednej konającej, że mogła być pielęgnowaną, a co więcej zrozumianą przez Teresę! Eliza łączy się ze mną w przesłaniu wam najserdeczniejszych wyrazów współczucia. Wczoraj była formalnie chora — atak boleści i omdlenia zmusiły ją do leżenia przez cały dzień. Dziś jest jej lepiej“ [1]).

„Całe moje otoczenie prosi mnie również o wyrażenie sympatyi wobec zmartwienia Księżnej i boleści jej biednego

---

[1]) W środek listu kondolencyjnego wtrącone są ciekawe, ale w dziwnie wesołym tonie skreślone wiadomości z wielkiego świata: »Miałam listy z Werony aż po 4-ty b. m. Nie bawiono się tam wiele. Zebrania bardzo liczne były mało ciekawe: składały się wyłącznie z »królewskości« i dyplomatów. Król Neapolitański wesół i w pysznym humorze, oraz bardzo otyły król Sardyński z okrąglutką królową dopiero co byli przybyli. Król miał 11-go wyruszyć z synami do Rzymu, 12-go złożyć wizytę Papieżowi, 22-go przybyć do Neapolu. Sam król chciał być z powrotem w Weronie 17 grudnia; królewiczom pozwolono wracać wolniej dla lepszego zwiedzania kraju«.

brata. Przypuszczam, że do was przyjedzie zaraz po oddaniu ostatniej usługi swojej młodej żonie. Zdaje mi się, że tylko tu, przy siostrze, znajdzie potrzebną mu pociechę. — Dzieci ściskam serdecznie. Kochanemu księciu i księżnie, jego matce, zasyłam tysiące pozdrowień. Ukłony całej Rydzynie. Serdecznie przywiązana

Ludwika".

„Dobre rzeczy", jakie Księżnie Łowickiej o Ludwiku Kickim mówiono, były istotną prawdą. Nie popełnił z żalu szaleństwa, nie pojechał do Ameryki, ani próbował oszołomić się zabawą; natomiast odbył pieszo wśród zimy pielgrzymkę do Częstochowy, poczem jął żyć wyłącznie dla kraju, oddany pracy, która prócz szlif jeneralskich, przyniosła mu ogólne uznanie. Pozostał sam, bo żadna z córeczek Zosi jej nie przeżyła — aż po dziewięciu latach stanął przy nim

---

List w oryginale brzmi:

Posen 15 novembre 1822.

»Je venais d'apprendre hier au soir la triste nouvelle, que votre lettre m'annonce, ma bien chère Princesse. Je conçois et partage tout ce que la mort de cette jeune et pieuse personne doit vous faire éprouver. Mon Dieu, que sa fin est belle et touchante et quelle consolation pour tous ceux, qui l'ont aimée, de la voir ainsi paraitre devant le trône de ce Dieu de bonté qui l'a rappellée vers lui. Oui sans doute, ma bonne Princesse, nous prierons avec vous pour cette âme bien heureuse, qui dégagée des entraves de ce monde jouit sûrement du bonheur le plus pur. Son enfant sera en bonnes mains, si Thérèse le garde. Comment Mad. Zamoyska s'est elle conduit à cette occasion? Il me parait qu'elle doit avoir quelques remords en pensant à la manière, dont elle s'est conduit envers cette pauvre Sophie anciennement. Quel bonheur pour cette pauvre mourante d'avoir été soignée et comprise par Thérèse. Elisa se joint à moi pour vous assurer de notre bien tendre intéret — elle a été hier toute malade — une colique, un évanouissement lui ont fait garder le lit, mais elle va mieux aujourd'hui«.

»J'ai des lettres de Vérone jusqu'au 4 de ce mois; on ne s'y amusait pas trop. Les réunions très nombreuses

anioł pocieszyciel, jego siostrzenica, Natalia Bisping, którą dnia 27 stycznia 1831 r. poślubił w Warszawie. Ślub to był spóźniony, bo wśród szczęku broni zawarty, a już po czterech miesiącach przyszło młodej wdowie płakać nad zgonem męża, poległego pod Ostrołęką. Rozerwany na poły pociskiem armatnim, zabłąkanym po bitwie, zgasł na rękach swego adjutanta, Marcellego Żółtowskiego z Czacza. Wkrótce potem pani Natalia wydała na świat córkę, która ledwie dorósłszy miała umrzeć na suchoty, jak Zosia. Jej to, Natalii Kickiej, „pani Jenerałowej", jak ją zwała Warszawa, zawdzięczamy zachowanie wszelkich pamiątek po mężu, a także po Zosi; ona to swą piękną a pobożną dłonią składała, numerowała, znaczyła każdy drobiazg, każdy rysunek, każdą karteczkę, noszącą pismo jej poprzedniczki. Wielu bardzo jeszcze pamięta jej wyniosłą postać, jej twarz uroczą pod jasnym, dzi-

---

n'offraient guère d'intéret et n'étaient composées que de Principautés et de Diplomates. Le Roi de Naples extrêmement gai et de belle humeur et un très gros Roi de Sardaigne et une Reine toute ronde aussi venaient d'arriver. Le Roi et ses fils partaient le 11 pour Rome, et allaient le 12 faire visite au Pape, le 22 ils arrivaient à Naples; le Roi voulait être de retour à Vérone le 17 décembre, les Princes avaient la permission de revenir plus lentement sur leurs pas pour mieux voir«.

»Tout ce qui m'entoure désire, que je vous parle du tendre intéret que nous prenons à votre peine et à la douleur de votre pauvre frère. Je pense qu'il vous arrivera après les derniers devoirs rendus à cette pauvre jeune femme. Il me parait, que c'est auprès de vous qu'il peut seul trouver les consolations dont il a besoin. — J'embrasse les chers enfants, dis mille belles choses au cher Prince et à la Princesse sa mère, salue tout Reisen et suis à vous avec le plus tendre attachement

Louise«.

Charakterystycznem w tym liście jest wahanie się myśli księżny Ludwiki Pruskiej między nieszczęściem przyjaciół a śmieszną stroną werońskiego kongresu. Takie śmieszności dostrzegają tylko ci, co z urodzenia mieliby prawo brać udział w zebraniu, a są zeń wykluczeni w skutek okoliczności.

wnie późno siwiejącym włosem, jej żywą wyobraźnię, jej dobroć, jej artyzm, jej namiętną miłość dla kraju. I dla niej życie nie było drogą różaną: jej przyszło nosić krzyż wdowieństwa, oszczędzony Zosi, przyszło patrzeć na straszne nieszczęścia kraju. Do jakiego zaś stopnia posuwała miłość pamiątek, świadczy fakt drobny, że dopiero jej spadkobiercom przypadło przed paru laty w udziale rozwinąć drobne przybory podróżne Jenerała, których niczyja ręka tknąć dotąd nie śmiała. Dziwne przytem wzruszenie ogarnęło obecnych: zdawało się, że z tych przedmiotów prostych a powszednich wieje na nas jakieś lekkie tchnienie — z pod Ostrołęki.

A Księżna Izabella, ta matka sercem, o której żałości po zgonie Zosi Kickiej mało kto zapewne pamiętał? Nie wiemy nawet, czy w ostatnich chwilach była obecną przy swojem kochaniu. Zapewne nie, była już w późnym wieku i dotąd między różnemi obowiązkami i troskami rozdarta. Jej piękny a rzewny list do Kickiego późną bardzo nosi datę. W oryginale brzmi:

„*Puławy*[1]), *le 14 Juin 1823.* J'étais au moment de vous écrire, cher Monsieur Louis, quand j'ai reçu votre si bonne lettre. Tout ce que j'y ai trouvé est si fort à l'unisson de mon coeur, que je vous dirai tout simplement que je m'attache encore davantage à vous. J'aime à vous le dire cher Mr. Louis: je vous chéris comme un fils qui me rappelle ce que j'ai tant aimé, comme celui qui a scu si bien apprécier cette âme angélique, que j'ai perdue et que rien ne peut remplacer pour moi. Sans cesse je m'occupe de ce qui peut rappeller et

---

[1]) „*Puławy,* 14 czerwca 1823 r.

Miałam właśnie do ciebie pisać, gdy mnie doszedł twój poczciwy list, drogi mój panie Ludwiku. To, co w nim wyczytałam, tak bardzo z memi własnemi uczuciami się zgadza, że ci tylko po prostu powiem, że się więcej jeszcze przywiązuję do ciebie. Miło mi ci to powtarzać: miłuję cię jako syna przypominającego mi to, co tak bardzo kochałam, który tak dobrze umiał cenić ową anielską istotę, jaką straciłam i jakiej mi nikt i nic nie zastąpi. Jestem bezustannie zajęta zachowaniem i uwiecznieniem pamięci

éterniser cette Sophie, si touchante dans le cours de sa vie et au moment de sa fin. Le 15 de May est à tout jamais consacré par une indulgence, qui commence par la lecture de ce qu'était cette angélique créature et les vertus, les qualités qui font, que l'on veut éterniser sa mémoire. Le peu de bien que je puis faire aux pauvres, aux malheureux, les petites pensions que j'ai assurées, sont toutes ajournées au 5 de novembre et payées ce jour si cruel pour moi. La Biographie de Sophie est à la Sibille; enfin dans mon Cabinet à côté d'un prie-Dieu, au dessus duquel il y a le tableau que Sophie a peint, j'ai placé un autre tableau: c'est une rose avec deux boutons — au bas j'ai tracé ces mots: Tym była. En pressant un ressort, la feuille change et c'est un ange qui s'élève vers le ciel avec les mots au bas: Tym iest. C'est là que mon coeur s'élève vers ce Dieu de bonté, qui seul me rejoindra un jour avec mon enfant chéri. — Madame Kicka a passée hier la journée ici, mais moi je ne l'ai pas vue. Mes enfants l'ont reçue, mais moi, que ne voit encore personne, qui ne vais jamais au salon, je l'ai fait prier de me pardonner de ne pouvoir la voir. Ma santé est aussi en partie cause,

---

tej Zosi, tak niewymownie i rzewnie miłej przez cały ciąg życia i w chwilach śmierci. Dzień 15 maja jest już na zawsze uświęcony odpustem, przy którym nabożeństwo zaczyna się od czytania o tem anielskiem stworzeniu, o jej cnotach, jej zaletach i powodach zachowania jej w wiecznej pamięci. Wszystko, co zdołam czynić dobrego ubogim i nieszczęśliwym, pensyjki jakie zapewniłam, wszystko odłożone jest i będzie wypłacane w bolesny dla mnie dzień 5 listopada. Biografia Zosi znajduje się w Świątyni Sybilli. Nakoniec w moim gabinecie obok klęcznika nad którym wisi obraz malowany przez nią, umieściłam drugi obrázek. Jest na nim róża z dwoma pączkami, a u dołu napis: Tem była. Za przyciśnięciem sprężynki karta się zmienia i widać w niebo wzlatującego anioła z napisem: Tem jest. Tam też serce moje się wznosi ku temu Bogu miłosierdzia, który jeden połączy mnie kiedyś z mojem ukochanem dziecięciem. — Pani Kicka spędziła tu dzień wczorajszy, ale ja jej nie widziałam. Dzieci moje ją przyjęły, ale ja, która jeszcze nie widuję nikogo i wcale

que je suis obligée d'éviter toute émotion. Depuis les pertes, que j'ai fait, toutes les fois que j'éprouve un mouvement de peine, de chagrin, ma tête s'engourdit et je souffre beaucoup. Cette santé triomphante, qui a si longtems résisté à tout, qui jamais n'a manqué pendant près de quatre vingts ans, n'a pu résister aux pertes cruelles et si rapprochées de mon enfant chéri et de mon bienfaiteur. J'aime à lui donner ce nom, car n'ayant reçu aucune éducation, mariée à quinze ans, c'est lui qui m'a élevée, qui m'a donné des maîtres en tout genre, qui a formé pour ainsi dire mon coeur et ma raison. C'est lui, qui pendant une bien longue suite d'années, jamais ne m'a donné le plus petit chagrin et qui a toujours soigné mon bonheur. Que je vous aime, cher et bon Mr. Louis, pour le bien que vous en dites dans votre lettre! La mienne est bien longue, mais mon cher ami mon coeur est si plein. Ma fille me charge de mille amitiés pour Vous i ona nie bardzo szczęśliwa. — Mon fils Constantin est si changé, que le bonheur de le revoir est mêlé de beaucoup d'amertume. Encore une inquiétude douloureuse, c'est la santé d'Hedvige (Zamoyska), qui est bien mauvaise. Kaszel i gorączka nie chcą ustać. Wiele

---

do salonu nie chodzę, kazałam ją przeprosić. Moje zdrowie zmusza mnie jeszcze do unikania wszelkich wzruszeń. Od czasu strat, jakie poniosłam, głowa mi cierpnie i ogromnie boli za każdem poruszeniem żalu lub zmartwienia. Owo tryumfujące zdrowie, które się tak długo wbrew wszystkiemu trzymało i nie chybiło mi nigdy przez przeciąg niemal 80 lat, nie zdołało wytrzymać tak bliskich po sobie ciosów: utraty drogiego dziecka i mego dobroczyńcy. Lubię go tak nazywać, bo pojąwszy mnie jako piętnastoletnią bez żadnego wychowania dziewczynkę, on sam mnie wychował, dał mi nauczycieli wszelkiego rodzaju, on, rzec można, ukształtował mój umysł i serce. On też przez bardzo długi szereg lat troszczył się o moje szczęście, a sam najlżejszego nie sprawił mi zmartwienia. Jakże cię kocham, mój drogi, za wszystko, co mi w liście swoim mówisz o nim dobrego! Mój list bardzo długi, ale bo też serce moje bardzo pełne. — Córka moja zasyła ci mnóstwo serdecznych wyrazów: i ona nie bardzo szczęśliwa. Mój syn Konstanty tak wielce zmieniony, że szczęście

jeszcze innych okoliczności przyciskają. Cóż robić! W Bogu szukać ulgi i cierpliwości, znosić biedy i przykrości".

„Mon cher ami, écrivez moi quelquefois, car il m'est nécessaire de savoir où vous êtes, ce que vous faites et si vous m'aimez un peu. Vous êtes pour moi le représentant de ma chère Sophie".

„Je m'arroge les droits de la maternité avec vous mon bon ami et à cause de cela je vous embrasse de tout mon coeur *I. C.*"

Księżna nie mówi tu o pomniku, jaki później miała postawić dla Zosi i jej biednych dzieciątek. Nad Wisłą między Puławami a Kazimierzem, w miejscu, gdzie Zosię przejeżdżającą raz tak żywo tknęła myśl o śmierci, wzniosły się niebawem trzy krzyże i stały długo, wzniecając wzruszenie u tych, którzy znaczenie ich znali, a zdziwienie u obcych. Biedne Puławy! Nad niemi samemi należało postawić krzyż, jak nad wielkim grobem. Piękne w nim legły pamiątki i dobrze czasem odchylić ich wieko, dobrze módz uszczknąć choć blady kwiatek, wyrosły na tej wielkiej mogile.

---

widzenia go znowu jest z niemałą zmięszane goryczą. Inny jeszcze niepokój bolesny: zdrowie Jadwisi bardzo niedobre. Kaszel i gorączka nie chcą ustać. Wiele jeszcze innych okoliczności przyciskają. Cóż robić? W Bogu szukać ulgi i cierpliwości, znosić biedę i przykrości. — Mój drogi, pisuj czasem do mnie, potrzeba mi bowiem wiedzieć, gdzie jesteś, co robisz i czy mnie trochę kochasz. Dla mnie jesteś przedstawicielem mojej Zosi. — Roszczę sobie do ciebie prawa macierzyńskie, to też ściskam cię z całego serca. *I. C.*

